

## Kronika wypadków miłosnych

Tadeusz Konwicki

Tak to się właśnie zaczęło. Pociąg w monotonnym kołysaniu zapadał się coraz głębiej w piaszczyste rowy, w kłębowiska jałowców, w czerwonawe tunele skarłałych sosenek. Dziki wiosenny wiatr cuchnący ozonem wdzierał się do wagonu hulając po pustym korytarzu.

Wąsaty konduktor srebrzystym dziadkiem do orzechów dziurawił bilet Wicia. Na jego piersiach wisiała mosiężna latarka. Z oszronionego karbidem palnika wyciekał niebieski płomyczek, ledwo widoczny o tej porze, jeszcze za dnia.

— Pan, widzę, student.

— Nie, jeszcze nie — rzekł Wicio.

— Ale piękna czapka — konduktor pokazał srebrzystymi szczypcami granatową maciejówkę wiszącą na haku. — Pięknie wyszywana, dlatego pomyślałem, że pan student.

— To taki zwyczaj. Wszyscy przed maturą wyszywają denka mundurowych czapek.

— Nawet widzę, że coś napisane czerwoną nicią.

— Per aspera ad astra. To dewiza naszej szkoły.

— Per aspera ad astra. Jakbym gdzieś słyszał. A tu w sąsiednim wagonie, w jedyńce, jedzie prawdziwy arcybiskup. Widział kawaler? No to niech pan korzysta z okazji. Proszę bardzo. W korytarzu można postać, choć to jedyńka.

Konduktor szedł przodem chwytając się ścian. Sprawdzał nieufnie, czy Wicio idzie za nim. W czarnej od sadzy, brezentowej harmonii łączącej

wagony skoczył z dołu na nich raptowny łoskot kół. Otwarta paszcza przeznaczenia. Bo wtedy jeszcze szyny kolejowe bywały progiem wieczności.

Konduktor stanął czujnie przy kryształowym oknie drzwi. Sękatą dłonią zatrzymał Wicia.

— Widzi kawaler, jaki piękny — szepnął.

Arcybiskup siedział nieruchomo na czerwonej pluszowej kanapie. Siwą jego głowę przykrywała fioletowa piuska. Między szepczącymi coś wargami błyszczał wielki, syty, złoty ząb. Dziwnie jasne ręce, jakby prześwietlone na zawsze blaskiem świec, trzymały ciężki brewiarz. Siedział nieruchomo na tle roziskrzzonej szyby i patrzył przed siebie w przeciwległą ścianę ze starego mahoniu i coś tam chyba widział, bo oczy jego były uważne i widzące.

— Niech kawaler patrzy, ile chce — zaszeptał konduktor, a potem ucichł.

Wszystkie przedziały pierwszej klasy, jak zawsze, były puste. Tylko w tym jednym siedział prawdziwy arcybiskup albo przynajmniej biskup i emanowała od niego jakaś przejmująca niezwykłość, coś zupełnie niezemskiego. Jest odległa dał, mógł pomyśleć Wicio, jest dalekie nieznanne życie.

Arcybiskup wolno, bardzo wolno odwrócił głowę, patrzył teraz w stronę korytarza. Ale nie dostrzegął pewnie Wicia. Strzępiasty refleks światła łopotał chwilę na jego policzku, ulepionym chyba gdzieś w lepszym świecie, pokrytym skórą szlachetniejszą niż u zwykłych ludzi.

Wtedy coś zadudniło ciężko obok Wicia. To niewielki jegomość w chłopskiej bekieszy ukląkł z rozmachem na czerwonym dywanie

korytarza. Chwilę żegnał się łapczywie, potem uniósł swoją twarz, na której zastygły wszystkie występki, a może po prostu wieloletnia nędza.

— Pobłogosławi? — spytał zająknąwszy się parę razy.

— On nas nie widzi.

— Widzi, tylko modli się i jest u Pana Boga w gościach — wziął z ziemi porzucony tłumok w lnianej chuście, żeby pokazać go Wiciowi. — Jadę, paniczu, do siostry w mieście. Strasznie jest jechać, oddalać się, nie, paniczu?

Wicio milczał patrząc ciągle w nieruchome oczy arcybiskupa.

— Pan nie chce do mnie mówić?

— Chcę.

— Trzeba mówić. Ludzie potrzebują i ja potrzebuję. Wiesz, paniczu, ja kogoś skrzywdziłem mocno. Dlatego muszę mówić. Ale i tak wszystkiego nie powiem. Skrzywdziłem strasznie kobietę, może własną siostrę.

— Przecież jedziecie do siostry.

— A nie. Nie jadę do siostry. Jadę do Warszawy, do samej Warszawy. Może będę szukał sprawiedliwości. Ale strach jechać, strach oddalać się, no nie?

— Ja też pojedę w świat.

— Pan nie. Pan tu zostanie. Pan nigdy nigdzie nie pojedzie.

— Kto wam to powiedział?

— Ja sam mówię, bo ja wszystko wiem.

— A co mnie czeka w życiu?

Jegomość zaśmiał się chytrze wycierając dłonią wiecznie mokry nos.

— Może i wiem, ale nie powiem. Lepiej nic nie wiedzieć.

Wstał z klęczek, potrząsnął gwałtownie tłumokiem, a potem przyłożył

do niego ucho, jakby słuchał obudzonego głosu. Pociąg buczał w kratownicy starego mostu. W dole zajaśniała powolna rzeczka pełna nieba i białych chmur.

— Dałbym wam coś na drogę. Nic nie mam.

— I tak nie powiem. Panu na pewno nie powiem.

— Może coś złego?

— Po co pytać. Panicz młody, zdrowy, przed panem wszystko. Ja skłamałem, paniczu. Nie jadę do Warszawy. Jadę do Ameryki, do samej Ameryki.

— Do Ameryki? Za ocean? Jak wy tam dojdziecie?

On znowu zaśmiał się przebiegle, marszcząc twarz z ciemnymi cieniami, jakby podwędzoną w suchym dymie.

— Dojadę, paniczu, ja już tam raz byłem.

— A po co wracaliście?

— Wróciłem, żeby skrzywdzić. A teraz, przeklęty przez wszystkich, jadę z powrotem do Ameryki, do samej Ameryki.

— Muszę już iść. Zapomniałem czapki w przedziale.

— Taka cała wyszywana kolorowymi nićmi? Nie zginie, nikt jej nie ruszy, w ogóle już pan jej nie zmieni na inną. A ja tu nie przyszedłem po błogosławieństwo. Po co mi błogosławieństwo? Mogę zawsze dostać i od takich, i od innych. Młodość zobaczyłem. Waszą młodość, paniczu. I tak jakoś zachciało mi się ją skraść. Ale niech pan się nie boi, nie zabiorą, nie ukradnę. Postraszyłem tylko trochę.

Odwrócił się do szyby i chichotał, chowając twarz w tobołek cuchnący nie wietrzoną nędzą. Później podsunął nagle Wiciowi przed nos to swoje zawiniątko.

— Chcesz, paniczu? Chcesz, to masz.

Wicio odsunął się ze wstrętem.

— Na co mi to, nie chcę.

— A nie jesteś ciekaw, co tam w środku? Może stare plany, może skarb z całego życia, a może tylko skrwawiona siekiera? Masz ode mnie gościniec. Na pamiątkę znajomości.

— Ja już niedługo wysiadam. Po co mi wasz skarb?

On znowu potrząsnął tobołem przy swoim uchu jak skarbonką.

— Będiesz zawsze żałował, że nie ryzykowałeś. No, namyśl się jeszcze chwilę. A może chcesz podzielić się z pierwszym spotkanym człowiekiem?

— Nie, dziękuję. Nigdy i nic nie trzeba brać od ludzi.

— Kto ci to powiedział?

Wicio zawahał się przez moment. Pociąg zataczał łuk po wysokim nasypie. Wielkie sześciokąty miodowego światła wpadły do wagonu i rozpląszczały się teraz boleśnie na ścianach.

— Ojciec. Ojciec mi to powiedział. We śnie.

— Znaczy, nie żyje.

— Tak. Teraz podczas ferii świątecznych u ciotki przyśniłem go tak wyraźnie, że będę pamiętał, jakby to zdarzyło się w życiu. Szedł do mnie przez ogród, szedł cały w czerwonym słońcu, świecącym w plecy, szedł bez końca i tylko szedł, i nie mógł do mnie dojść.

Arcybiskup ujął w dwa palce zieloną wstążeczkę, otworzył brewiarz nią założony. Potem przeżegnał się wyraźnym, czystym ruchem dłoni.

— Pocałujmy się na rozstanie — zająknął się jegomość z tłumokiem.

— Dlaczego mamy się całować?

— Ty musisz iść i ja muszę odejść.

— Życzę szczęścia w podróży.

— I nie chcesz się pocałować z człowiekiem? Brzydzisz się mojej biedy, pogardzasz wędrowcem nikczemnym. No i nie odwrócisz swego losu. Amen.

Zasłonił się plecami odchodząc wolno w stronę czarnego miecha łączącego wagony. Szedł środkiem korytarza lekko jak drapieżne zwierzę i nie musiał się chwytać ścian, gdy znowu zaczęło rzucać pociągiem na rozjazdach.

Wicio pewnie pomyślał wtedy, że to jakiś dziad, nawiedzony włóczęga jedzie z festu, czyli wielkiego odpustu, i wrócił do swego wagonu.

Pociąg przejeżdżał przez miasteczko, a właściwie nawet przez miasto rozsypane na stoku rozległego wzgórza, ściślej mówiąc nie wzgórza, lecz płaskowyżu, który teraz przez kilometry opadać będzie dosyć stromo ku rzeczce, nawet można powiedzieć sporej rzece, co czasem się zwęża mocno, a potem znowu rozlewa się szeroko jak poważna rzeka z prawdziwych atlasów.

To było miasteczko rodzinne Wicia. Tu się kiedyś urodził, przy tej długiej ulicy biegnącej wzdłuż torów, ale w którym domu, tego nikt już nie pamiętał, nawet matka nie mogła sobie przypomnieć. Więc wpatrywał się w te parterowe domki uciekające szybko do tyłu, domki ceglane, czasem niedbale tynkowane, ale najczęściej z drzewa, wszystkie z ganeczkami, na których w letnie wieczory słucha się słowików i wacha mocne zapachy maciejki, wszystkie w ogródkach, jakby sadach, teraz nagich zupełnie, z ledwo widocznymi zgrubieniami zawiązujących się pąków. I to miasteczko, a właściwie niewielkie miasto, nic w rzeczywistości dla Wicia

nie znaczy i patrzy na nie obojętnie, bo ta ulica rzekomo rodzinna już się skończyła, bo to miasteczko jest bez wyrazu, nijakie, jakby bez serca stworzone, byle jak, może przypadkowo, do tego jeszcze zbudowane przez wojskowych, którzy mają tu ogromne garnizony, ściślej przez wojskowych i kolejarzy tego małego, ale ogromnie ważnego węzła kolejowego. To miasteczko nie nadaje się zupełnie do pamięci, do tęsknoty, do przejmujących snów. I wiele lat musiałyby minąć, i wiele nieszczęść musiałyby Wicio przeżyć, żeby takie właśnie miasteczko mogło się kiedyś boleśnie przypomnieć, odbudować w przejmującym pięknie i tym utraconym na zawsze pięknem ścisnąć z całej siły serce Wicia gdzieś w dalekiej bardzo podróży, w odległym odosobnieniu, w beznadziejnej niemocy.

Wczesnowiosenna brzydota zrudziałych pagórów, niechlujnych skarp i nędznych drzew jak chude zmoknięte ptaki, więc całe to rozpaczliwe ubóstwo przedwiośnia zasłaniało kolejno domki, uliczki brukowane polnym kamieniem, pokraczność jakiejś fabryki, zakole rzeki z przystanią oficerską, wszystkie te miejsca, w których żyli od lat albo odwiedzali je przygodnie i inni ludzie, teraz jeszcze anonimowi, ale w przyszłości mający zapisać w świadomości współczesnych swoją znajomość z tym miastem, swoją miłość i rozpacz przeżyte w tym mieście, które naprawdę było tylko bezładną kupą domów, jakich tyle widzi się na świecie.

Pociąg zaczynał już zwalniać przed przystankiem, na którym miał wysiąść Wicio. Pokazała się kręta, piaszczysta droga, wycięły się z pustych drzew pierwsze eleganckie wille, w mglistej dali zakołysało się ściśnięte pagórkami wielkie miasto Wilno, budząca grozę metropolia. Ale w tym momencie zajęczały hamulce, ogromne snopy iskier wystrzeliły

spod kół pociągu i straszna siła pchnęła Wicia na metalową ramę okienną. Wagon zatrzeszczał w spojeniach, ktoś leciał przez korytarz, czepiając się mosiężnych klamek, coraz rozpaczliwiej gwizdała lokomotywa. Wreszcie pociąg stanął.

Wiciem na odmianę rzuciło z powrotem. Chwycił się opuszczonego okna. Wysunął głowę na zewnątrz, gdzie duł podszyty mrozem dziki wiatr wiosenny. Pociąg trwał nieruchomo w miejscu posapując dobrodusznie. Stał o dwieście metrów przed przystankiem, na wysokim nasypie spiętrzonej wzdłuż mizernej łączki, na której pasły się trzy łaciate kozy.

Wtedy pojawił się konduktor. Biegł od lokomotywy przytrzymując na piersiach latarkę. Poobiednie słońce, przebijające między kołami pociągu, chwyciło go za nogi, za poły rozpiętego płaszcza. A on biegł tak i co chwila przysiadł, jakby kogoś podglądał po drugiej stronie toru. Wreszcie zatrzymał się, kucnął i coś zaczął wyszarpywać. Ale to coś nie chciało ustąpić. Więc jął machać latarką, dając znak maszyniście. Pociąg zakolebał się, zgrzytnął kołami, cofnął się parę metrów i zastygł w przeciągłym stęknięciu. Teraz konduktorowi na pomoc biegł maszynista w czarnym chałacie. Wleźli obaj pod wagon i zaczęli wyciągać jakiś spory ochłap w skotłowanej odzieży. Wicio zobaczył przeraźliwie białą rękę czepiającą się zaoliwionego szutru. W nagłym odruchu grozy cofnął się w głąb wagonu.

Później pociąg jakby zebrał się w sobie, szarpnął parę razy chcąc oderwać koła od tego miejsca i wolno ruszył w stronę przystanku. Bardzo długo jechał te dwieście metrów.

Wicio wziął walizkę i poszedł do drzwi wagonu. Otworzył je ostrożnie. Ale peron był pusty, nic się tu nie działo, nawet zawiadowca gdzieś się zawieruszył. Więc Wicio zstąpił na zwirowaty peron. Wiatr uderzył go



niemocno w plecy popychając do przejścia przez tory przed lokomotywą. Wicio szedł wzdłuż pociągu i ostrożnie zerkał na koła. Ale wszystkie były jednakowo zaoliwione tłustą, lśniąca rosą.

Dopiero kiedy przekroczył tory, zobaczył w drewnianej wiacie kilku ludzi otaczających coś spoczywającego na podłodze. I wydało mu się raptem, że ten widok już skądś pamięta, lecz przecież nie mógł pamiętać, bo nigdy przedtem nie widział śmierci człowieka.

Więc w strasznym popłochu, w jakimś gwałtownym, nie znanym sobie dygocie zaczął podchodzić do tych ludzi, którzy przyglądali się z ciężkim namysłem powykrzywianym kawałom człowieka leżącego na zapiaszczonych deskach podłogi. Zobaczył między kłębami przybrudzonej odzieży zapaść brzucha wypełnioną jakby mulistą wodą i rozpuszczającą się w niej skąpo świeżą krwią.

— Czy on skoczył pod pociąg? — spytał cicho konduktor.

Maszynista nałożył czapkę i zaraz zdjął ją z powrotem.

— Nie. Nie widziałem nikogo.

— Może wyleciał przez drzwi? — odezwał się jakiś żołnierz cuchnący sukniem i źle wyprawionymi skórąmi.

— Gdyby wyleciał, toby go odbiło — pokręcił głową maszynista. — Dwadzieścia lat jeżdżę, nawet wróbla nie przejechałem. Jezu, Jezu, Chryste Panie.

— To skąd on się tu wziął? Może ktoś z panów widział go w pociągu? — konduktor jeszcze raz wytarł dłonie o połą płaszcz.

Ale wszyscy milczeli. Wtedy znowu odezwał się żołnierz.

— Jak go poznać, kiedy twarz ma zakrytą.

— No to odsłoń pan — rzekł konduktor.

— Dlaczego ja?

— Pan najbardziej ciekawy.

— W ogóle nic mnie nie obchodzi. Muszę być w koszarach przed zmrokiem, tyle mnie obchodzi.

— A może to ten, co wybierał się do Ameryki? — powiedział nagle nieswoim głosem Wicio.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

— Który? — spytał konduktor.

— Taki z tłumokiem. Razem ze mną przyglądał się biskupowi.

— Nie było przy nim żadnego tłumoka — powiedział konduktor.

Znowu milczeli chwilą nad tą pryzmą zmiętej odzieży i zmasakrowanego ciała.

— A może to Wołodko? — zapytał raptem dyżurny ruchu.

Znowu jakiś czas pomilczeli. Z tyłu za nimi przechodziły kozy wracające pewnie do domu. Szły, rozstawiając szeroko tylne nogi rozparte ciężkimi wymionami.

— Może i Wołodko — rzekł wreszcie konduktor. — Może zadręczyło go sumienie.

— Eee, Wołodko tak marnie by nie ginął — powiedział żołnierz.

— No jakby nie było, umarł człowiek — westchnął konduktor. — Dzwon, Włodek, do Wilna.

Zawiadowca ruszył biegiem w stronę swego kantorka. Przelazł przez pociąg między wagonami. Lokomotywa posapywała ostrożnie, jakby uciszając sama siebie.

Nasze święta wielkanocne były zupełnie niepodobne do dzisiejszych.

Zaczynały się właściwie w Niedzielę Palmową, która sama dla siebie stanowiła już solidną uroczystość. Cały Wielki Tydzień — to święto w negatywie, wielka, solenna asceza przed rozpustą. Każdy dzień tego Wielkiego Tygodnia miał swój posępny rytuał, każdy też dzień przynosił coraz sroższe ograniczenia dietetyczne. W Wielki Piątek jedliśmy już tylko chleb razowy, popijając w najlepszym razie kwasem. Od czwartku przesiadywało się w kościele uczestnicząc w ponurych, trochę jakby pogrzebowych nabożeństwach. Ziemia także szykowała się do wiosennej eksplozji. W rozpadlinach, rowach, wąwozach dogorywał scukrowany, czarny śnieg. Na suchsze pagóry leśne wypełzały agresywne tłumy przyłasczek i zawilców. Ziemia stękała po nocach, czasem gdzieś pękła, ukazując tłuste czerwonożółte wnętrza. Jakieś ostre wonie zmarzniętej zieleni i nowości ganiał po łąkach niecierpliwy wiatr. Zapachniało czasem paloną słomą, spieczoną sierścią i wszyscy wiedzieli, że ktoś zakłuł na święta wieprza, że dzieli teraz tusze, nabija kiszki mięsiwem oraz różnymi kaszami. Rychło przeleciał kot z uczepionym do ogona świńskim pęcherzem, w którym grzechotał groch. Dziewczyny malowały pisanki, chłopcy wypróbowywali je ostrożnie szukając twardzielów przydatnych do różnych gier w dni świąteczne. Pod poduszkami rosły baby. W ogromnych garach dogotowywały się szynki, a tymczasem wszyscy na zmianę latali do kościoła, żeby być obecnym przy powolnej, z dnia na dzień, śmierci Chrystusa. Zalewano się łzami widząc nieuchronność tej śmierci, kładziono się krzyżem, żeby odwrócić zły los Jezusa, żegnano się z nim czule na zawsze, choć już w Wielką Sobotę miał zmartwychwstać przed północą i wrócić do swoich znowu ma cały rok. I w tę Wielką Sobotę święcono święcone. A potem wszyscy z pięknie przystrojonymi

koszyczkami pełnymi jajek, kiełbas i bab lecieli na złamanie karku do domu. Lecieli na skróty gubiąc czapki, rwąc spodnie na ogrodzeniach, łamiąc ręce i nogi, byle tylko pierwszemu dopaść własnych drzwi, co było dobrą wróżbą. Patrzyli na to z lekką drwiną starozakonni, którzy dopiero szukali odpowiedniego budulca dla swoich kuczek w ogrodach i sadach. Patrzyli na to z pewnym zniecierpliwieniem starowierzy i prawosławni, którzy musieli czekać jeszcze dwa tygodnie, zanim poczną się obejmować całując w usta spotkanych sąsiadów z dobrą nowiną, że „Chrystos wskres”. A tymczasem wygłodniali katolicy siadali już do stołu przybranego mirtem i widłakiem, stołu trzaskającego złowrogo pod ciężarem szynek gotowanych i suszonych, kiełbas wędzonych i pieczonych, grzybków marynowanych i kwaszonych, kisielów żurawinowych i owsianych, jajek i borówek, rumianych prosiąt i podwędzonych gęsi, butli z nalewkami i z samogonem z odrobiną fuzlu, babek lukrowanych i ogromnych bułek, mazurków i strucli, dzbanków domowego piwa i kompotów. Taki stół stał przez pierwsze dwa dni świąteczne, stał przez następne, dogorywał aż do Niedzieli Przewodniej, bo Wielkanoc nie miała u nas wyraźnego końca, rozmydlała się powoli i bez szczególnych reguł, u jednych kończyła się w środę, u innych w sobotę. A podkreślam to dlatego, że Boże Narodzenie, to magiczne święto wspólnoty rodzinnej i ludzkiej, trwało u nas do samych Trzech Króli. Zasypani śniegiem po dachy, zaskorupiali grubym lodem świętowaliśmy dwa tygodnie w zapachu świec, jabłek i usychającej jedliny, w radosnym niepokoju oczekiwania na nowy, nie znany, pełen obietnic nadchodzący rok.

Matka rozpakowywała walizkę w sypialni. Z małej bokówki, która kiedyś była werandą, dobiegało tu wysilone chrypienie dziadka. Jaskrawa łuna zachodzącego słońca drżała leciutko w ogromnym stojącym lustrze, którego drzewo zjadały zimą korniki.

— Widziałeś kraty w oknie na poczcie? — spytała matka.

— Nie. A co?

— Wołodko dobierał się przedwczorajszej nocy. Powyginał jak chrust, ale ktoś go spłoszył.

— Człowieka pociąg przejechał na przystanku. Kolejarze mówią, że to Wołodko.

Matka przeżegnała się szybko.

— Na naszym przystanku?

— Tak. Pociąg, którym przyjechałem.

— I on tam teraz leży?

— Leży. Czekają na policję.

Otworzyła szafę i zaczęła coś przekładać, szeleszcząc zeschniętym zielskiem przeciwko molom.

— Wicio.

— Słucham.

— Podejdź do mnie.

— Co znowu mama wymyśliła?

— No chodź, chodź, dziecko.

Uśmiechała się tajemniczo chowając ręce za sobą. Wicio zbliżył się niechętnie. Przyglądała się jego włosom, twarzy, szerokim ramionom.

— Urodziwy jesteś.

— Co mama, jak mamie nie wstyd?

— Najurodziwszy jesteś. Drugiego takiego nie znajdziesz.

— Jak Boga kocham, bo pójdę sobie.

Łuna nieobecnego już słońca zaróżowiła jej siwą głowę. Za ścianą, pod okapem dachu, piszczały rozpaczliwie jaskółki walcząc z wróblami o swoje gniazda. Matka powoli wyciągnęła ręce i Wicio zobaczył przed sobą popielato-srebrzystą czapkę studencką zwaną „batorówką”. Była to długa rura, którą składało się misternie w fałdy, a kwadratowe denko z herbem Batorych spadało kokieteryjnie na kark. Matka uniosła ją wysoko w obu dłoniach i dostojnie osadziła na głowie syna jak tiarę.

— To prezent świąteczny, synku.

— Mamo, a jak nie zdam matury?

Zaśmiała się cichutko zakrywając dłonią usta.

— Ty nie zdasz? To kto ma zdać?

— Wszystko się może zdarzyć.

— Zawsze byłeś najlepszy i zawsze musisz być najlepszy.

— Jak można, mamo, mówić takie głupstwa?

Wzięła w suche, szorstkie dłonie jego głowę, na które sterczała nieuformowana jeszcze czapka. Przybliżyła spierzchnięte, wyblakłe wargi i pocałowała go w usta.

— Będziesz wielkim doktorem. Najsłynniejszym na świecie profesorem. Będziesz leczył nas wszystkich, będziesz ratował bogatych i biednych, będziesz uzdrawiał królów i żebraków.

Wyrwał głowę z jej rąk. Gdzieś odezwał się patefon skrzekliwym głosem. Lustro gasło powoli wypełniając się niebieskim mrokiem.

— Mama chce zapeszyć. Zobaczysz mama, że zapeszy.

— Zapeszają siebie ludzie słabi. A ty jesteś silny jak twój ojciec.

— Dlaczego mama wspomina ojca? Gdzież była ta jego moc?

Matka uczyniła krok w stronę Wicia.

— On był bardzo silny. Zginął przez swoją siłę — powiedziała szeptem.

— Ale ja przez niego do końca życia będę przeklęty.

— Nie, synku, nie. Ty go pomścisz.

Wtedy zabrzączały rżęsiście sprężyny łóżka w sąsiednim pokoju, w tej bokówce, która kiedyś była werandą. Dziadek kaszlał chwilę strasznym kaszlem, jakby wypluwał i nie mógł do końca wypluć swoich płuc.

— Chodźcie tu, na miłość boską, chodźcie — zacharczał.

Stanęli w progu tej izby pełnej zaduchu spoconego ciała i obfitej flegmy. W małych szybkach okien werandowych szamotały się z wiatrem zaschnięte ubiegłej jesieni badyle winorośli. Wielki zegar z mosiężnymi girami jak łuski pocisków armatnich tykał głucho nad wezłowiem łóżka.

— Nikt mi nic nie mówi, ja jeden nigdy nic nie wiem — poskarżył się starzec. Zielonkawobiała szczecina podchodziła aż pod czarne, nienaturalnie wielkie oczy, w których już od roku mieszkała śmierć.

— To ja, dziadziu. Wróciłem od ciotki — powiedział Wicio.

— Udały się święta? — zarzęził starzec.

— Bardzo się udały. Tylko powódź trochę przeszkodziła. Wilia wylała.

— Aha, Wilia wylała. A fest udał się?

— Odpust też się udał. Dużo ludzi zjechało w Niedzielę Przewodnią. Z najdalszych majątków, ze wszystkich zaścianków. Ciotka miała kolosalne obroty.

— Wszyscy mają obroty, tylko ja nie — zachrypiał wyschłym gardłem starzec. — Jadziu, jak myślisz, dziecko, długo jeszcze będzie tego konania?

— Myślę, że niedługo, tatusiu. Pan Bóg litościwy.

— Daj Boże, daj Boże. A co ty masz, dziecko, na głowie?

— To czapka studencka, tatusiu.

— Wicio, znaczy, już na uniwersytecie? A ja nic nie wiem, nikt mnie nie informuje.

— Jeszcze nie, tatusiu. Za miesiąc zda maturę i jesienią pójdzie na medycynę.

— Jesienią, mówisz? No to już nie dożyję. Chwała Bogu, nie dożyję jesieni. Och, jak mi ciężko, dzieci, och, jak strasznie umierać bez końca. Twój Michał miał dobrze, sam sobie przygotował lekką śmierć, taką lekką, leciutką, jak przebudzenie nad ranem — dyszał ciężko, dyszał całym wyniszczonym organizmem. W jego gardle grały jakieś dziwne, różnorodne i donośne dźwięki, których on słuchał z troskliwą lubością.

— Niech tatuś tak nie mówi o Michale. Niech się pomodli za niego. On tam czeka już na tatusia — matka przeżegnała się dyskretnie.

— Ach, ty już czekasz, żebym szybciej zamknął oczy. Wszyscy doczekać się nie mogą.

— Skąd? Niech tatuś żyje, ile tylko sobie zechce.

— Och, nie chcę już żyć. Przestańcie mnie dręczyć. Wszyscy do mnie przychodzą. I twoja matka, i bracia, szwagrowie, jacyś ludzie, których kiedyś spotkałem. Nawet małe dzieci. Przychodzą w nocy, nad ranem, czasem i w dzień. Wiem, że przychodzą, widzę ich, jak idą do mnie przez wasz pokój, ale potem nic już nie pamiętam i później znowu zaczynają przychodzić.

— Niech tatuś zaśnie, odpocznie sobie trochę.

— Ach, żeby to już było ostatnie zaśnięcie.



I oddychał przeraźliwie długimi oddechami, starał się pochłonąć całe to duszne powietrze przesycone chorobą i nieszczęściem.

Ktoś zapukał w futrynę drzwi, potem uderzył niecierpliwie pięścią. To był pan Kieżun, naczelnik poczty. Widać, śpieszył się bardzo, bo na bose nogi wzuł zabłocone kalosze.

— Widziałem, że Wicio wrócił — rzekł spiesźnie. — Widziałem, jak szedł ze stacji.

— Tak, wrócił niedawno.

Wicio dopiero teraz przypomniał sobie, że stoi ciągle jeszcze w tej idiotycznej czapie, która wygląda jak przepalona rura od piecyka. Zdjął więc ją ukradkiem i schował za sobą.

— Mam prośbę, chłopcze. Skocz z telegramem do pułkownika Nałęczu, ja mam nieszczęście z dziećmi, na moment nie mogę wyrwać się z domu.

Wicio milczał niepewnie.

— Wiesz, chłopcze, ci nowi, co mieszkają na działkach wojskowych. Trafisz przecież.

— On zmęczony, panie Kieżun, prosto z podróży.

— Jaki zmęczony, droga sąsiadko, krew i mleko. Całe miasto pani zazdrości. To zwierz, prawdziwy zwierz, a nie maturzysta. Weź, chłopcze, mój rower. Zostawiłem na ulicy, a tu masz telegram i kwitariusz, ale niech wpiszą dokładną godzinę doręczenia. Żeby cię diabli! — zaklął raptem siarczyście. — Zapomniałem żelazko wyłączyć. Spalę chałupę i dzieci! No to dziękuję!

I już wyleciał przewracając coś w sieni.

— Zanieś, Wicio — powiedziała matka. — Może to dobra nowina. Może przyniesiesz ludziom szczęście.

Wicio nałożył stary sweter i wyszarzałe spodnie. Na ulicy czekał rower, zardzewiała damka o niedopompowanych oponach. Po przeciwnej stronie ulicy w parterowym domku sióstr Puciatówien śpiewał beznadziejnie patefon. W oknach widać było światło wczesnie zapalonych lamp i jakieś cienie poruszające się w takt muzyki. Wicio wsiał na rower, przechylając się ciężko z boku ma bok zaczął pedałowac po chodniku stromą ulicą pod górę, gdzie drzemały wśród drzew mocno rozkraczone na zboczu samotne wille, gdzie rozpoczynał się gęsty i bogaty w dziwne drzewa las, las oddzielający przedmieście dolne od górnego.

Zapalały się kolejno, rzadkie latarnie uliczne na starych, spękanych słupach drewnianych. Od lasu szło przejmujące szumienie pełne różnych dziwnych odgłosów. Pod samą górą droga zwinęła się w prawo, aby przejść w serpentynę ciasno opasującą zbocze. Wicio zszedł z roweru i ciężko dysząc wspinał się po drewnianych schodach na szczyt wzniesienia, gdzie stał kościół i gdzie zaczynały się domy przedmieścia górnego. Dom Nałęczów, właściwie nowoczesna willa zbudowana na miejscu poprzedniej, która się spaliła kilka lat temu, a więc ten nowy dom Nałęczów stał na zboczu parowu i wielki ogród spadał wąskimi tarasami na dno jaru, kędy dawniej płynął pewnie jakiś strumień, co wysechł i nikt już o nim nie pamiętał.

Wicio zeskoczył z roweru przed żelazną furtą. Pociągnął za drewnianą rączkę. Gdzieś koło domu zajęczał rozdzierająco dzwonek. Rozświetliło się jedno okno, potem drugie, szczęknęły drzwi. Ktoś biegł do furty w tym rzadkim mroku wczesnej wiosny.

— Pan do nas? — spytała pokojówka zasłaniając gardło od chłodu.

— Z poczty, telegram.

Otworzyła kluczem furtkę. Poprowadziła go do domu. Jakiś ciemny kształt wyskoczył zza krzaków i Wicio poczuł przez spodnie ciepło zwierzęcego oddechu.

— Proszę się nie bać. On przy mnie nie ugryzie — rzekła pokojówka.

Pies biegł za Wiciem, trącając go potężnym pyskiem. Tak weszli do hallu i pies siadł czujnie w progu za plecami Wicia.

— Co się stało, Zosiu? — odezwał się czyjś wysoki głos.

— Z poczty. Człowiek przyniósł telegram.

Na schodach pojawiła się dziewczyna, zbiegła szybko, zeskakując po dwa stopnie naraz.

— Gdzie ten telegram?

Wicio podał w milczeniu zaklejoną arkusik. Rozerwała go i szybko ogarnęła wzrokiem jego treść.

— Maman, papa arrive.

Wicio czuł, że nie wiadomo dlaczego serce bije mu spiesznie, bije bardzo mocno. A ona rzuciła się do drzwi sąsiedniego pokoju i tam zderzyła się z matką.

— Tatko jutro wraca. Widzisz, widzisz, miałam przeczucie, że będzie dobra wiadomość. Śnił mi się pociąg całą noc. Taki pociąg, który jechał wprost po ziemi, nie po szynach.

— Podpisz panu kwit — odezwała się matka.

Dziewczyna podbiegła do Wicia i znowu nie spojrzawszy nań ani razu wzięła papierek.

— Proszę wypisać dokładną godzinę — rzekł Wicio zdławionym głosem.

Wróciła do matki, szukały chwilę ołówka w sąsiednim pokoju.

— Il faut donner quelque chose a cet homme pour sa fatigue —  
powiedziała matka.

— Oui, donne lui cinquante grosches. Qu'il ait une bonne soiree.

Zadźwiewał bilon, szurnęło krzesło.

— Nic mi nie mówisz, że ojciec pisze: przyjeżdżamy, a nie przyjeżdżam.

— Nie zauważyłam. Och, Boże, jak się cieszę. Nous pouvons lui donner un zloty.

— Tu aimes dorloter les gens.

— Maman, le soir est si froid et lui, le pauvre diable, il n'a qu'un pull sur le dos.

— Cinquante, ca suffit.

Przybiegła z kwitkiem, w którym schowana była moneta. Nie patrząc na Wicia podała mu napiwek mówiąc machinalnie po francusku:

— Merci. C'est tout?

Wicio z trudem przełknął ślinę, potem rzekł nieswoim głosem:

— Oui. C'est tout. Et moi je vous remercie, mesdames, et je vous souhaite une bonne nuit.

Ona już biegła w stronę tego pokoju, gdzie była matka, i nagle słysząc jego odpowiedź zatrzymała się w pół kroku. Powoli odwróciła głowę, pierwszy oraz spojrzała w stronę Wicia.

— Merci pour le pourboire. J'essayerai d'en faire une grande fortune —  
rzekł śmielej Wicio i skłonił się niezręcznie.

— Je m'excuse — powiedziała ona cicho.

Odprowadziła go do furtki pokojówka. Pies szedł znowu za nim, ale teraz chwycił go zębami za nogawkę i nie wiadomo było, czy to oznaka

wrogości, czy przyjaźni.

— A jak panienka ma na imię? — spytał Wicio.

— Kto, ja?

— Nie, wasza panienka, od której dostałem pięćdziesiąt groszy.

— Po co panu wiedzieć?

— Nie gniewaj się, przecież to nie tajemnica.

— No pewnie.

— Więc jak?

— Alina.

Wicio szedł chwilę w milczeniu. Pies ciągle trzymał zębami nogawkę.

W domu za nimi odezwał się raptem fortepian zwariowanym glissandem.

— Alina — powtórzył Wicio.

— Ładne imię?

— Właśnie nie bardzo wiem, czy ładne. Mogłoby być ładniejsze. Może to i lepiej.

— Co lepiej?

— Ze nie jest specjalnie ładne.

— Eee tam — mruknęła pokojówka otworzywszy furtkę. Pies uprzejmie puścił spodnie Wicia, od razu siadł ciężko na ścieżce skucząc i warcząc na przemian, nie wiadomo, z wrogości czy z przyjaźni.

— Do zobaczenia — rzekł Wicio.

— Dlaczego do zobaczenia?

— Tak mi się powiedziało.

— Lepiej niech ci się tak nie mówi — odparła cicho.

Wicio został sam na drodze. Chwilę zbierał myśli, potem wziął rower i zaczął iść bezmyślnie wzdłuż metalowego ogrodzenia. Grzął w rozmokłej

ziemi, przedzierając się wśród zeschniętych badyli. Po drugiej stronie płotu biegł milczkiem ten dziwny, wielki pies.

— No widzisz, bratku — rzekł Wicio. — Widzisz, co się stało.

Pies zaskomlał niegłośnie. Zatrzymali się naprzeciwko okna. W szerokiej szczelinie między storami widać było fragment czarnej płyty fortepianu i głowę dziewczyny. Silne światło padało skądś z boku. Zobaczył krótkie, szare włosy, ale szare jakby aksamitną szarością, zobaczył cieniutki profil twarzy skorej do szybkiego śmiechu, zobaczył długą kruchą szyję osadzoną na spadzistych ramionach.

— Może się w niej zakocham, co? Jak myślisz? — szepnął.

Pies zajęczał, przypadł na przednie łapy, dotykając nosem siatki ogrodzenia.

— Może zakocham się nieszczęśliwie i umrę potem z miłości?

Wyjął kwitek, zsunął na dłoń monetę. Zalśniła słabym odblaskiem wypogodzonego przed nocą nieba.

— Gdzie była twoja pani, że nie znałem jej dotychczas, co, piesku?

Pies szarpnął się do tyłu udając ucieczkę, ale znowu wrócił i zaszczekał boleśnie, padł na przednie łapy.

— Nie. Nie zakocham się.

Chuchnął na monetę, wrzucił ją do kieszeni. Nie obejrzawszy się ruszył na przelaj ku drodze. Pies zaczął szczekać, rozpaczliwie wspinając się po siatce. Wicio uruchomił dynamo przy kole, wskoczył na rower. Jechał skrótem leśnym w dół, gdzie w mroku wstającej nocy zsypywał się leniwie ku miastu różaniec złotoczerwonych okienek pociągu.

Kiedy potem wracał pieszo z poczty, ktoś zagwizdał od płotu Puciatówien. Wicio stanął pod swoim domem ogromnym i pokracznym

jak dinozaurus. Niebo było nabite gwiazdami, ale wtedy gwiazdy znaczyły tylko gwiazdy na wiosennym niebie i nic więcej.

— Wićka, chodź no, coś ci powiem — odezwał się czyjś głos.

— To ty, Lowa?

— Tak, ja, no chodź.

Lowa stał pod krzywym płotem poprawiając spodnie.

— Co ty tu robisz?

— Nic, siusiam.

— Ale w ogóle?

— Gramy z nimi w bierki. Chodź,, popatrzysz.

— Daj spokój, pójdę do domu.

— Co się łamiesz, one prosiły, żeby ciebie sprowadzić.

Pociągnął go za sobą przez sień do pokoju pełnego kilimków, makatek, etażerek, figur z porcelany, bambusowych ramek z wypłowiałymi fotografiami, wyszywanych poduszek, abażurów z ceglatego jedwabiu, zaschniętych gałązek jarzębiny. Obie Puciatówny, Cecylia i Olimpia, siedziały za stołem przedzielone Englem. Na serwecie przykrytej kawałkiem ceraty leżał wysoki stos cieniutkich drewnienek. Patefon ciągle jeszcze brzęczał tangiem „Jesienne róże”.

Cecylia poprawiła szpilkę w wielkim koku na tyle głowy.

— O, pan Wicio, dawno nie widziany. Wesoło było na świętach?

— Tak sobie. Jakoś przeleciały.

— Mama posyła pana na wieś, bo pewnie boi się, żeby tutejsze panny nie skrzywdziły.

— Takiego kawalera my też nikomu byśmy nie oddały — zaśmiała się Olimpia i spojrzała w swój dekolt. Jakiś ciężki zapach starych perfum

wisiał nad tym stołem.

— No, no — rzekł Lowa — przypominam, że to ja jestem pani narzeczonym.

— Ach, Lowka, puste słowa, co ja mam z tego narzeczeństwa?

— Jak to co? Rozkosz. Fizyczne zadowolenie — Lowa przysunął się z krzesłem, chciał pocałować Olimpię w kark pod świderkami loczków.

— Idź, uciekaj, świntuchu. Zachciało się amorów. Engel, który stale to bladł, to się czerwienił, walnął dłonią w stół, aż podskoczyły bierki.

— Gramy albo nie gramy, jak Boga Kocham.

— Patrzcie, jaki zazdrosny.

— Panie Wiciu, niech pan z łaski swojej nastawi płytę jeszcze raz.

Wtedy weszła stara Puciatowa okryta wielką frędzlastą chustą. Pod lampą odmierzyła sobie sporą ilość kropel do łyżeczki. Wypiła krzywiąc się nieprzyjemnie.

— Wstydu nie mają. Uczniów bałamuca — zajęczała.

— Niech mama idzie spać. Nie mamy interes.

— Jezu, co za los. Jakie nieszczęście — postękiwała stara chowając lekarstwo w szafeczce.

— Pociąg przejechał dziś człowieka na stacji — rzekł raptem Wicio.

Zamilczeli wszyscy przez moment. „Chłodną rękę mi daj, spójrz mi w oczy i powiedz” — śpiewał coraz wolniej patefon od dawna widać nie nakręcany.

— Jego dusza tu krąży między nami — powiedziała płaczkliwie stara — a wy, grzeszni, wydziwiacie cały wieczór.

— No to gramy albo nie gramy? — zapytał Engel, znowu nie wiadomo dlaczego zupełnie czerwony.



— To może lepiej i nie grajmy — Cecylia rozrzuciła dłonią bierki. —  
Boże, co za koszmarny ten rok.

— Mówią, że wojna będzie — ziewnęła Olimpia.

Lowa wyciągnął bibułkę i pudełeczko czeczotkowe z tytoniem. Zaczął kręcić uważnie papierosa.

— Co roku mówią, że będzie.

— Jezu, co za los. Jakie nieszczęście — stara poczłapała do swego pokoju.

Patefon ucichł, ale nikt się nie ruszył, żeby go uruchomić. Słabnący wiatr otarł się raptownie o ścianę, gdzieś stuknęły nie domknięte drzwi. Komuś zakruczyło w żołądku. Olimpia pchnęła krzesło zerkając na swój dekolt.

— To przez Wicia. Pan Wicio jakiś nie w nastroju. Zepsuł nam grę.

— A o co graliście?

— Niech pan zgadnie.

— Pewnie o całuski?

Lowa puścił wielki kłęb dymu, który od razu schronił się pod abazur. Wszyscy zapatrzyli się w ten dym kołujący pod lampą.

— Zgadłeś — rzekł Lowa. — Ale jakoś tym razem wygrywały tylko panie.

Znowu zamilkli słuchając wiatru.

— Wicio, kiedy się pan wreszcie zakocha? — spytała raptem Cecylia.

— Skąd pani wie, może się już zakochałem.

— On ma serce z lodu — rzekł Lowa. — Musi najpierw zrobić karierę.

— Ale usta ma całkiem do całowania, nie, siostrzyczko? — zachichotała Olimpia i jeszcze raz zerknęła na swój dekolt.

— To ja idę — podniósł się Engel. — Przepraszam bardzo, ale już późno.

— Wszyscy pójdziemy — zgodził się Lowa. — Dziękujemy za miły wieczór.

— Wicio zepsuł nam grę. Ale jutro może będzie lepiej. Chcecie zagrać na fanty? — Cecylia spinała oburącz swój niesforny kok.

— Czemu nie, my zawsze gotowi na wszystko — i tym razem zgodził się Lowa.

— Wiciu, przyjdź też, kochany.

Wyszli na ulicę, stanęli na chodniku przy płocie. Lowa zbierał myśli, patrząc w ziemię. Gdzieś na końcu przedmieścia ujadały zawzięcie psy.

— Ty, Engel — rzekł w końcu Lowa — a nie przychodzi ci ochota, żeby wreszcie wyruchać którą?

— Dlaczego ja, a nie ty? Ty przecież odważniejszy.

— Ja mam dziewczynę w mieście.

— Ty masz dziewczynę? Komu to mówisz?

— Jak Boga kocham, mam.

— To pokaż zdjęcie.

— Teraz, po nocy? A mógłbyś capnąć sobie jedną albo nawet obie naraz.

— Idź ty, one stare. Chyba ze trzydzieści lat mają.

— Fakt, że niemłode. Ale tak, kiedy siedzisz bliziotko i potrącasz łokciem te okrągłości, to nic nie czujesz?

— Pewnie, że czuję. Każdy by czuł.

Lowka milczał pewien czas, a potem westchnął rozdzierająco.

— Ja to mam taki gaz, że deskę bym przebił.

— Każdy ma gaz — poskarżył się Engel.

— To idźże w kibini — zaklął Lowa i ruszył w stronę swego, domu. Engel, znowu mocno zmartwiony, poszedł ciężko za nim.

Wicio został sam i pewnie mocował się z pokusą. Patrzył w gwiazdy, które były wtedy tylko gwiazdami, jakimś pojęciem nastrojowym i niczym więcej. A potem pobiegł raptem w stronę stacji.

Wielka blaszana lampa z ogromną żarówką kolebała się jak dzwon na drewnianym słupie. Rzadkie światło elektryczne chlustało miarowo to na jeden peron, to na drugi. Półokrąg blasku wpadał co jakiś czas w czarną czeluść baraczku poczekalni, gdzie były przedtem zwłoki samobójcy. Wicio wyteżał wzrok chcąc dostrzec w mgnieniu światła tę zapiaszczoną podłogę, w której szparach sterczały uschnięte badyle traw. Ale nie mógł nadążyć z uwagą i znowu zapadał na długą chwilą mocny zmrok przedwiosennej nocy. Więc jął podchodzić ostrożnie, zasłonięty ścianą. Gwiazdy mrugały zawzięcie i zdawało się, że słychać suchy chrzęst tego mrugania. Wreszcie zbliżył się do narożnika, przyłożył ucho do starej belki pełnej zadziorów. Nic nie słyszał oprócz postękiwania wiatru, który czochrał się o zbutwiałe filary budowli.

Wtedy zebrał się na odwagę i raptownie skoczył przed wejście. Spod nóg rzuciło się półkole światła. Zobaczył przed sobą całą poczekalnię z połamanymi ławkami, z wydartymi deskami ze ścian, z freskami przeróżnych napisów rzezanych scyzorykiem. Lecz podłoga była pusta i nikt na niej nie leżał, i nie zobaczył żadnych śladów po tym, kto tu leżał.

Zajęczały szkliście druty przewodów semaforowych. Na niebie, pomiędzy gwiazdami, które wtedy były bardziej romantyczne niż dziś, zapaliło się zielone oko semafora. A pod miastem rodził się już łoskot nadjeżdżającego pociągu.

Ktoś przebiegł miękko za plecami. Wicio odwrócił się gwałtownie. Ale nikogo nie zobaczył.

— Kto tu? — spytał zdławionym głosem.

Nie było odpowiedzi. A jednak ktoś dyszał ciężko w mroku.

— To ty, Lowa?

Znowu odezwało się miękkie stąpanie. Wielki pies siadł na cembrowinie peronu. Patrzyli na siebie w milczeniu.

— Pani ciebie przysłała? — spytał i uczynił krok do przodu. Pies cofnął się ostrożnie, a następnie szedł już tyłem przed postępującym Wiciem.

— No chodź, piesku, zaczekaj — szeptał Wicio. — Co mi chciałeś powiedzieć? Nie uciekaj. A może ciebie nikt nie posyłał? Może już nosisz w sobie duszę tamtego człowieka?

Za czarnym pagórem migotała wątła luna nadjeżdżającego pociągu.

W kuchni zobaczył potem czekającą matkę nad pudłem starych zdjęć. Zżółkłych, grubych tekturek z rosyjskimi napisami na odwrocie. Matka jeszcze raz przez szkło powiększające oglądała zapomnianych kuzynów i umarłe ciotki.

— Gdzie ty byłeś? Co się stało?

— Nie wiem. Może coś się stało.

— Pamiętaj, Wicio, że to najważniejsze. Będziesz lekarzem. Wtedy ludzie wszystko zapomną. Tylko musisz być wielkim lekarzem.

— Dobrze, mamó, będę wielkim lekarzem.

— A co się stało?

— Nie wiem. Zniosłem telegram i dostałem pięćdziesiąt groszy.

— Po co brałeś? Nie wolno przyjmować od obcych pieniędzy.

— To nie ma znaczenia. Mamó, myślę, że to nie ma znaczenia.

— Modlisz się za niego?

— Za kogo?

— Za ojca.

— Modłę się, ale czasem zapominam.

Wstała od stołu, podeszła blisko do niego.

— Wicio.

— Co, mam?

— Pamiętaj.

— Co mam pamiętać?

— Wszystko. Musisz wszystko stale pamiętać.

Wtedy zachrypiał w bokówce dziadek. Sprężyny łóżka strzeliły głosem strun basowych. Wicio wszedł po omacku do zatęchłego pokoju.

— O czym wy ciągle mówicie? Ja nic nie wiem. Mnie nikt nie informuje.

— Już późno, dziadku. Przeleciał międzynarodowy ekspres.

— Na dworze duje?

— Zmniejszył się wiatr, ale może być przymrozek.

— Wicio, ja chyba umrę. W taką porę umierają ludzie.

— Zawsze umierają.

— Och, już chyba dziś. Ziemia pewnie pachnie. Od południa czuję ziemię, jakbym leżał głową w bruździe.

— Niech dziadek zaśnie.

— Nie mogę zasnąć. Boję się zasnąć — zaczął kasłać z jakimś dziwnym wizgiem. — A właściwie nie boję się. Już czas, pora przychodzi. Niech to się wszystko skończy, niech przyjdzie koniec. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. Boże, ale który Boże? Czy ten, którego dali mi rodzice, czy

ten, którego sobie sam wymyśliłem, a może ten, który jest rzeczywiście, a którego my jeszcze nie znamy. Wicio, zostaw drzwi otwarte, niech widzę trochę światła, odrobinę blasku, resztkę znaku po was, po moim życiu. Chłopcze, jakie to wszystko straszne, jak strasznie tak długo żyć i tyle przeżyć. Gdzie był początek, gdzie będzie koniec? Ból, smutek, cierpienie, żal, nadzieja, nie ma już nadziei, jest strach, to strachu nie ma, oczekiwanie, przypomnienie, coś ćmi, jakieś przeczucie, pustka, ale jaka pustka, nie, ból i brak powietrza, ciągły brak powietrza, tlenu, duszenie się, duszenie bez końca, bez końca, wieczność.

Potworna zbrodnia studenta. Ubiegłej nocy zgłosił się do V komisariatu policji były student uniwersytetu, 28-letni Józef Wilk, zamieszkały przy ulicy Kochanowskiego 85, i złożony na stole nóż oraz sznur oświadczył: zamordowałem narzeczoną w lasku za Zieloną Rogatką, 22-letnią Helenę Sójkę, absolwentkę szkoły zawodowej. Wilka zatrzymano, a na miejsce wskazane przez niego wyjechali wywiadowcy, którzy znaleźli tam nieprzytomną Sójkę. Przybyły lekarz Pogotowia Ratunkowego stwierdził na szyi jej głębokie rany oraz ślady duszenia. Wilk poznał Helenę Sójkę przed sześciu laty jako 16-letnią uczennicę i pierwotny zamiar poślubienia jej z biegiem czasu ostygł, zwłaszcza że Wilk po przerwaniu studiów daremnie poszukiwał zajęcia. Ciężkie warunki materialne były powodem dwukrotnego jego zamachu samobójczego. W czwartek wieczorem zabrawszy nóż kuchenny i sznur udał się z Sójką za rogatkę. W pewnej chwili, jak zeznał w śledztwie, nie zdając sobie sprawy, co czyni, zarzucił jej pętlę na szyję i obaliwszy na ziemię poderżnął jej gardło, potem w przekonaniu, że już nie żyje, zdjął jej z szyi sznur i

usiłował się powiesić. Niesamowita zbrodnia jest przedmiotem dalszych dochodzeń policyjnych. Życiu Sójki nie zagraża niebezpieczeństwo. Przewieziono ją do szpitala. Wilk jest synem inwalidy wojennego. Studia uniwersyteckie przerwał z powodu braku pieniędzy.

Wicio czekał na nią. Siedział przed dworcem na kamiennym słupku pod nagim kasztanem. Po niebie sunęły spiesznie wielkie obłoki jak zerwane z uwięzi balony. Szanujący się eleganci nie nosili już o tej porze płaszców, więc i Wicio marzył coraz bardziej, obserwując stadka licealistów, którzy wbiegali do budynku dworca wileńskiego. Na pustawy placyk zajeżdżały dorożki, furmani wieszali koniom worki z obrokiem na głowach, potem zbierali się w gromadki, żeby porozmawiać o życiu. Od czasu do czasu wtaczał się autobus miejski zwany przez miejscowych „arbonem”. Na schodach stacyjnych stał rząd bagażowych zwyczajem rosyjskim opasanych fartuchami.

Ale przedtem Wicio musiał się uwolnić od Lowki, który coś podejrzewał.

— Po co ty tu siedzisz? Na kogo czekasz?

— Na nikogo. Idź do diabła.

— Pójdę do diabła, ale musisz powiedzieć.

— Nie powiem. Szkoda twego czasu, Lowa.

— Ja wiem, że coś się stało. Miałem widzenie w nocy, jej Bohu.

— Lowka, dam ci papierosa, dam ci nawet pięć, ale idź, już trzy pociągi odeszły.

— A napiszesz za mnie pracę z chemii?

— Napiszę za ciebie wszystkie prace, tylko odejść wreszcie.

Lowa wahał się zwiedziony pokusą.

— No i widzisz, co to kacapskie serce — westchnął wreszcie. — Dobrze, niech będzie, pójdę sobie. Dlaczego ja jestem taki miękki, dlaczego każdy może mnie przekupić? Przecież z takim charakterem muszę zginąć w życiu. To daj te papierosy.

Wziął trzy „junaki” i z ociąganiem poszedł do wejścia. Na schodach marudził chwilę przypalając od tragarzy, wreszcie zniknął w drzwiach pod zegarem, na którym znowu przeskoczyła nowa minuta.

U wylotu ulicy odezwała się raptem wojskowa piosenka. W stronę dworca towarowego szły oddziały żołnierzy w rynsztunku bojowym. Za nimi dyrdały mozolnie po bruku ciężkie furgony z brezentowymi budami. Kilku zasmarkanych chłopców biegło chodnikiem odprowadzając żołnierzy.

I wtedy, właściwie w ostatnim momencie, spostrzegł Wicio dwie licealistki znikające w drzwiach dworca. Rzucił się za nimi w pogoń, zgubił je na chwilę w hali kasowej w tłumie podróżnych, zaczął więc biegać nerwowo, przepychać się wśród waliz i tobołów, aż wreszcie spostrzegł je za obrotowymi stelażami rozkładu jazdy pod oknem. Zasłoniwszy się plecami malowały spieszenie usta. Zajączek z ich lusterka, które wyrywały sobie z rąk, złocisty i strzępiasty zajączek biegał płochliwie po ścianie z godłem państwowym. Więc Wicio opanował panikę, jał spacerować z godnością, obserwując ukradkiem obie panienki.

Potem wyszły na peron. Przechadzały się wzdłuż pociągu gotowego do drogi. W oknach wagonu szkolnego pełno było głów uczniowskich. Co chwila odzywały się jakieś prowokacyjne gwizdy, syki i śmieszki. One wiedziały, o co chodzi. Trzymając się pod rękę kroczyły majestatycznie po



pustawym już peronie, nieświadome jakby sztubackich zaczepki. Gdzieś w górze odezwało się gdańskie gdańskie. One uniosły głowy i wszyscy na dworcu uczynili to samo. Bardzo nisko, tuż nad dachami, przelatywał dwupłatowy samolot. Przez moment mignęła w gondoli czerwona twarz pilota. Po chwili samolot zniknął za wieżą ciśnięć, warkot motoru utonął w poszumie miasta.

Zanim opuściły głowy, Wicio uczynił kilka szybkich kroków w ich stronę. Zdjął czapkę, po czym uklonił się z dystynkcją. Zobaczył jej spłoszone, skonsternowane oczy i na pewno pomyślał w duchu, że te oczy przypominają zupełnie płytką wodę rzeczną, toczącą się po omszałych kamieniach.

— Ach, to pan? — rzekła szybko Alina walcząc z jakimś raptownym przestraczem. — To pan przyniósł nam wczoraj telegram?

— Dostałem od pani pięćdziesiąt groszy.

Chciał wyjąć i pokazać monetę.

— Ach, nie, nie, przepraszam pana bardzo. Nie myślałam zrobić panu przykrości. Wyszło tak machinalnie.

— Ja się wcale nie obraziłem. Zachowam pieniążek na pamiątkę. Można?

— Sama nie wiem — powiedziała ona z nowym popłochem. — Czy to wypada, co myślisz, Zuza?

Koleżanka zaczęła chichotać chowając głowę w jej włosach, podobnych do szarego aksamitu. Więc Wicio uklonił się jeszcze raz i poszedł niby w swoją stronę. Ale zaraz stanął odwrócony plecami. Czekał, aż ruszy pociąg. Kątem oka zobaczył, że one wsiadają do przedziału drugiej klasy, omijając wzgardliwie szkolny wagon. Pociąg stęknął w podwoziu, zaczął

toczyć się leniwie i ze skrzypieniem. Wtedy dopiero Wicio wskoczył na stopień wagonu, w którym jechały obie dziewczyny.

Wiedział już, gdzie siedziały. Drzwi ich przedziału były nie zamknięte, wiatr wydmuchiwał na korytarz lniane firanki. Podszedł ostrożnie na palcach, wstrzymując oddech, choć odgłos jego kroków zagłuszał przecież łoskot pociągu. Znowu usłyszał te raptowne chichoty. Wysunął nieśmiało głowę, aby zajrzeć do przedziału, i napotkał od razu ich roześmiane oczy. Spodziewały się, że go zobaczą. Ukłonił się niedbale, stanął tyłem, rozparty łokciami na opuszczonym oknie. Pociąg pędził w głąb ogromnej doliny, po której płynęła Wilenka. Ściana urwistych wzgórz podnosiła się coraz wyżej ku niebu. One dziwnie milczały.

Więc odwrócił się wolno czując na karku mokry uchwyt wiatru. Patrzyły na niego spokojnie, wyczekująco, z udaną powagą. Ale Zuza jakby trochę podrygiwała.

— Przepraszam, że tak tu stanąłem. Nie wiedziałem, że panie siedzą w tym przedziale.

— Ależ proszę bardzo — rzekła Zuza walcząc z owym podrygiwaniem.

— Może pan nawet usiąść na wolnej ławce.

— Dziękuję, nie warto, już za chwilę będzie nasz przystanek.

— Przewieje pana. Szkoda takiego kawalera.

Chciał odciąć się dowcipnie, zaczął szukać odpowiednich słów i oczywiście minęła stosowna pora. Słuchali przez chwilę dobrze znajomego stukotu kół. Alina podniosła raptem oczy i zobaczył w nich coś nieokreślonego, szybkiego jak przecucie. Zrobiło mu się znowu gorąco.

— Dlaczego nigdy dotąd pani nie widziałem? — spytał niegłośno. — Jeździ pani pociągiem do szkoły dopiero od ferii wielkanocnych?

— Jeżdżę już półtora roku.

— To niemożliwe — powiedział zmieszany. — Widzę panią pierwszy raz w pociągu. W ogóle pierwszy raz w życiu zobaczyłem panią wczoraj.

Przeniosła wzrok na okno, pewnie po to, żeby nie mógł dojrzeć jej twarzy.

— Och, zupełnie możliwe. Kilka razy nawet mnie pan potrafił w przejściu. Zimą obrzuciliście nas śnieżkami na przystanku.

— Nie, jednak niemożliwe. Na pewno bym panią zapamiętał.

Spojrzała na niego ze smutkiem, ale ten smutek nie był przekonywający.

— A jednak. I chyba nie warto już o tym mówić. Po prostu przez półtora roku nie zwrócił pan na mnie uwagi. Zdarza się. Przeżyję to jakoś.

— Dlaczego pani tak powiedziała? Przecież to nieprawda.

— Że przeżyję?

— Nie. Że nie zwróciłem uwagi.

Teraz ona się zmieszala, zaczęła starannie zapinać teczkę, która i tak była dobrze zapięta.

— O, już przystanek! — zawołała Zuza.

Rzuciły się do wyjścia, bo pociąg stawał tu tylko na minutę. Wicio zszedł ociężale ze stopnia w ostatnim momencie. One były już daleko. Stał na peronie, jakby bojąc się iść dalej. Wtedy Alina odwróciła się na moment i krzyknęła: — Do zobaczenia!

Wicio podniósł dłoń wstydliwie. Ktoś raptem palnął go grubiańsko, w ramię. Wicio drgnął obudzony nieprzyjemnie.

— To na nią czekałeś, frajerze — powiedział szyderczo Lowka. — Obserwowałem cię całą drogę. Która ci się podoba? Pewnie Alina?

— W ogóle nie mam pojęcia, czy ktoś mi się podoba. Może tylko trochę

medycyna.

— Po co ty mi to mówisz?

— Bo ja jestem egocentryk, rozumiesz? Nie wiem, czy ktokolwiek w życiu będzie mi się podobał.

— Założymy się?

— Że co?

— Że ona ma cię już w kieszeni.

— Kto?

— Alina.

Wicio troskliwie zaczął wyjmować chudy plik podręczników i zeszytów zza pazuchy. To był też specjalny fason elegantów, żeby nie nosić teczek.

— Brzydkie imię — powiedział niedbale.

— Wyda ci się potem piękne.

— Dlaczego ty się do mnie przyczepiłeś? Może jesteś zazdrosny?

— Może jestem. Założymy się?

— O co?

— O niewiadome. Jeśli wygram, będę mógł coś zażądać od ciebie.

— Nie za duża stawka?

— Nie. Bo będziemy mogli żądać tylko w ramach naszych możliwości.

— Ty się w niej podkochujesz, Lew Tygrysowicz?

— Przecież sam mówiłeś, że widzisz ją dopiero kilka dni.

— Ona twierdzi, że mieszka tu już półtora roku. Czy to prawda?

— Może i prawda. Przecinamy zakład?

— Co ja mogę wygrać od ciebie?

— To, co ja od ciebie. Daj grabę.

Niewielki obłok szpaków spadał na ogrody przedmiejskie. Wicio być

może pomyślał, że ten zakład jest mu właściwie na rękę w takim momencie, kilka tygodni przed maturą.

— Co będzie, to będzie, zakład stoi — rzekł raptem i natychmiast pożałował swojej decyzji.

W tamtych czasach koni było prawie tak dużo jak ludzi. Konie wspólnie z ludźmi cywilizowały ziemię. Wszystko, co przedtem zbudowano, powstało przy udziale koni. Każdy metr ziemi uprawiony został dzięki mięśniom końskim. Konie harowały wspólnie z ludźmi, a nawet może więcej. Z zawziętym uporem konie i ludzie przebudowywali swoją planetę. Czynili to właściwie bez przyjaźni, bez poufałości, jaką daje wspólna praca. Tyrali niby razem, ale jakby osobno, z pewną obojętnością wobec losu współnika. Rzadkie były miłości między nimi. W nadrzędnym poczuciu wspólnego losu stawali do codziennej mordęgi. Najczęściej łączył ich tylko koszmarne wysiłek. Rzadziej wspólna zabawa.

W tamtych czasach widziało się tyle koni co ludzi. Konie wlokły ulicą ciężarowe wozy i konie wiodły karawany, konie napędzały młockarnie i deptały komposty, konie niosły na swych grzbietach wojsko i dawały żołnierzom pokarm ze swego mięsa, konie odnajdywały zgubioną drogę i konie swoim ciepłem ogrzewały marznących.

Były też konie bogate, rozpustne, pełne kaprysów oraz zachcianek. Ale były też konie żebracy, nędzarze, obozowi muzułmanie. Czasem konie umierały z przejedzenia rozdęte młodą koniczyną, czasem konały na środku ulicy z głodu i chorób jak ludzie. A były też konie fantazyjne, awanturnicze, o wspaniałych charakterach, znane w całej okolicy albo nawet i dalej, a były też konie skromne, niczym się nie wyróżniające,

jakby nijakie i w ogóle bezimienne.

Życiorysy koni zdarzały się nadzwyczajne. Zналиśmy konia, który wierzchem woził rosyjskiego generała, brał udział w wojnie, po rewolucji pracował w cyrku, wreszcie trafił na wieś i tam zakochał się w nim pewien dziedzic, który kupił go dla swoich dzieci, w końcu koń się zgubił albo go ukradli Cyganie i u schyłku życia rozwoził węgiel po przedmieściu, gdzie mieszkali Alina i Wicio.

Każdy w owych czasach wiedział doskonale, że nie ma dwóch jednakowych koni. Różniły się przede wszystkim maścią. Były konie siwe, karę, gniade, kasztanowate, bułane, myszate. Ten miał białą gwiazdkę na czole, inny jasne skarpety. O ogonach lepiej nie wspominać, takie bowiem bogactwo zawierało się w ogonach. A grzywy? Tylko o grzywach można by było prawić do wieczora.

Chyba to i nieprawda, że ludzie nie kochali koni. Kochali, bywało, że kochali, ale kochali jednak za mało. Owszem, zdarzało się widzieć konia wygłupionego z takiej miłości. Na uszach płócienny pokrowczyk z amarantową wypustką, przy oczach skórzane klapy, żeby nic go nie spłoszyło, grzywa spleciona w warkoczyki albo po prostu fryzowana misternie, no i ogon cały w splotach i wstążeczkach. Ale też w takich wypadkach nie wiadomo było, czy to miłość do konia, czy po prostu miłość własna.

Wiele się mówiło wtedy o koniach charakternych. Całe legendy narastały o koniach, których nikt do końca nie potrafił okiełznać ani ujarzmić. Takie konie stawały się sławne, ich imiona krążyły wśród ówczesnych ludzi jak dziś imiona popularnych pieśniarzy. Każdy szanujący się człowiek nosił na sobie bliznę po kopnięciu takiego konia.

Tak, były to czasy, kiedy nawet duchy końskie pokazywały się na uroczyskach. Te końskie upiory ziały ogniem z nozdrzy. Spod ich kopyt wytryskiwały kłęby czerwonych iskier. Bardzo często po północy słyszało się tętent diabelskiego konia na rozstajach dróg albo w głębi boru.

Kto nie pławił koni uczepiony grzywy albo ogona w wielkiej rzece albo głębokim jeziorze? Kto nie pasł koni na zmoczonej rosą łące w noc sierpniową pełną spadających gwiazd? Kto nie wrywał obcym koniom włosów z ogona na żyłkę do wędki? Kto nie dławił się mrozem mknąc na nartach za unoszącym go koniem? Kto nie przytulał głowy do miękkich, gorących chrap końskich?

W tamtych czasach konie rodziły się na naszych oczach i to było nasze pierwsze poznanie tajemnicy życia. Na naszych oczach konie pracowały do upadłego i to było nasze oczarowanie tym dziwnym mozołem bez początku i końca. Na naszych oczach konie umierały i to było raptowne przeczucie wieczności albo mroźnej, nieskończonej pustki.

Chyba jednak za mało kochaliśmy konie. To znaczy jako dzieci kochaliśmy dostatecznie, ale później, w miarę upływu lat, kochaliśmy już coraz mniej. Koniom również wyrządziliśmy krzywdę.

Wicio siedział na stromej skarpie koło torów i czekał. W rękę trzymał podręcznik, do którego zerkał czasem, próbując czytać. Ale jakoś nic nie mógł zrozumieć, stale zaczynał ten sam akapit od nowa. Uciekł tutaj na ten sprężysty, suchy mech, na te pierwsze bladozielone trawy, żeby się uczyć w spokoju, lecz była to tylko wymówka przed matką i przed samym sobą. Chciał zobaczyć przyjazd pułkownika Nałęcz, szczerze mówiąc pragnął zobaczyć, jak wygląda ten kuzyn zapowiedziany w telegramie.

Co pewien czas przyjeżdżały pociągi. W straszliwym łoskocie rozdzwonionego żelaza przelatywały kuriery lśniące niklami, mosiężnymi poręczami, srebrzystymi napisami i cyframi. Skromniej zachowywały się zwykłe dalekobieżne. Stawały z godnością między piaszczystymi peronami. Pan Kieżun wyciągał z pocztowego wagonu chudy worek z czerwonym lampasem, spięty przy końcu plombą na drucie, pod którym tkwił trójkątny list przewozowy jak wielka recepta. Pstrokate podmiejskie, złożone z najdziwaczniejszych i najstarszych wagonów, przypominały ruchliwe i wesołe muzea. Z tych pociągów wysypywało się najwięcej podróżnych: zapóźnieni sztubacy, urzędnicy z teczkami i parasolami, kolejarze dźwigający drewniane kuferki z przytroczoną lampą karbidową, panie wracające z randek albo od fryzjera. Ale wśród tych podróżnych nie było pułkownika Nałęczka, a zatem nie było też tajemniczego kuzyna.

Wicio zaczynał na nowo czytać ten sam rozdział, ślizgał się wzrokiem po niezrozumiałych wierszach aż do dołu, żeby za chwilę przenieść wzrok na początek tekstu. Spore stado kawek uganiało się za jastrzębiem, który obniżył lot i szukał zdobyczy. Nad miastem, a właściwie nad śródmieściem, słały się ciężkie dymy. Odezwał się posepny i daleki głos dzwonu cerkiewnego. Ktoś śpiewał rozdzierająco nad Wilenką, może jakiś wariat albo pastuch, przeciwległy stok doliny odbijał ten głos ścianą nagiej dąbrowy, chrypliwe, zwierzęce śpiewanie wracało aż tu, pod skarpe nad torami.

Kiedy z dna doliny zaczął powstawać przezroczysty zmrok, woniejący powodzią, a więc rozkisłą ziemią, butwiejącymi liśćmi i przaśną wilgocią, Wicio zrozumiał, że nie zobaczy już przyjazdu pułkownika i kuzyna. Po pustym pagórku leciała wataha psów skucząc zajadle. Wyglądało to, jakby



tropiły jakieś zwierzątka, ale chyba po prostu towarzyszyły goniącej się suce.

Wicio zamknął książkę zagiąwszy rożek strony. Wyszedł na ulicę, która prowadziła ku górnemu przedmieściu. Patrzył na bruk przypominający czaszki ludzkie i pewnie doznawał tego przejmującego bólu niespełnienia, które zna każdy z młodości, ale tylko z młodości tamtych lat.

— Wicio! Wicio!

To Engel, czyli Engelbarth, wisiał na płocie przywołując go wolną ręką.

— Nie mam czasu! — krzyknął Wicio.

— Musisz zająć koniecznie. Greta bardzo prosi. Cna zupełnie nie rozumie pieśni Kochanowskiego.

— Może jutro. Dziś nie mogę.

— Ale dawniej mogłeś.

— Sam wiesz, ile mam roboty.

— Greta bardzo ciebie prosi.

— Przeproś ją ode mnie.

— A dokąd ty idziesz?

— Dokąd idę? Nigdzie nie idę.

— Jak to, przecież idziesz pod górę.

— Czego ty chcesz ode mnie, Engel?

— Ja nic, tylko Greta prosiła. Słyszysz? Greta bardzo prosiła!

Ale Wicio już nic nie słyszał. Biegł z całych sił lasem na skróty. Dziwna biała wiewiórka uciekała przed nim nie mogąc wybrać stosownego drzewa. Skoczyła wreszcie na starą sosnę, zaczęła wspinać się ku górze, gdzie był podniosły szum rozkołysanych drzew.

Zatrzymał się potem i patrzył na tę willę, na ten ogród zbiegający

tarasami w stromy wąwóz. Zobaczył wreszcie samochód pod ścianą domu, granatowy polski Fiat, przypominający puszkę od herbaty. Młody człowiek w pumpach i aksamitnej „batorówce” wydobywał sakwojaż z wozu. Niósł bagaż w stronę ganku, gdzie ktoś czekał w czerwonym prostokącie światła.

Wicio kryjąc się wśród krzaków podbiegł do ogrodzenia. Zatrzeszczało zielsko i pokazał się ten wielki pies nieokreślonej rasy. Biegł ciężko jak cielę, roztrącając suchy maliniak. Wreszcie usiadł przed Wiciem po drugiej stronie drucianej siatki, zaszczekał ni to z wrogości, ni to z obowiązku, ale chyba raczej bez przekonania. Wielki jęzor jak czerwona skarpetka zwisał bokiem z otwartego pyska.

— No co, zajączku? — szepnął Wicio. — Poznajesz mnie?

Pies zapiszczał rzeczywiście jak zajac i przestąpił z nogi na nogę.

— Zamień się ze mną. Daj mi swoją skórę, to wejdę do twojej pani i niepostrzeżenie będę z nią do późnej nocy.

Pies przerzucił jęzor na drugą stronę pyska.

— To przynajmniej pozwól mi wejść.

Wsadził rękę przez oko siatki. Pies zbliżył się bez specjalnej ciekawości, obwąchał dłoń, a potem chwycił znienacka palce zębami. Wicio wstrzymał oddech. Na pewno słyszał gwałtowne uderzenia swego serca. Słyszał to i pies, bo zawarczał cichutko nie puszczając ręki.

— Daj mi wejść. Nie rób trudności. Będę pamiętał ten wieczór przez całe życie i ciebie będę pamiętał. Utrwalę ciebie w swojej świadomości na zawsze, zajączku. Będiesz sławnym psem i pokochają ciebie ludzie, którzy nigdy nie lubili psów.

Wtedy pies puścił rękę, cofnął się na dawne miejsce.

— Trudno — zaszeptał Wicio. — Albo mnie zjesz, albo będę żył długo i szczęśliwie.

Namacał szpicem buta większe oko siatki. Wspiął się pół metra i chwycił kolczastą krawędź ogrodzenia. Podciągnął się na rękach, przerzucił nogę na drugą stronę. Pies odwrócił się dyskretnie, obserwując dom, z którego okien mżyło ciepłe, senne światło.

Wicio zeskoczył w zmarznięte pokrzywy, po drodze wizgnęła króciutką skargą rozdzierana nogawka. Pies zbliżył się i w milczeniu złapał zębami dłoń Wicia. Ruszyli obaj w stronę domu, ale kiedy Wicio pochylił się, żeby nikt go nie spostrzegł przez okno, pies zawarczał ostrzegawczo. Widać było, że potępiął.

— Co ja właściwie czynię? O co mi chodzi, zajączku? Przecież ja jestem egocentryk, który musi zrobić karierę.

Stanęli za krzakiem bzu pod oknem. Przy niewidocznym stąd stole siedzieli pijąc herbatę wszyscy domownicy. Pomiedzy nimi ten kuzyn z wielką jasną czupryną i z dołkiem w energicznej brodzie.

— Popatrz, zajączku — rzekł półgłosem Wicio. — Twoja pani to nic szczególnego. W ogóle jej nie dostrzegałem przez półtora roku, to znaczy przez połowę twego życia. Co się stało, że nagle łążę nocą po płotach?! A wiesz, jak bije mi serce? Może siądziemy tu na kamieniu? Widzisz, zajączku, nie chce mi się wracać do domu. Taki piękny wieczór. Posiedzę sobie trochę, może się coś stanie.

Po drugiej stronie wąwozu las huczał jak wodny młyn. Samotne gwiazdy pokazywały się raptownie i ginęły ścierane przez niewidoczne chmury. Wypełniała się wiosenna noc. Wielka, smutna cisza przygniotła ziemię pachnącą nowością.

Wicio zaczął dygotać z zimna i emocji. Pies położył mokry pysk na jego rozedrganym kolanie.

— Słyszysz, zajączku, nieskończoność? Słyszysz ją, jak głośno milczy? Ona chowa w zanadrzu mój los. To będzie życie, jakiego nikt jeszcze nie miał.

I raptem zobaczył Wicio, że okno jadalni jest już ciemne. W tym momencie doznał paniki, gwałtownego popłochu. Cały długi wieczór na nic. Zaczął szukać wzrokiem innych jasnych okien. I zobaczył to jedno na poddaszu, przesycone różowym światłem, okno jak koncha muszli.

Wsadził psu do gorącego pyska podręcznik chemii. Pies zawarczał przerażająco, ale nie śmiał upuścić książki. Wicio wspinał się już po kratownicy, podtrzymującej gęstwę martwego jeszcze winogrodu.

Chwycił się rynny pełnej piasku i kamyków, które dostały się tu niewiadomo skąd. Nad rynną był wąski okap kryty gontem. Wciągnął się na tę stromą półeczkę. Rynna stęknęła nieprzyjaźnie. Na czworakach jął pełznąć pod okno pełne różowości. W dole pies biegał nerwowo wzdłuż ściany. Warczał bezradnie zakneblowany grubym podręcznikiem.

Przez muślinową firankę zobaczył Wicio pokój z pochyłymi ścianami i zobaczył ją samą, siedzącą przy biurku tyłem do okna. Coś pisała pięknym wiecznym piórem, które w owych czasach było jeszcze rzadkością. Pisała w wąskiej niczym dębowy liść księdze o złotych brzegach. A mógł to być tylko pamiętnik i mogła ona tylko zapisywać mijający dzień.

Wicio uczeplił się palcami futryny okiennej. Poczuł na twarzy jakąś wilgoć, która zaczęła kropelkami staczać się do ust, i poczuł gorzkawy smak tej wilgoci. A to po prostu padał cichy, drobny deszcz wiosenny,

łagodny, bo nie popędzany przez wiatr.

— Zobaczę ją, zobaczę ją nagą, pierwszą nagą kobietę w moim życiu — i w przeczuciu jakiejś radosnej, podniecającej grozy zaczął dygotać jeszcze gwałtowniej, razem z nim dygotała też rynna, wypełniająca się deszczową wodą.

W dole pies stanął na tylnych łapach. Może chciał lepiej widzieć, może prosił, żeby nie podglądać.

— Ja wiem, zajączku, że to obrzydliwe — szeptał urywanie Wicio. — Wiem, że będę wstydził się tego do końca życia. Ale tylko raz, jedyny raz. Ona jest bezbronna, ufa swojej samotności, okropne, co robię, lecz nie mogę inaczej. Na pewno nią pogardzę i będę miał spokój. Nigdy tu już nie wrócę.

Nie wiedzieć czemu, coś się w nim zaczęło budzić, jakieś przykre ruchy, ale znowu nie takie przykre, jakieś przemieszczenia, pulsujące wyrastania, jakaś gorącość dławiąca, jakieś obrzmienia, duszna gwałtowność bez końca. Szyba pokrywała się już mętną mgiełką jego oddechu, więc starł ją roztrzęsioną dłonią. A dziewczyna wtedy przeciągnęła się raptem unosząc rękę do góry i wyglądało, jakby chciała podnieść niski sufit niczym wieko i zobaczyć gwiazdy. Zakręciła pióro, zatrzasnęła pamiętnik. Ziewnęła bez skrępowania nie osłaniając ust. Namysłała się chwilę, potem szybko zgasła światło.

Wicio jęknął ze zgrozy.

— To koniec. Boże, co ona robi? Wszystko na nic. Przecież ja dostanę pneumonii. Błagam, zaklinam cię na wszystkie świętości. Na mamusię, tatusia i tego kuzyna. Zapal światło z powrotem. Co ci szkodzi. Nic nie stracisz. Ten jeden jedyny raz w życiu. No, słyszysz, zapal natychmiast.

Rozkazuję ci z całej mocy.

I wyteżył wzrok, i włożył weń całą siłę. Hipnotyzował tak potężnie, że aż odczuł ból w skroniach. Ale w środku było ciemno. W denerwującym mroku jakby się coś poruszało i Wicio był przekonany, iż jest już po wszystkim. Dziewczyna wsuwa się leniwie pod chłodną kołdrę w białej, mreżkowej kopercie.

Wtedy zabłysła raptem mała, złota lampa na nocnym stoliku. Wicio zarzęził z ulgi. Dziewczyna, jeszcze ubrana, odwijala róg tej kołdry w mreżkowej powłoce.

A potem zaczęło się to misterium, które działo się stanowczo za szybko, które Wicio całą swoją wolą zwalniał w myślach i pamięci. Dziewczyna rozpięła sukienkę na plecach i ściągnęła ją sennym ruchem przez głowę. A w tym ściągnięciu przez głowę, w tych miękkich, leniwych gestach, jakby znanych nie wiadomo skąd od zawsze, w tych okrągłych manipulacjach było tyle przejmującego piękna, że świadomie zapamiętywał je na całe życie, a właściwie na wszystkie noce życia. Później odeszły w mrok białe ramiona stanika. Zobaczył jej plecy, zdziwił się na moment, że nie są tak szczupłe, jak mogły się zdawać skryte ubraniem. Spostrzegł ich miękkość, delikatność, wstrząsającą opływowość. Zauważył skórę złotawą od lampy albo od zeszłorocznej opalenizny. Skórę błagającą o silne, czułe ręce. Przez ułamek sekundy zdumiał się spadzistością jej ramion i zdążył pomyśleć, że takie spadziste, bezbronne ramiona będzie kochał do końca życia. Wtedy ona odwróciła się niespiesznie. Wiciowi coś czerwonego zalało oczy, może krew, może łzy lub deszcz, a najpewniej przyplływ dzikiej emocji. Chciał to zobaczyć i zapamiętać, pragnął to jak najdłużej mieć w oczach, ale widział w jakichś strzępach wśród czerwonych plam i

nie wiedział, czy to było, czy nie było. Mignęły mu dwie porażające obłości obdarzone własnym ruchem, zupełnie trójwymiarowe, rozżarzone do białości, słodko bezwstydne, jakby niedbałe, trochę senne, ale groźne dziwnym przeczuciem, tajemnicze i znane od zawsze nie wiadomo skąd. A obie miały usta otwarte do krzyku, okrągłe wrzosoworóżowe wargi. I nie otwarte do krzyku, lecz jakby stulone do pocałunku. I nie były to jednak wargi, lecz złote słupki śnieżnego kwiatu, a może tylko dwie wyniosłe krople miodu. Zaszamotała się jeszcze niebieskość koszuli nocnej niczym dym nad ogniskiem, mignęła w spojeniu nóg rozpalona, przepastna czerń i już zimna, śliska kołdra wpełzła skrycie na dziewczynę. Wicio chciał łyknąć świeżego powietrza, rozwarł zaciśnięte zęby, ostatnia czerwień smagnęła go po oczach i nagle ze zdumieniem, z leniwym i obojętnym zdziwieniem spostrzegł, że nie trzyma się futryny okiennej, że nie zapiera stóp o blaszaną rynnę pełną żarnowego piasku, że leci po prostu w dół słuchając szeptu wiosennego deszczu.

Zwalił się na psa, który z nieludzkim wrzaskiem skoczył do ucieczki. Potem rozbudziło go hałaśliwe otwieranie drzwi. Pułkownik Nałęcz w ogromnym szlafroku mocował się z kluczami. Wicio patrzył z beznamiętną ciekawością na jego wysiłki. Wreszcie puściła oporna sztaba, zaskrzypiały drzwi i dopiero wtedy Wicio zrozumiał, o co chodzi. Niezdarnie rzucił się do ucieczki pełznąc między krzaki.

Pułkownik Nałęcz stanął na ganku. Zapalił wielką latarkę reflektorową i zaczął nią omiatać ogród.

— Rex! Rex, do nogi!

Pokazał się cień psa, który wcale nie kwapił się do nóg swego pana. Popiskiwał jak zając i dreptał głupkowato w pewnej odległości od

schodów.

— Co tu się dzieje? Kto chodzi po ogrodzie?

Pies zaszczekał z przechwałką w głosie, ale dosyt nijako mu to wyszło, więc umilkł, siadł bezmyślnie pośrodku kałuży.

— Zobaczysz, łajdaku, oddam cię hyclom na smalec.

Jeszcze raz poszperał sztychem światła wśród nagich drzew i pustych krzaków. Potem zakaszłał i wrócił do domu.

Wicio podniósł się z ziemi. Machinalnie otrzepywał spodnie z błota. Był kompletnie przemoczony, szcząkał cichutko zębami, ale teraz już tylko z zimna i zmęczenia. Czuł się tak zmęczony, że poszukał oparcia w gałęzistej jabłoni.

— Straszna rzecz się stała, zajączku — szepnął bez głosu. — Popeliłem okropne świństwo.

Pies podbiegł kulejąc, stanął przed Wiciem, obnażył wielkie kły, które przypominały zęby od grabi.

— W porządku. Możesz dać spokój. Już nigdy mnie tu nie zobaczysz. Już nigdy nie pokażę się twojej pani na oczy. Co mi się właściwie stało? Przecież mógłbym, gdybym chciał. Tyle jest dziewcząt. Do wyboru, do koloru. Ale matura, a potem medycyna. Jak to się stało? Gdzie moja kariera?

Pies słuchał z wyszczerzonymi zębami. Wyglądał z tym brzydko i wściekle.

— To pierwszy i ostatni raz w życiu. Żegnaj, przyjacielu.

Wicio ruszył ciężko w stronę ogrodu. Pies kulejąc rozpaczliwie biegł obok niego, lecz nie trzymał już za rękę. Wicio z mozołem chwycił się drucianej siatki. Wtedy pies milczkiem capnął za miękisz w okolicach



tylnej kieszeni spodni. Wicio poczuł raptowny ból, instynktownie wierzgnął nogą, kopnięty pies zaskuczał rozdzierająco.

Dopiero po drugiej stronie Wicio obmacał bolące miejsce. Chciał się na jakimś pniu, ale się opamiętał. Pies stał za siatką. W jego gardle przetaczały się stłumione, lecz nieprzyjemne chroboty.

— Popatrzę ostatni raz — odezwał się głośno Wicio.

I patrzył długą chwilę na ten dom czarny, ledwo mieniący się odblaskiem szyb, w których znowu pokazało się gwiazdziste niebo, patrzył na zastygły ogród, patrzył na to ogrodzenie, co jak spleciona pajęczyna oddzieliło go na zawsze od Aliny.

Zamachy samobójcze. Jadwiga Koziół (Chłodna 30) popełniła samobójstwo wypijając większą ilość jodyny. Pogotowie Ratunkowe udzieliło desperatce pierwszej pomocy. Dwudziestopięcioletnia Czesława Zającówna (Lubelska 30), chcąc pozbawić się życia, napiła się esencji octowej. Pogotowie przewiozło ją do szpitala Przemienienia Pańskiego. Rozalia Motyl, lat trzydzieści pięć (Serocka 13), w zamiarze samobójczym napiła się kwasu solnego. Pogotowie przewiozło nieszczęśliwą do szpitala Dzieciątka Jezus.

Cud w Kanadzie. Montreal. Sparaliżowana jedenastoletnia dziewczynka została uleczona po ucałowaniu relikwii w oratorium św. Józefa w Montrealu.

Las szumiał złowrogo. Ten las nie miał końca. W zawiłych meandrach oplatał miasto, szerokimi odnogami docierał do borów, a te jednoczyły się z ogromnymi puszciami, które jak przybór morza płynęły na wschód

zalewając Białoruś. Ten las strzępiastymi klinami rozdzielający przedmieścia miał wielkich starszych braci. I dlatego szumiał głosem puszczy.

Wicio szedł ku dolinie mocno chwiejąc się na nogach. Z trudem panował nad bezwładem ciała, które leciało w dół, w mroczną przepaść lasu. Wicio był zmęczony jak nigdy dotychczas. W tym huczeniu drzew posłyszał kucie dzięcioła i nie zdziwiło go to wcale, choć nigdy w nocy dzięcioły nie opukiwały chorych pni.

Nie przestraszył się również wcale, gdy z głębokiej nocy uderzył w niego raptem ostry strumień światła. Zatrzymał się tylko i osłonił zmrużone do bólu oczy.

— Kto tu? — zapytał ciemność.

Wtedy latarka zgasła. Ktoś podchodził pod górę ciężko oddychając. I nie był to pułkownik Nałęcz.

— Przepraszam — odezwał się nieznany człowiek. — Zmyliłem drogę.

— A kogo pan szuka?

— Chciałem wyjść na ulicę, która prowadzi do szkoły, ale do tej murowanej. Wydawało mi się, że idę dobrą ścieżką.

— Nie, tędy wyjdzie pan na działki wojskowe.

— Ach, na działki wojskowe? To nie, na działki nie chcę wyjść. Chciałem do szkoły.

— Trzeba wrócić do rozwidlenia i potem pójść dróżką prawą.

— A nie podprowadziłby mnie pan trochę?

Wicio zawahał się przez chwilę. Nieznajomy człowiek stał z opuszczoną latarką, która wycinała z nocy ciasny okrąg ziemi z rudymi liśćmi, z gronami butwiejących żołądzi. Odezwała się nagle stłumionym głosem

kukułka i Wicio poznał sygnał radiostacji wileńskiej.

— Słyszę gdzieś radio — powiedział. — A pan słyszy?

Odezwała się muzyka symfoniczna, człowiek także słuchał, jakby sobie coś przypominał, a potem pstryknął niegłęboko przy płaskiej, małej skrzynce, która niczym torba myśliwska zwisała z jego ramienia.

— Pokaże pan mi drogę, panie Wiciu?

— A skąd pan mnie zna?

— Znałem kiedyś, ale teraz już ledwo pamiętam. Niech pan prowadzi z łaski swojej.

I ruszył w dół po stromej, śliskiej ścieżce, a Wicio za nim. Odnaleźli rozwidlenie, wtedy nieznajomy człowiek ujął chłopca pod ramię i skierował na prawo.

— Jak ten las pachnie, nigdy potem nie mogłem sobie przypomnieć tych woni. Dopiero teraz czuję i wilgoć zimnych szpilek, i przemarzniętą żywicę, i gorzką gniliznę poszycia. Pan, zdaje się, o ile mnie pamięć nie myli, szykuje się na medycynę.

— Tak. Przedtem zdam maturę. Za trzy tygodnie.

— Matura to była wielka rzecz — westchnął człowiek.

— Kiedy była?

— Za mojej młodości.

— Ja pana nie znam, prawda?

Nieznajomy puścił ramię Wicia. Szli przez polanę, musieli ominąć resztki skoczni narciarskiej, zbudowanej przez Wicia i kolegów ostatniej zimy. Ten człowiek był dziwnie ubrany, niby zwyczajnie, ale jakby trochę cudzoziemsko. Na głowie miał skórzany kaszkiet mokry od deszczu, króciutki płaszcz z cienkiego, nie znanego materiału poczerniał na bokach

od wilgoci. Pod daszkiem czapki błyszcząły słabym światłem wielkie okulary w grubej oprawie, jakich nikt w Wilnie nie nosił.

— Wie pan co, panie Wiciu, w którymś momencie życia, ale już chyba po czterdziestce, tak, dobrze po czterdziestce, bo wtedy umarła moja matka, zacząłem sobie myśleć, to znaczy rekonstruować swój domniemany los, budować dzień po dniu swoje życie tutaj, gdybym stąd nigdy nie wyjechał. A zacząłem myśleć w drodze powrotnej z pogrzebu matki. Bo moja matka umarła w niedużym mieście obok morza, i to morze, acz niewidoczne, czuło się zawsze w domu matki. Matka umarła na tej obcej ziemi, choć zawsze chciała umrzeć tu, chciała spocząć w grobie tego cmentarzyka, który jest tam przy kościele, na stoku leśnym, pełnym krzaków wilczych jagód.

— Ale tam nie ma żadnego cmentarza — powiedział Wicio i zrobiło mu się nieswojo. — Tam jest zwykła leśna polana, na której ministranci rozpalają trybularze i kurzą ukradkiem papierosy.

Nieznajomy przystanął na chwilę, jakby raptownie zmieszany.

— Tak, racja, tam nie ma jeszcze cmentarza. Powstanie dopiero w końcu wojny. Więc wracałem z pogrzebu matki, który załatwiliśmy raz-dwa, bez ceregieli, choć z wszystkimi koniecznymi obrzędami. Poznałem wtedy jakichś krewnych spotkanych pierwszy raz w życiu. Skoczyliśmy na jednej nodze do szpitalnej kaplicy, a może raczej kostnicy. Był to zimny, murowany baraczek. Jakiś dziad szpitalny otworzył szerokie wierzaje jak do garażu. Mama leżała w sosnowej trumnie. Szkolne kapcie trzymały się ledwo-ledwo, zawieszane na palcach potwornie spuchniętych stóp. Posługaczki nie zamknęły powiek w odpowiedniej chwili, więc mama patrzyła w betonowy sufit wytrzeszczonymi oczami, w których była

straszna rozpacz śmierci, przerażające zastygnięcie ma progu wieczności. A przez te raptownie otwarte drzwi runęło na matkę gorące czerwcowe powietrze, w których pływały puszyste ziarenka nie znanych drzew. Od razu znaleźli się gapie, nie ogoleni starcy w szpitalnych fartuchach, jakieś dziewczyny-zdrowuchy na czerwonosinych nogach. Klęczałem. u nóg trumny, chciałem się modlić, szukałem w skamieniałej pamięci słów pacierza, nie mogłem wiele znaleźć, więc bełkotałem coś szeptem, coś w rodzaju aktu strzelistego albo aktu skruchy i było mi straszno, a trochę obrzydliwie, bo widziałem na dnie trumny, na białym płótnie, szarozieloną posokę, którą puszczał już trup mojej matki, trup nienaturalnie wzdęty i nieruchomy na zawsze. Myślałem rozpaczliwie z łatwą rozpaczą i pośpiesznym żalem o mojej matce, o tym, że ją za mało kochałem, że raczej w ogóle nie kochałem, że nie wiadomo, co to miłość, a co dobre wychowanie, co wdzięczność, a co wygoda, co pamięć, a co wyrzut sumienia. Potem wieźliśmy mamę pogrzebowym autokarem na obcy cmentarz rozwleczony niechlujnie wśród sosen szerokiego wzgórza, gdzie ktoś kosił trawę, ktoś karmił dziecko na trawie, jakieś psy szperały przy grobach, gdzie był zabiedzony, skarłały majestat śmierci i wiele niechlujnego, bezwstydnego życia. Ksiądz spełniał posługę nieufnie, dziwił go ten skromniutki orszak żałobny, złożony z syna i kilku krewnych. Potem zakopaliśmy mamę, wbiliśmy w postną, żółtą ziemię krzyż drewniany, okazało się, że ktoś zapomniał obstalować tabliczkę-klepsydre, więc nie znany kuzyn wyrył na krzyżu długopisem imię i nazwisko matki, żeby nie pomylić grobu. A potem uderzyliśmy w gaz, wypiliśmy z krewniakami półtora litra. Początkowo piliśmy z płaczem, ze łzami, potem wesoło i bezwstydnie. Późną nocą krewni powiedli mnie na

dworzec. Szliśmy od płotu do płotu, od ściany do ściany, wreszcie pocałunki starosłowiańskie usta w usta, brak słów, znowu trochę łez, ściskanie dłoni skamieniałych od pracy i upadłem na ławę wagonu, pociąg dudnił ostrzegawczo na przestarzałych szynach, a ja trzeźwiałem z wolna, wracałem do swego własnego, codziennego duktu, do odstawionych na ten jeden dzień myśli, pragnień i ambicji. Gdzieś po północy skoczyłem raptem jak we śnie w daleką przeszłość, w tę dolinę wypełnioną skąpo pamięcią i zacząłem w myślach, snuć swój drugi los, swoje inne życie, które by się stało, gdybym stąd nie musiał kiedyś nagle wyjechać w słoneczny, wiosenny dzień, taki dzień, jaki zwykle przychodzi tu z końcem maja.

Weszli na początek ulicy Wesołej. Elektryczne lampy w mlecznych kloszach kołysały się sennie na drewnianych słupach. Nieznajomy zgasił swoją latarkę i schował ją ukradkiem do kieszeni płaszcza.

— Ja dziś zakochałem się, a potem odkochałem się — powiedział raptem Wicio.

— W kim?

— W takiej jednej z wojskowych działek.

— Aha, przypominam sobie, tak, pamiętam. Na imię miała Alina czy może Emilia.

— Alina. Skąd pan pamięta?

— Pamiętam ze swojej pamięci. Będziecie się kochać straszliwie aż do...

— nieznajomy umilkł nagle.

— Aż do czego?

— Sam zobaczysz, to już niedługo.

— A skąd pan to wie?

— Chodź, podprowadź mnie do tej szkoły.

— Nie mogę, muszę wracać do domu. Moja matka będzie niespokojna.

— Chodź, dokończę ci moje drugie życie — ujął Wicia pod ramię.

Gdzieś w mokrych ogrodach poszczekiwały z pretensją psy cierpiące na bezsenność. — Więc wracając z tego błyskawicznego pogrzebu, na którym otarłem się o starych, dobrych ludzi z tej ziemi, siedząc w rozdygotanym wagonie zacząłem z lękiem snuć swoje drugie, przypuszczalne życie, którego unikałem cudem, dzięki kaskadzie przypadków, szerokiej rzece różnych układów i incydentów z kloaki historii. Zobaczyłem siebie ze zgrubiałymi rysami, przedwcześnie postarzałego, może w otoczeniu chorowitych dzieci i zamęczonej jak zwierzę żony bez określonego wieku. Wyobraziłem sobie, że nie ukończyłem szkół i studiów, że nie obrosłem w doświadczenia wynikające z obcowań na wyższych piętrach społecznych, że nie pojąłem sensu, a raczej bezsensu ogólnej wegetacji, że nie spełniłem tego wszystkiego, co chciałem spełnić, że nie chwyciłem łączywie w dłonie tego, co chciałem osiąść, i że to wszystko zdobyte, osiągnięte, wydarte życiu, losom, chaosowi nie rozsypało się w rękę jak szczypta popiołu z włosów ludzkich. A więc stawałem się w tym nocnym, prowincjonalnym pociągu kimś drugim, sobą innym, o prostych pragnieniach, poganianym przez prymitywne instynkty, ślepym i nieczułym, ślepym na odbicia dalekich dali, nieczułym na przejmującą i słodką, dotkliwą i łaskoczącą, upiorną i wabiącą gorycz życia. Stawałem się z wolna pozbawionym samowiedzy męczennikiem, obłuskany z jedwabiu, ale i z syfilitycznych wrzodów półczłowiekiem, wyjałowionym z bólu istnienia indywiduum. Szedłem codziennie o świcie do pracy, harowałem ciężko osiem, może dziesięć godzin, jadłem na śniadanie,

obiad i kolację tę samą zupełną kartoflaną z rozgotowanymi resztkami peklowanego mięsa. Po pracy siadałem na ganku, patrzyłem bezmyślnie za przelatującymi szpakami. Czasem coś wypilem i uderzyłem chore dziecko albo kwękającą żonę. Gdzieś za horyzontem rzeźbił świat w konwulsjach szalonego przyśpieszenia cywilizacyjnego, a ja wstawałem i kładłem się, jadłem i wydaląłem, harowałem i spałem bez snów, patrzyłem na niebo, drzewa, na rzekę i nic nie rozumiałem. I nie przeżywałem raptownych lęków przed nicością, nie żałowałem minionych dni, nie pragnąłem szybkiej śmierci, nie tęskniłem do świętej wieczności. To drugie życie biegło jak sąsiednie tory obok mego właściwego życia i ogarnęło mnie raptowne przerażenie, że te tory mogły się wielokrotnie pomylić i że mogą jeszcze pomylić się w przyszłości. Potem z głębi nocy w słabo rozpędzonym pociągu przyszła jakaś zła ochota, żeby się wszystko pomyliło i żeby pożyć jakby w swojej, ale przecież i nie swojej skórze, żeby pożyć swoim, ale przecież i nie swoim, bo pominiętym wariantem życia.

Wicio uwolnił ramię.

— To tu — powiedział bardzo cicho. — To jest murowana szkoła.

— Ja wiem. Poznaje, ale nie widzę stawu pełnego wiosną kijanek i trytonów.

— Staw jest przy tej drugiej szkole, przy drewnianej.

— Omal mi tu nie wybili oka kamieniem na wielkiej pauzie.

— Mnie też omal nie wybili — rzekł z lękiem Wicio.

— Tak, tobie omal nie wybili — potwierdził nieznajomy. — Wracajmy.

Ruszyli z powrotem równoległą ulicą Kościelną. Jakiś chłopiec przebiegł w ciemnościach siąkając rozpaczliwie zakatarzonym nosem.



Spieszył się do domu i wiedział pewnie, że dostanie w skórę. Nieznajomy człowiek przystawał czasem, rozglądał się chciwie dokoła. Widocznie poznawał jednak coś osobliwego w tych zzieleniałych od zimowej pleśni płotach, w tych jednakowych drzewach ogrodów, w tych uspionych domach podobnych zupełnie do siebie.

— Tu w tej willi uczyłem się potajemnie w czasie wojny. Jeszcze nie zbudowano oszklonej werandy, gdzie zostawialiśmy zabłocone buty.

Wicio chciał coś zapytać, ale przestraszył się swojej ciekawości. Pomyślał chyba, że lepiej nie pytać.

— Właściwie nie pamiętam nawet, jak ona wygląda — odezwał się raptem.

— Kto?

— Ta dziewczyna. Nie pamiętam w tej chwili jej oczu, jej twarzy, jej włosów. To dziwne.

— Gorzej niż dziwne.

— O czym pan myśli?

— Pamiętasz więcej niż jej wygląd. Pamiętasz ją dla niej samej. Później to zrozumiesz.

Nieznajomy człowiek zatrzymał się przy furcie kościelnej. Ujął w obie dłonie żelazne pręty ogrodzenia. W małych szybkach okien widać było czerwony blask lampy oliwnej przed głównym ołtarzem.

— Dlaczego pan chciał zobaczyć szkołę? Przecież pan jej nawet nie obejrzał.

— Nie wiem. Szedłem, jakbym miał coś ważnego, ale potem zapomniałem. Tak samo mógłbym pójść na Młyn Francuski albo do starej papierni czy nad Wileńkę.

Minęli kościół, weszli na początek ścieżki, która biegła zakosami ku dolnemu przedmieściu.

— Cicho, cśś — szepnął człowiek. — Słyszysz las? Słyszysz, jak do mnie zagadał? Poznał mnie i przywitał. On mnie dobrze pamięta. Musi pamiętać. Te drzewa widziały mnie jako dziecko, ja je później kaleczyłem, spuszczać wiosną soki, a po latach te same drzewa mnie chroniły, zasłaniały sobą przed pogonią. Całe lata starałem się przypomnieć sobie szum tych drzew, starałem się go nazwać, ale nie potrafiłem nazwać. Bo drzewa z moich lat dojrzałych już nie umieją szumieć, zapomniały tej melodii, tego tonu podniosłego, głębokiego, idącego w niebo.

— Stąd już pan wszędzie trafi. Na dole stacja, tam, gdzie tyle mrugających świateł, miasto. Już nie będę panu potrzebny.

— Poczekaj, Wiciu — zapalił nagle latarkę. Wicio podniósł dłoń, żeby zasłonić oczy. — Opuść rękę. Chcę cię zobaczyć. Jesteś piękny chłopiec. Tak, byłeś klawym chłopakiem — dodał melancholijnie.

— Pan coś wie, czego ja nie wiem — rzekł ochryłym głosem Wicio.

— Widzisz te drzewa otoczone brzoźkami? Wiesz, co się tam stało?

Wicio z trudem przełknął ślinę.

— Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć?

— Wiesz, ale nie chcesz powiedzieć. Widzisz to drzewo z pokurczonymi gałęziami?

— Nic nie widzę, bo jest ciemno.

Nieznajomy człowiek chciał skierować w tamtą stronę światło latarki, ale jakby nie starczyło mu odwagi. Szczęknął kontaktem i latarka zgasła.

— Na tym drzewie powiesił się ojciec — powiedział cicho.

Wicio milczał długą chwilę. Wreszcie spytał trochę drżącym głosem:

— Czyj ojciec?

— Twój. Przecież od tego czasu nie chodzisz tędy z kościoła do domu, choć bliżej, omijasz tę ścieżkę, ten najpiękniejszy fragment lasu, gdzie w letnie niedziele przyjeżdżają ludzie na majówki.

Wicio znowu poczuł kąśliwy chłód. Wzdrygnął się, aż skrzypnęło w stawach.

— To może pan wie, dlaczego ojciec to zrobił? Myślę o tym tyle lat i nie mogę zrozumieć.

— Ktoś sprzeniewierzył pieniądze, za które ojciec odpowiadał. Tak wtedy postępowali uczciwi ludzie.

— A skąd i to pan wie?

— Matka to twierdziła po latach. Ale nikt nie zna prawdy. Nawet ja. Po prostu któregoś przedwieczora zobaczyły go dzieci, jak wisiał na dębowej gałęzi ze zmartwioną miną. Tego zmartwienia, a raczej zgryzoty nie zatarł wisielczy grymas, nie zatarła śmierć.

Szli jakiś czas w milczeniu, potykając się o niewidoczne w mroku korzenie drzew. Ta ścieżka przypominała wyschnięte łożysko strumienia. Jakiś ptak przeleciał górą z rozpaczliwym łomotem skrzydeł. Dróżka wspięła się teraz na niewielki pagórek, pod którym była już niczym nieosłonięta dolina z torem kolejowym jak pręga na skórze konia, z parowem rzeki, z przeciwległym zboczem pojaśniałym u szczytu od resztek minionego dnia.

Nieznajomy człowiek zaczął macać stopą zatarte blindaze okopów z pierwszej wojny światowej. Potem schylił się, szukał czegoś dłonią w mokrej ciemności.

— Ile tu poziomek. Już czuję pączki. Za parę tygodni będą kwitły.

— A kim pan jest? — spytał nagle Wicio.

On wyprostował się, popatrzył na dolinę, w której skrzyło się trochę drobinek seledynowego światła.

— Ja tu wrócę po śmierci — rzekł jakby do siebie. — Będę wiatrem, co lata po strychach, będę cieniem w słoneczne popołudnia, będę skrzypieniem kół w piaszczystej koleinie. Masz daleką drogę przed sobą, ja już chyba krótką. Żegnaj, Wiciu.

I prawie biegiem ruszył w dół, ale w bok od ścieżki, ukosem w stronę kolei, bliżej miasta, które usypiało w kołysce między wzgórzami. Wygaszał za nim jakby głos dalekiego radia, a może po prostu odezwała się gdzieś w nocy rzeczywista kukułka.

Chce szukać męża za granicą. Stałą klientką ambasad, poselstw i konsulatów państw obcych w Warszawie jest chora umysłowo trzydziestoczteroletnia Lidia Karszun. Mieszka ona stale u rodziny w Wilnie. Co kilka jednak miesięcy przyjeżdża do Warszawy dla załatwienia „interesów”, zdobywając pieniądze na podróż drogą zebraniny. Znalazłszy się w Warszawie, Karszun obchodzi kolejno konsulaty i poselstwa zagraniczne żądając wysłania jej za granicę. Utrzymuje, iż w Polsce nie może sobie znaleźć męża. Znajdzie go zaś niewątpliwie w innym kraju. Wczoraj Karszun przyszła do jednej z ambasad. Gdy potraktowano ją, jak ma to zasługuje, zaczęła się awanturować. Wezwano policjanta, który chorą przeprowadził do komisariatu. Karszun będzie przymusowo odesłana do Wilna.

Potem Wicio zawahał się przed swoim domem podobnym o zmroku do

gigantycznego pterodaktyla. W oknach mieszkania sióstr Puciatówien jarzyło się kusząco wielkie światło, wypełnione blaszanym, jęklwym zawodzeniem gramofonu. Wicio zawrócił, pchnął furtkę na rzemiennych zawiasach, odszukał po omacku drzwi w sieni.

Za stołem przykrytym nicianą serwetą siedziały siostry bliźniaczki, pan Henryk, który przyjeżdżał do nich motocyklem z Wilna, i Engel, czyli Engelbath. Pośrodku stała mocno już opróżniona butelka.

— Przepraszam, że tak późno, ale szukam Engla — powiedział Wicio mrużąc oczy.

— To ja ciebie szukam. Cały wieczór. Byłem nad rzeką, koło kościoła, na stacji — Englowi już błyszczały trochę bardzo niebieskie, przezroczyście oczy.

— Spotkałem dziwnego człowieka. Musiałem mu pokazać drogę.

— Może to Wołodko? — spytał pan Henryk, o którym się zwykle mówiło, że jest technikiem. Obejmował siostry wpół, paląc papierosa z długim ustnikiem.

— E, nie. Wyglądał prędeziej na wariata niż na bandytę.

— Coś mi się zdaje, że Wicio chodzi na działki wojskowe — powiedziała Cecylia patrząc zażawionym wzrokiem w żółty, frędzlasty abażur lampy. — Komu tam Wicio pokazuje drogę?

— Ja? Na działki? A po cóż miałbym chodzić? — spytał niepewnie Wicio.

— No właśnie — odezwała się Olimpia. — Ciekawość, co tam Wicia ciągnie.

Cecylia ziewnęła ukradkiem, zakrywając zwiniętą dłonią usta.

— Stracimy najładniejszego kawalera, szkoda gadać.

— Który to już będzie z rzędu? — spytała Olimpia.

— Ach, szkoda nawet gadać.

Pan Henryk puścił ich talie i sięgnął po butelkę.

— A ja? — spytał posępnie.

— Co pan? — zdziwiła się Cecylia.

— Ja nie jestem najładniejszy?

Skończyła się płyta. Cecylia podeszła do gramofonu, zaczęła go nakręcać mozolnymi ruchami, jakby wyciągała ze studni ciężkie wiadro.

— Po co panu uroda, pan ma lepsze zalety.

— Jakie?

— No wszystkie — zawahała się nie dokończywszy ruchu. — Rozum, serce, stateczność.

— Ale ja wolę być najładniejszy — upierał się pan Henryk. — Co wy, cholera, widzicie w tym gówniarzu?

Olimpia ułożyła na rękach ociężałą głowę. Patrzyła na gościa spod przymrużonych powiek.

— Tego to już pan nie zdobędzie ani za pieniądze, ani za zasługi. Pan Henryk sięgnął do tylnej kieszeni w spodniach.

— Ktoś mnie tu obraża.

— Nikt pana nie obraża.

— A ja powiadam, że obraża.

Wyciągnął zza siebie malutki browning czarno oksydowany. Przyjrzał mu się z demonstracyjną uwagą i położył na stole.

— Niech pan to schowa — rzekła sennie Olimpia.

Jemu także zachciało się spać. Przemógł ziewnięcie, aż zbielały szerokie szczęka.

— A właśnie nie schowam.

— Już późno, Boże, która to godzina? — Cecylia nie dokończywszy nakręcania zamknęła wieko gramofonu. — Pan Henryk nie trafi po nocy do miasta.

— A właśnie, że trafię.

— Droga kiepska, wiosenna, motocykl się jeszcze przewróci.

— A właśnie, że się nie przewróci.

— Po co się upierać, miły, po co straszyć ludzi? — Cecylia podeszła do stołu, zaczęła bez przekonania gładzić mokry łeb gościa.

— A właśnie, że będę straszyć.

I tu nie wytrzymał. Ziewnął raptem ze strasznym jękiem ulgi albo rozkoszy.

— No dobrze, już dobrze — szepnęła Cecylia, biorąc bez obawy ten mały rewolwer. Wepchnęła go byle jak do kieszeni pana Henryka.

— Chwileczkę, za przeproszeniem, jak pani śmie.

— No dobrze, koteczku, już dobrze.

— A właśnie, że niedobrze — i znowu ziewnął, aż skrzeknęło mu w paszczęce. Błysnął całym bokiem pięknych złotych zębów.

Engel mrugnął na Wicia przeraźliwie niebieskim, choć trochę zmatowiałym wzrokiem. Wyszli na palcach do sieni.

— Cały wieczór ciebie szukam.

— Czego chcesz?

— Greta zachorowała.

— Greta zachorowała?

— Musisz zobaczyć, co z nią jest.

— Trzeba sprowadzić lekarza.

- Gdzie teraz szukać doktora? Ona ma wielką gorączkę.
- Przecież ja jeszcze nic nie umiem.
- Ty nie umiesz? Całymi dniami siedzisz w książkach lekarskich.
- Jak Boga kocham, nie potrafię. Czyś ty zwariował?
- A kto wyleczył Lowkę?
- Lowka miał zwykle zatwardzenie.
- To co, nie chcesz pomóc?
- Chcę, ale jeszcze nie umiem.
- Lenisz się zobaczyć?
- Zobaczyć mogę, ale to niewiele pomoże.

Towarowy pociąg dyrdał ciężko w stronę miasta. Kłęby wątych iskier gasły szybko nad lokomotywą z kominem jak ogromny lejek. Szli błotnistą ulicą wśród starych ogrodów. Znow zjawił się skądś chudy deszczyk podobny do mgły.

- Cały wieczór łażę za tobą.
- Naprawdę spotkałem człowieka, co wyglądał, jakby przyjechał skądś z dalekich krajów.
- Ja czuję, że nas zdradzisz.
- Dlaczego mam was zdradzić?
- Pamiętasz, jak przysięgliśmy sobie nad rzeką, że nigdy w życiu się nie rozstaniemy. Ty, Lowa i ja. Przysięgałeś?
- Przysięgałem. Na pewno zawsze będziemy razem.

Przeszli stary, zapuszczony ogród z mokrą trawą sięgającą do kolan. Secesyjny dom, z oknami jak w kościele, przypominał białe, zgniecione pudełko. Zaczęli się wspinać po krętych schodach, które dudniły, niczym cembrowina studni.



Ojciec Engla, stary pastor niemiecki ze srebrnym obwarzankiem włosów na łysej głowie, podniósł mętne oczy krótkowidza znad modlitewnika. Siedział pod nisko opuszczoną lampą na długich przewodach obciążonych porcelanowymi girami dla przeciwwagi.

— Guten Abend, Herr Baum — powiedział Wicio.

— Guten Abend, meine Kinder.

— To jest Wicio, ojciec pamięta? — spytał nieprzyjaźnie Engel.

— Ja, Wyczo, Wyczo, doch, kenne ich gut — rzekł ze skwapliwością pastor i wytrzeszczył ogromne, wypukłe oczy, i wiadomo było, że nikogo nie poznaje zatopiony w Piśmie świętym.

— Niech dalej sobie czyta, szwab przeklęty — machnął ręką Engel.

Weszli do pokoju sąsiadującego z kuchnią. Było tu ciemno. Po szybie ospowatej od kropel deszczu ślizgał się refleks światła dalekiej lampy ulicznej.

— Greta, śpisz? — spytał cicho Engel.

Nikt nie odpowiedział, więc on zaczął macać ścianę przy drzwiach. Trafił wreszcie na kontakt, przekręcił go, zapalił się pod sufitem szklany żyrandol w kształcie kwiatów konwalii.

Na schludnym, panińskim łóżku leżała Greta pod kraciastą pierzyną. Zwrócona była twarzą do ściany, widzieli tylko jej plecy w bajowej koszuli nocnej pełnej zajaczków i sarenek. Engel szarpnął ją za ramię. Odwróciła w ich stronę zasną twarz poziomkowego koloru pod strzechą białych, prawie przezroczystych włosów. Zmrużyła powieki ze złocistymi rzęsami przed raptownym światłem.

— Przyszedł Wicio, żeby cię zbadać — rzekł surowo Engel.

— Ale nic mi nie jest. Naprawdę do jutra przejdzie. Dziękuję bardzo,

napiłam się ziółek.

— Wyglądasz jak rozgotowana marchewka. No, dalej, usiądź na łóżku.

Podniósł ją brutalnie, ona zasłoniła się skrzyżowanymi ramionami. Wicio podszedł i dotknął dłonią jej ceglastego czoła. Dziewczyna drgnęła ledwo dostrzegalnie.

— No co? — spytał Engel.

— Przynieś jakiś zegarek z sekundnikiem.

Engel poszedł do kuchni, zaczął szurać sprzętami. Ojciec jego coś mamrotał bezbronnie po niemiecku.

— Zamknij ryło, ty prusaku meklemberski. Żeby przez tyle lat nie nauczyć się ludzkiej mowy? Czyj ty chleb jesz, stary hakatysto? — sztorcował go bez gniewu syn.

Greta zamarła skulona na łóżku jak zmarznięty ptak. Bała się spojrzeć w stronę Wicia. Widział przed sobą jej szczupłe plecy spięte oczekiwaniem.

— Nie chcesz jutro iść do budy? — szepnął porozumiewawczo.

Ale ona zaczęła szczytać brzeg tej kraciastej pierzyny, wielkiej jak nagrobkowa płyta.

Wrócił Engel z kieszonkowym zegarkiem ojca.

— Daj rękę — rzekł Wicio do dziewczyny.

Podąła mu cienką i białą dłoń powleczoną delikatną, chłodną wilgocią. Wymacał palcami puls w przegubie. Znowu drgnęła skrycie. Podniósł cebulę do oczu. Między rzymskimi cyframi u dołu poszczerbionego cyferblatu skakał leniwie sekundnik.

— Ona nie ma gorączki — rzekł Wicio i puścił jej dłoń, która opadła na pościel jak skrzydełko białego ptaka.

— To niemożliwe. Przed wieczorem buzowała niczym piec. To ona

prosiła, żeby cię zawołać.

— Ja wcale nie prosiłam — zaprotestowała cicho wpatrując się w deseń pierzyny.

— Widzisz, już kłamie. Skarżyła się na serce. Że coś tam bulgoce jak w przechylonej butelce. Dalej, podnoś koszulę, niemieckie nasienie.

— Ja nie podniosę — powiedziała z cichym uporem.

— Ale tam, berlińskie ceregiele — brat złapał ją za szyję i zaczął poddzierać tę koszulę z zajaczkami i sarenkami.

— Ja nie chcę, puść, puść!

— Maul halten! Ostuka ci plecy, wariatko. Pleców się wstydzisz?

Zacisnęła na piersiach skotłowaną koszulę i czekała pokornie, zgnębiona widać niemieckim rozkazem.

— No, badaj — rzekł Engel. Na jego ogromnym jak u ojca czole pokazała się kropla potu. Niewielki, baryłkowaty, prawdziwy Niemiec bawarski, stał przy łóżku, trzymając siostrę za kark.

Wicio zobaczył plecy jasne jak wiosenny lód z głębokiej przerębli, zobaczył jeszcze bielsze guzy kręgosłupa, zobaczył wymykający się spod pachy owal przestraszonej piersi. — No i co? — szepnął sam do siebie. — No i nic. To wszystko obce.

Schylił się, przyłożył ucho do żeber pod prawą łopatką. Ona jeszcze raz drgnęła, a potem zaczęła drzeć leciutko, prawie niezauważalnie jak szybka okienna przeczuwająca zbliżanie się pociągu.

— Nic nie słyszę. Chyba jest wszystko w porządku. Ona upadła na łóżko, zasłoniła się plecami z nieporządnie zsuniętą koszulą.

— Wszystko w porządku? — upewnił się Engel.

— Tak wygląda.

Pogładził dłonią jej wilgotny policzek. Na ułamek sekundy przycisnęła barkiem dłoń do swego policzka.

— To znaczy, że jest zdrowa? — spytał jeszcze raz Engel.

— Przecież doborze wiesz — szepnęła cicho od ściany.

— To po co chciałaś lekarza?

— Ja nie chciałam. Ty chciałeś.

— No wiesz, masz pomysły.

Poderwała się raptem na łóżku, zaczęła walić pięściami w pierzynę.

— Jesteś idiota, dureń, ostatni cham!

Rozplakała się dudliwie, ramiona jej podskakiwały gwałtownie w powstrzymywanym szlochu.

— No wiesz — rzekł skonsternowany Engel. — Ty masz numery.

— Nie mam żadnych numerów, jesteś cham, straszny niemiecki bydlak!  
— krzyczała zalewając się łzami.

Blady Engel podrapał się w wielką jak arbuza głowę.

— Co za bezczelność! Ona śmie mi wymyślać od Niemców. Jak tylko osiągnę pełnoletność, zmienię to przeklęte imię i to kretyńskie nazwisko.

— Niech ona zaśnie, jutro będzie zdrowa — powiedział Wicio. — Mogła przecież poczuć się kiepsko, a teraz minęło i wszystko będzie w porządku.

— Ale żeby taka walkiria mnie lżyła od Niemców. Coś podobnego. Ty popatrz, jakie mam skuły pod oczami. Prawdziwy Mongoł, no nie?

Roztrzęsioną ręką zgasił światło, wrócili do kuchni, a on strzelił jeszcze drzwiami na pożegnanie. Pastor uniósł głowę znad księgi, zamrugał roztargnionymi oczami. Okulary bez oprawy chwyciły łąpczywie blaski kuchennej lampy.

— Was ist denn los, mein Sohn? — spytał nieśmiałym głosem.

— Gównno ojca świętego.

— Was ist das kufno?

Engel przejrzał się ponuro w liszajowatym lusterku, wiszącym pomiędzy niemieckimi makatami.

— Mam do was jedną jedyną prośbę, mówcie do mnie Władek — rzekł z wściekłością. — A nazywać się będę Drewnowski. Władysław Drewnowski, kapewu?

Pod płytą kuchenną popiskiwał dogasający ogień.

— Kiedy wróci wasza matka z Niemiec? — spytał cicho Wicio.

— Nigdy nie wróci. Chodź, odprowadzę cię do płotu.

Zeszli tymi żelaznymi schodami. Deszczu już nie było. Spiczasty wiatr biegał po skulonymi ogrodzie. Na niebie wycinały się z ciemności i zaraz gasły niewyraźne gwiazdy.

— Wiesz co, Wicio, wiesz co?

— No nie wiem.

— Tobie to dobrze.

— Mnie dobrze?

— Tak, tobie dobrze — rzekł szybko i złapał Wicia wpół, jakby chciał go unieść pod niebo.

— Zwariowałeś, Engel?

— Nie Engel, Władek.

Pomocowali się chwilę, Wicio raptownym ruchem wybił jego ręce do góry, a on zaczął uciekać w stronę domu.

— Władek, co ty chciałeś powiedzieć? — zawołał Wicio. — Co to wszystko znaczy?

— A idź do diabła! Zum Teufel!

— Zaczekaj, o co ci chodzi?

— Nic nie rozumiesz!

Zadudniły metalowe schody jak stara cysterna. Gdzieś w sąsiednich ogrodach odezwał się rozbudzony pies. Próbował zawyć, ale nie mógł, widać, znaleźć księżycy na niebie, więc poszczekał tylko chwilę bez przekonania. Jakiś ptak przeleciał nisko, ocierając się prawie o szczyty drzew. I nastąpiła przejmująca, straszna cisza nocna, jaka bywała w dawnych czasach.

— Co się stało? — spytała matka. — Gdzie się podziewasz cały dzień?

Zmieszała szybko karty pasjansowe na stole.

— A tak jakoś zeszło. Trochę się uczyłem.

Matka odłożyła okulary, podeszła wolno do syna. Zapachniało proszkiem do pieczenia albo może imbirem. Odwróciła go twarzą w stronę żarówki. Przyglądała się chwilę mokrym włosom, oczom, spierzchniętym ustom. On starał się oswobodzić z jej rąk. Bał się, że odczyta to wszystko, co robił wieczorem.

— Wiem, ty masz jakąś dziewczynę, przyznaj się?

— Co mamie przychodzi do głowy? No wie mama.

— Położyłam tobie pasjansa. Niedobre karty wokół ciebie. Jakieś nieszczęście albo daleki wyjazd. Wiciu, przecież wszystko, idzie na ciebie, każdy grosz, każda złotówka. Ty musisz zostać wielkim doktorem, musisz zadziwić cały świat, Wiciu, Bóg ci dał urodę, rozum, przecież nie zmarnujesz tego, prawda, synku? — przytuliła głowę do jego piersi.

— Mamo, raz wróciłem później i od razu cała tragedia.

— Nie, to nie o to chodzi. Przeczuję, że coś niedobrego dzieje się z

tobą. Powiedz, synku, może się zakochałeś?

— Ja zakochałem się? Mamo, mamó, ja się chyba nigdy nie zakocham.

Skrzypnęło żałośnie łóżko w sąsiednim pokoju. Dziadek zaniósł się ostentacyjnym kaszlem. Wicio wszedł cicho do jego bokówki.

— Ciągłe gadacie i gadacie, a ja nic nie wiem, nikt mnie nie informuje i nikomu nie jestem potrzebny — poskarżył się starzec.

— Już idziemy spać, dziadku. Mówiliśmy sobie dobranoc.

— A kiedy ja wreszcie zasnę? Boże mój, jakie długie teraz noce. Chodź, chłopcze, sprawdź, czy stoi tu gromnica, czy leżą zapałki.

Wicio zbliżył się do wezglowia, poczuł znowu ten rozgrzany odór umierającego ciała. Wymacał na krześle świecę obrosłą woskowymi łzami i zgniecione pudełeczko.

— Jest wszystko. Niech się dziadek nie boi. Przecież my tu obok śpimy.

— Chciałem znowu dzisiaj poprawić, ale twoja matka nie pozwoliła.

— Co poprawić?

— No, ostatnią spowiedź, znowu sobie przypominałem jeden taki dawny grzech.

— Przecież dziadek spowiada się już cały rok.

— I ledwie ksiądz wyjdzie, wraca w pamięci jakiś straszny grzech. Przecież nie mogę tak umierać.

— A ja tyle lat po śmierci ojca bałem się nocy.

— Nocy się bałeś czy ludzi?

— Właściwie ani nocy, ani ludzi, tylko tego, że jestem, że istnieję ze swoimi myślami, a wszyscy dookoła odeszli w sny, w jakiś nie znany wymiar, oddalili się ode mnie, zostawili mnie samego i nie wiadomo, kiedy wrócą. Modliłem się wtedy na głos z płaczem, żeby przyjechał

dziadek, bo dziadek zawsze źle spał i kaszel dziadka trzymał mnie przy życiu, napawał bezpieczeństwem, koił i pocieszał.

— A to zaczynała się, rozwijała moja choroba. Boże wszechmogący, przypominają mi się wszystkie grzechy z całego życia. Coraz więcej i więcej.

— Może te dawno już odpuszczone?

— Nie, zupełnie nowe, świeżuteńkie. Najlepiej byłoby nie myśleć, ale jak tu nie myśleć, kiedy śmierć chodzi po domu, stęka, wzdycha, zamajaczy czasem w lustrze, pochyli się zniecka nade mną, znowu odejdzie na dwa kroki i czeka, czeka, a mnie wtedy lichy kusi, żeby przeżyć choćby jeszcze jeden dzień, choćby jeden ranek, może być pochmurny, dżdżysty, zimny, byle był.

— Niech dziadek już śpi. Albo jeśli nie może zasnąć, niech myśli o tych najlepszych chwilach swojego życia.

— A ja już nie wiem, które były dobre, a które złe.

Potem rozbierał się omackiem na swoim łóżku. W sienniku chrzęściła chciwie słoma. W oknie drgała szczypta dalekiej jasności. Wtedy ktoś wskoczył na kołdrę i zaczął mruczeć zachrypłym mruczeniem. To był duży kot na grubych, kościstych nogach.

— To ty, Maharadża? — spytał szeptem Wicio i pogładził jego chudy grzbiet pełen zaskorupiałych blizn i łysin po wydartym w bojach futrze, dotknął resztek uszu postrzępionych jak frędzelki. — Co się z tobą działo przez tyle dni? Za jakimi kocicami uganiałeś się przez cały miesiąc?

Maharadża wlaźł mu bezceremonialnie na piersi, ułożył się wygodnie, podwinął ze schludnością łapki pod kościstą szyją. Wicio czuł, że kot patrzy mu nieruchomo w oczy tęczęwkami, które przypominały



powierzchnię nieznaną planety.

— Kocie, mądry, doświadczony kocurze, przecież ty wiesz o mnie wszystko. Powiedz, co to się zaczęło ze mną i jak to się skończy? Czy cię przejechał pociąg koło stacji, a może ty szukałeś dzisiaj murowanej szkoły i obiecałeś tu wrócić po śmierci? Powiedz teraz albo lepiej potem, kiedy zasnę, powiedz, co mnie czeka, powiedz, dlaczego drzę w tej chwili ani z zimna, ani ze strachu, ani ze współczucia dla ludzi, tylko drzę z nadziei przed jutrzejszym dniem, przed tym, czego chcę i nie chcę, czego pragnę i nie pragnę, o czym marzę i nie marzę.

W tamtych latach wszyscy chłopcy śnili samoloty. Nikt nigdy nie widział samolotu z bliska, nikt nigdy nie dotknął dłonią jego gondoli, stateczników czy drewnianego śmigła. Nikt nie oglądał wzbijającego się w powietrze aparatu, nikt nie zobaczył lądującej maszyny, która sunie niezdarnie po trawiastym lotnisku. O samolotach, czyli aeroplanach, czytało się we wspaniałych powieściach przygodowych albo w pismach młodzieżowych, czasem pokazano je w filmie, ale filmy były wtedy piękną nieprawdą, cudownym zmyśleniem i dlatego nikt nie wierzył.

A jednak dwa razy w tygodniu przelatywał nad przedmieściem prawdziwy samolot. Wolno i majestatycznie zdążał z południa na północ, czyli od miasta w kierunku Puszkarni przyczajonej wśród gęstych olch w zakolach Wilenki. W dni pochmurne samolot był ciemny niczym jastrząb, w dni słoneczne przypominał skrzydlatą, srebrną minogę. W dni słotne był podobny do krzyża, który błogosławi zmoczonej deszczem ziemi, w dni pogodne odbijał słońce w srebrzystych burtach jak spadające z nieba lustro. Ale ten samolot leciał bardzo wysoko i to oddalenie czyniło go

nierealnym, wydawał się on wszystkim raczej częstką kosmosu niż ziemi.

Dlatego po nocach chłopcy śnili często samoloty. Śnili je nisko lecące tuż nad ziemią, a właściwie między domami, i śnili je jako ogromne przerażające stworzenia, które budzą duszny lęk, straszliwą grozę. Czasem znowu śnili, że samolot nie wiadomo czemu spadł podczas wakacji na piaszczystą plażę nad Wilią i leży zaryty dziobem w żwirze mię opodal splątanych krzaków leszczyny, głogu, dzikich malin, kruszyny, blekotu, polnego kopru, bagiennych powojów, blisko tej bujnej, oszalałej od letniego amoku zielenizny. Że leży tak na szarozłotym piasku zalany gęstym popołudniowym światłem słońca, a obok bulgoce Wilia między pniami zacumowanych na noc tratw. Że leżąc tak przypomina jakby kajak z okrągłymi okienkami w burtach, że właściwie jest nieduży i nie wiadomo, jak w nim się mieszczą pasażerowie. Bo taki osiągnięty we śnie samolot jakby bronił swojej tajemnicy, jakby karał za świętokradczą ciekawość. Więc zawsze na początku snu pojawiał się w pełnym ogromie i w całym majestacie tajemniczości, niedostępny, związany na zawsze z niebem, z chmurami, z piorunami. Ale gdy siły rządzące snem zezwalały na jego upadek, okazywał się niepokąźny, drażniący niespełnieniem, oszukujący śniącego. I ta jego niewielkość, to jego przewrotne pomniejszenie, które w każdej chwili snu mogło stać się niepojętym powiększeniem, budziło słodką, ekscytującą tęsknotę za odkryciem tajemnicy większej i bardziej dokuczliwej niż tajemnica samolotu.

Dlatego na jawie chłopcy rekonstruowali swoje nieuświadomione tęsknoty za dałą, za nieznanym i niezrozumianym, za wielką innością, za widocznym znakiem z innego świata, budując własne samoloty pośrodku codzienności, w samym centrum powszedniej szarzyzny. A najczęściej tym

aparatem przenoszącym człowieka z ziemi w niebo było drzewo czeremchy, drzewo rozłożyste, z gałęziami wygodnymi jak fotele lotników, ze śmigłami uschniętych konarów, drzewo uczone spadzistego zbocza jak burzowej chmury. Letni wiatr wydobywał z lasu dziwne i budzące trwogę dźwięki sfer niebiańskich, ten wiatr upodabiał się do dalekich i nieskończonych zamieci kosmicznych, ów wiatr powtarzał podniosły głos obrotu planet i wszechświatów. A rozkołysane drzewo unosiło pilotów oraz nawigatorów nad obsypane białym puchem łąki, nad rozmigotaną w słońcu Wilenkę, nad dębowe lasy, coraz wyżej w błękitne szczyty między skalistymi chmurami. A słodki i trujący zapach kwiatu czeremchy koił niczym narkotyk bolesną tęsknotę.

Później samoloty weszły w codzienne życie ludzi jak zwykle, pospolite zwierzęta. Zaczęły pracować razem z człowiekiem, zaczęły przenosić go z miejsca na miejsce, dźwigać ciężary, zabijać jego bliźnich. I wtedy nikt już nie śnił samolotów tak, jak śnili je chłopcy w tamtych dawnych latach.

Wicio szedł zwirową aleją, która niczym sprężyna opasywała górę zamkową. Szedł sobie lekko, bez pośpiechu, nastawiając twarz słońcu, co siedziało mocno pośrodku siwego nieba. Czasem zerkał w bok, trochę za siebie, i widział wtedy zbity tłum różnorodnych dachów podobnych grzbietom zwierząt, które głowy ukryły w kanionach wąskich ulic. Drzewa stały już w przezroczystych, seledynowych obłokach wycinających się listków.

Minął wielki krzyż powstańców z 1863 roku, chciał nawet podejść, żeby jeszcze raz przeczytać pamiątkową tablicę, ale się rozmyślił, zachował tę możliwość na drogę powrotną, jeśli się wszystko nie uda. Nadleciał skądś wesoły żółty motyl, Wicio zamachnął się czapką, lecz owad poszamotał

się przez moment w podszewce i już leciał dalej między pierwsze trawy wspinające się ku słońcu.

Potem Wicio siadł na starej ławce pozieleniałej od zeschniętej pleśni. Siadł tak, żeby bez specjalnego wysiłku widzieć plac Łukiski, gdzie za dwuszeregiem kasztanów stał gmach gimnazjum żeńskiego, i zarazem mieć przed oczami oba przedmieścia, dolne i górne, ściśnięte lasami, co waliły się na nie ze spadzistych wzgórz.

Najpierw Wicio zaatakował żółtawy gmach gimnazjum. Przypiął się wzrokiem do ciemnych rozpadlin okiennych i zaczął powtarzać szeptem jak modlitwę:

— Słuchaj mnie, bądź posłuszna moim rozkazom. Jestem wrednym, samolubnym, piekielnie zimnym osobnikiem. Jeśli zdobyłem się na taki czyn, musisz wykonać natychmiast moje polecenie.

Ale w tej sekundzie u dołu alejki pokazał się jakiś staruszek w ogromnym kapeluszu pilśniowym i w jesionce ze zrudziałym, aksamitnym kołnierzem. Wicio musiał przerwać zaklęcia. Czekał cierpliwie, aż emeryt przejdzie. Tymczasem starzec dosyć marudził, wyjął chusteczkę, długo trąbił zakatarzonym nosem, potem wzdychając oglądał miasto z lotu ptaka. W końcu poszedł do góry, gdzie czerwieniła się baszta zamku Giedymina.

— Słuchaj — podjął Wicio przerwana hipnozę — masz w tej chwili wstać i przyjść tu do mnie. Specjalnie dla ciebie zwagarowałem dzisiaj. Opuściłem ważne lekcje, nadszarpnąłem swoją opinię, może nawet zaryzykowałem wyrzucenie z budy. Liczę do dziesięciu. W ciągu tych dziesięciu sekund musisz wynurzyć się spomiędzy drzew.

Zaczął liczyć. Zrazu normalnie, potem coraz wolniej. Ale nikt się nie wynurzał. Kiedy jął wreszcie odmierzać połówki, a nawet czwarte części

sekundy, zza tych drzew, przesłaniających zakręt alejki, wyszła młoda kobieta popychająca wózek z dzieckiem. Wicio pomagał jej wzrokiem, pchał oczami ten popiskujący wehikuł, lecz niewiele to pomogło. Młoda matka siadła na końcu tej samej ławki, wzięła się do poprawiania pieluch.

Wicio z rozpaczą przeniósł wzrok w tę stronę, gdzie w szarości horyzontu można się było domyślić działek wojskowych i tej willi nad wąwozem wyżłobionym przez umarły już strumień. Teraz mówił prawie bez głosu, żeby młoda kobieta nie podsłuchiwała hipnozy.

— Ostatni raz rozkazuję ci przyjść do mnie. Jeśli nie przyjdiesz, będziesz żałowała całe życie. Nigdy na ciebie nie spojrzę, nigdy do ciebie nie odezwę się, nigdy wieczorem nie przyjdę, żeby ciebie podglądać. Ale gdy posłuchasz, i to natychmiast, wezmę cię w ramiona...

Hipnoza została ponownie przerwana. Matka wstała raptem, wsadziła głowę pod budę wózka, coś tam szczebiotała, a potem energicznie ruszyła do góry. Wicio odprowadził ją niezyczliwym wzrokiem aż do zakrętu.

— Zaklinam cię ostatni raz — rzekł wreszcie normalnym głosem. — Musisz ulec mojej sile. Nigdy nikogo o nic nie prosiłem. Pierwszy raz w życiu błagam ciebie. Chociaż właściwie wcale nie błagam, tylko rozkazuję. Czekam tu na ciebie i masz w tej chwili stawić się przede mną.

Jakieś dwa psy walcząc ze sobą przeleciały krawędzią alejki, brzegiem przepaści, pod którą było miasto. Gdzieś w głębi tych kamiennych jarów odezwała się syrena fabryczna. Nabierała stopniowo mocy i szła nad miastem jak krzyk rozpacz.

— No dobrze — westchnął Wicio. — Proszę bardzo, mogę nie rozkazywać. Niech będzie. A więc błagam z całej siły, z całej wewnętrznej mocy modłę się, żebyś usłuchała i przyszła. A jeśli nie, to tak cię przeklnę,

że zobaczysz.

— Dzień dobry — usłyszał raptem za sobą. Zerwał się przerażony z ławki i zobaczył ją uśmiechniętą, zaróżowioną od szybkiego marszu pod górę. Była w granatowym mundurku i w granatowym berecie ozdobionym niklowym znaczkiem z otwartą księgą i kagankiem oświaty. Spod tego beretu wysypywała się cała masa popielatoaksamitnych włosów.

— Dzień dobry — powtórzyła, bo on ciągle mrugał głupawo powiekami. — Kazał mi pan przyjść, więc jestem.

— Ja nic nie kazałem — zastękał Wicio.

— Jak to, przecież czułam wyraźnie takie fluidy. No i musiałam zwagarować, choć dziś mamy najważniejsze sprawdziany przedmaturalne.

— Ale ja naprawdę nie chciałem — Wicio zrobił się czerwony. — To jakaś pomyłka.

— Wiem, że pan nie chciał. Odniosłam po prostu książkę.

Przysiadła na ławce, rozpięła teczkę.

— Jaką książkę?

Wyjęła podręcznik Wicia ze śladami zeschniętego błota, a może i kłów dziwnego psa Rexa.

— Knipa od chemii. Poznaje pan?

— Nie. Chyba nie bardzo. Naprawdę nie wiem — jąkał się, siadając omackiem na ławie.

— Na tytułowej stronie jest pana podpis.

— Możliwe. Nie pamiętam — wyrwał jej tę książkę i schował pod mundurową kurtkę, żeby przerwać nieprzyjemny temat. — Bardzo pani dziękuję za fatygę.

— A ja miałam takie wrażenie, że pan na mnie czeka. Słowo daję.

Nawet chyba śniłam dzisiejszej nocy pana, dobrze już nie pamiętam jak, ale na pewno śniłam.

— To jakaś pomyłka — zaczął Wicio.

— Już pan wspomniał o pomyłce. Ale ja jestem wspaniałym medium.

Naprawdę, coś tu musiało być. Nie sądzi pan?

— Źle się czułem i zwolniłem się z dwóch ostatnich lekcji.

— To dlaczego trafiłam na górę zamkową? Nigdy tu nie przychodzę.

— Ja też właściwie nie przychodzę.

— Widzi pan, że jednak to dziwne.

— Prawda, dziwne.

Wysunęła przed siebie nogi obciążone jedwabnymi pończochami, które były surowo zabronione w średnich szkołach.

— A mogę tu chwilę posiedzieć, bo bardzo się zziąjałam?

— Oczywiście, z przyjemnością — rzekł Wicio nie patrząc w jej stronę.

— Pan naprawdę nie zauważył mnie przez półtora roku?

— Jestem mocno, zajęty, dużo pracuję, chcę iść na medycynę.

— Ach tak, mój ojciec jest również lekarzem.

— Co studiuje kuzyn? — spytał Wicio i wstrzymał oddech. Nie patrząc w jej stronę, czuł, że przyglądała mu się dłuższą chwilę.

— Prawo — powiedziała wreszcie. — Chodził na prawo, bo teraz przerwał studia.

— Przerwał studia?

— Taka romantyczna tragedia. Miłosna. Tłum wróbli spadł na alejkę. Zaczęły bić się o jakieś resztki bułek rozkruszonych przez dzieci.

— Przecież ja jestem egocentryk, przecież ja kocham tylko siebie — zaszeptał.

— Słucham?

— Nie, nic — odchrząknął.

— Proszę mi nie wierzyć. Wcale nie odczułam żadnych fluidów. Po prostu nawiałam z lekcji. Często to robię. A książkę miałam przy sobie na wszelki wypadek. Gdybym pana spotkała w pociągu.

Wicio zmarł. Nad północnym horyzontem stały obłoki jak statki zakotwiczone na redzie.

— Szkoda — rzekł cicho.

— Pewnie, że szkoda. Bo pan mi się bardzo podobał.

— Ja się podobałem?

— Tak, ale to dawno było. Na samym początku. Przeszło rok temu.

Ostrożnie spojrzał w jej stronę. Końcem pantofla rozrzucała kamyczki żwiru. Zobaczył jej profil przesłonięty włosami i sam nie wiedział, czy to jest piękny profil, czy taki sobie.

— Szkoda — powtórzył.

— E, nie ma czego żałować. Jestem prawdziwym potworem. Egoistycznym, zakochanym w sobie.

— To tak, jak ja.

— Niemożliwe...

— Słowo daję.

— Ciekawe. Na pewno zamęczylibyśmy siebie nawzajem.

— Szczęściem to już nieaktualne.

— Dlaczego nieaktualne?

— Pani sama powiedziała.

— Powiedziałam, żeby zrobić przykrość.

— Naprawdę?



— Oczywiście. Robienie przykrości to moja specjalność.

Na niedalekiej górze Trzech Krzyży uwijali się żołnierze. W cieniu ogromnych kamiennych krzyży wyrastających ze wspólnego postumentu stały trzy działa z lufami wycelowanymi w środek nieba. Te białe krzyże odbijały ostre światło wiosennego słońca i dlatego mogło się zdawać, że płoną jasnym, niewidzialnym ogniem.

— Gdzie pan zgubił swoją książkę? — zapytała raptem.

Wicio zeszywniał znowu. Nie patrząc w jej stronę zaczął wydrapywać jaskrawozielony mech z serc wyrzeźbionych przez kochanków na oparciu ławki.

— A gdzie pani znalazła?

— Nigdzie nie znalazłam. Pies przyniósł rano, kiedy wychodziłam do pociągu.

— Wczoraj włóczyłem się trochę koło torów, w lesie, nad rzeką.

— To jest dziwny las, prawda? Ciągłe się tam spotyka nie znanych ludzi, którzy nie wiadomo, co robią w lesie.

— Tak, to dziwny las. Ja myślę, że ten las wędruje borami i puszczami aż do morza Behringa, a może przez Alaskę jeszcze dalej.

Zaniosła się raptownym kaszlem, przykrywając usta zdjętym z głowy beretem.

— Wieje tak bardzo, może zejdziemy do miasta? — spytała.

— Dobrze, zejdźmy, tylko żeby nas ktoś ze szkoły nie nakrył.

— Nie nakryje. Ja mam szczęście — powiedziała z przekonaniem.

Wstali, ruszyli wolno żwirową alejką w dół, gdzie huczało miasto stłumionym głosem.

— Dobrze jest mieć szczęście — rzekł Wicio, przyrównując się

ukradkiem do jej wzrostu. Z przyjemnością stwierdził, że jest wyższy prawie o głowę.

— Dobrze i niedobrze.

— Dlaczego niedobrze?

Popatrzyła na niego od dołu z nagłą powagą.

— Bo trzeba płacić.

— A jak pani myśli płacić?

— Jak ja zapłacę? — poprawiła kosmyk włosów, który łaskotał policzek. — Zapłacę raz, ale wysoką cenę. Po prostu młodo umrę.

— Wszyscy chcą młodo umierać. Teraz taka moda.

— Pan też?

— Właściwie też, ale nie mogę, bo mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Szli przez park zwany Cielętnikiem. Siedziało tu na ławkach sporo ludzi. Służące z żołnierzami na przepustce, jakaś szkolna wycieczka z prowincji, stare panie, kilku bezrobotnych, kolejarz z kuferkiem i pan w czerni, którego twarz wydała się Wiciowi znajoma. Odwrócił się i patrzył na to oblicze pokryte skórą, jakby szlachetniejszą niż u zwykłych ludzi. Kiedy siwy pan poruszył głową, mignął pod kapeluszem jakby rąbek czegoś fioletowego.

— Wie pani, podsłuchałem, co ludzie mówią za nami.

— No, to ciekawe — rzekła bez ciekawości.

— Jedna staruszka powiedziała do drugiej: popatrz, jaka piękna para.

— To o nas?

— O nas.

— Wszystko nie ma sensu — westchnęła dziewczyna.

— Wszystko ma sens. Przynajmniej w tej chwili — i zaraz poprawił: — w tych latach, kiedy jesteśmy młodzi.

— Pan widział tego człowieka, co go pociąg przejechał?

— Tak, wracałem właśnie z ferii wielkanocnych.

— Jak pan myśli, dlaczego on się rzucił pod pociąg?

— Dlaczego rzucił się, może po prostu wpadł?

Pokręciła niedowierzająco głową. Jej brwi pięły się ku skroniom pięknymi i bolesnymi łukami. A w różowości ust było coś wrzosowego.

— Jezus Maria, jaka ona ładna — rzekł szeptem sam do siebie z dziwną zgrozą. — Całe szczęście, że jestem zimny, wyrachowany, bez krztyny sentymentów.

— Powiedział pan znowu: jestem zimny, wyrachowany.

Wicio drgnął i zatrzymał się pośrodku chodnika.

— Ale skąd, nic nie mówiłem. Po prostu myślałem, że tu na dole robi się gorąco.

—— Odczytałam to z ruchu warg. Pan musi ze mną uważać.

— Dobrze, będę uważał.

Stali u wylotu ulicy Zamkowej, gdzie było pełno małych, tanich kin, wyświetlających filmy grozy i fantazji naukowej. W gablotach za drucianą siatką straszyły przechodniów fotosy przypięte pluskiewkami. Stada żydowskich dzieci ścigały się po przechodnich bramach, które wiodły do dzielnicy uniwersyteckiej.

— Myślę, że on jednak rzucił się pod pociąg — powiedziała nagle.

Patrzył w milczeniu na nią, kiedy tak stała na rozstawionych nogach, przyciskając teczką do kolan spódnicę, którą szamotał ciepły wiatr.

— I zrobił to być może zupełnie bez powodu. Czy pana nigdy nie kusiała

śmierć?

— Parę razy chyba chciałem umrzeć. Ale żeby śmierć sama przyszła.

— To co innego. To zupełnie co innego — mówiła wolno patrząc nad jego głową.

Odwrócił się, żeby zobaczyć, czemu się ona przygląda, ale za nim była tylko ściana starego domu z odpadającą sztukaterią.

— No dobrze — powiedziała teraz zupełnie innym tonem. — Może fundniemy sobie lody?

Pomacał nerwowo pustą kieszeń.

— Nie bardzo lubię lody.

— Ale przecież nie odmówi pan dla towarzystwa? Ja funduję.

I rzuciła się biegiem ulicą Wielką, gdzie była słynna cukiernia „Wschodnia”. Wicio zaczął ją gonić.

— Ja nie, ja dziękuję! Nienawidzę lodów!

— Musi pan polubić. Mam kupę forsy i krótkie życie przed sobą.

— Błagam, nie chcę lodów!

Było już za późno. Alina wbiegła do cukierni. Błysnęły słońcem i sinością nieba kryształowe drzwi z jakimś złotem albo mosiądzem. Wicio stanął na brzegu chodnika, zacierając bezmyślnie spocone ręce.

— Od jutra koniec — rzekł szeptem do swego dalekiego odbicia w lustrze wystawy. — Od jutra tylko nauka, tylko medycyna i chłodna przebiegłość. Jestem silny, mam żelazną wolę, muszę zrobić karierę, zostanę kimś i to kimś nadzwyczajnym.

Ona już biegła z powrotem niosąc lody w złotych waflach.

— Widzi pan, dostałam. Oni mnie tu bardzo lubią. A czy pan wie, że mnie ludzie bardzo lubią?

— Ale ja nie jem lodów, bardzo przepraszam.

— No, niech pan się nie wygłupia. Już mi ciekną po rękach.

— Za żadne skarby.

— Bo rzucę nimi w pana.

Wepchnęła mu przemocą do opuszczonej dłoni szorstki wafel, po którym spływały już pierwsze krople aromatycznych, wspaniałych lodów. Podniósł niezręcznie rękę, liznął głupawo miąższ tak zimny, że przejmujący oskomą zęby.

Potem stali w cienistym zakątku koło kościoła Świętego Kazimierza. Grube, zżarte przez liszaj mury drżały leciutko od stłumionej muzyki organowej. Dziad leżący na kamiennych schodach przed kościołem porozpinał się bezwstydnie wystawiając na słońce swoje obrzydliwe kalectwo.

Lizali szybko lody patrząc sobie w oczy.

— Widzi pani, życie to chyba jednak nie najgorsza rzecz.

Oparła się plecami o ścianę, ścisnęła łydkami teczkę.

— Może nie najgorsza. Łatwo zmieniam zdanie. Musi pan o tym pamiętać.

— Będę pamiętał — i zbliżył się o krok.

Patrzyła mu w oczy bez poruszenia powiek. Uniosła wolno rękę i zaczęła skubać pęd uschniętej winorośli na ścianie. Znowu liznęła pistacjowy pagórek lodów.

— Co pan sobie teraz myśli?

— Oczywiście o pani.

— Nie warto.

Zanim zdążył sam sobie przeszkodzić, nakrył dłonią jej rękę, tę skubiącą

winorośl. Mrugnęła wreszcie powiekami i było w tym jakieś przykre zaskoczenie. Powoli, ale ze złym uporem wydobyła uwięzioną rękę z jego dłoni.

— Przepraszam — powiedział zdławionym głosem.

— Nic nie szkodzi. Boże, jak późno. Muszę wracać, a pan?

— Powinienem zostać, ale odprowadzę panią kawałek.

Widać było, że nie bardzo wierzyła. Wyjęła chusteczkę, wytarła skrupulatnie dłonie, cała pochłonięta swoją schludnością.

— Zdaje się, że się wygłupiłem — rzekł ponuro Wicio, marząc pewnie w duchu, żeby zaprzeczyła, żeby z płaczem rzuciła mu się w ramiona.

— Nic nie szkodzi — powtórzyła. — Zdarza się. Nawet ludziom o lodowatym sercu.

Zaczęli iść w stronę Ostrej Bramy. Jakiś dorożkarz z niewiadomych powodów okładał konia biczem, starając się trafiać po nogach, żeby ból uczynić dotkliwszym. Wicio milczał, ona też milczała niefrasobliwie. Mijali ludzi klęczących na jezdni wzdłuż ścian. W górze, nad prześwitem bramy, migotała żółto i czerwono, jak zapowiedź tęczy, łuna zapalonych świec wokół obrazu Matki Boskiej.

Wicio zwolnił kroku, ona też zwolniła. W przeszklonej loggi po lewej stronie śpiewał niewidoczny chór.

Na gzymsach drzemały gołębie zastygłe w bezruchu.

— No to co? — zatrzymał się Wicio.

— Pan chce już zostać?

— Nie chcę, ale muszę.

— To do widzenia — wyciągnęła cienką dłoń.

Pocałował ją z umyślną zdawkowością.

— Do widzenia.

Odwróciła się i poszła w stronę dworca. Wicio stał długą chwilę w miejscu. Czekał, aż ona odwróci się, uczyni jakiś znak. Bo przecież wiedziała, że on stoi tam, gdzie został, na pewno czuła jego wzrok na swoich plecach. Coraz bardziej przesłaniali ją ludzie, już weszła w mrok bramy, już wynurzyła się w jasność po tamtej stronie. I nie odwróciła głowy ani razu.

— Ty krowo przeklęta — rzekł Wicio zaschniętymi ustami.

Wtedy spostrzegł, że z chodnika przygląda mu się natarczywie czarniawy mężczyzna, nie ogolony, z małym wąsikiem. Ubrany w brezentowy płaszcz impregnowany gumą, spod którego widać było zielone bryczesy wojskowego kroju i buty z cholewami.

Wicio popatrzył chmurnie, ale on uśmiechnął się porozumiewawczo i zaczął podchodzić trzymając ręce w dziwnie wypchanych kieszeniach.

— Przepraszam pana bardzo, niech pan się nic nie boi — rzekł niskim, przejmującym głosem. — Obserwuję już pewien czas pana, a właściwie pana i panią, i myślę sobie, to na pewno szlachetni, dobrzy ludzie. Niech im Bóg błogosławi. Niech im da lepszy los. Niech im da szczęście, które innym codziennie odbiera.

Stał przed Wiciem wysoki, szczupły, spięty wewnątrz, strzelający okiem na wszystkie strony. Był mrocznie piękny, piękny smagłą, posępną urodą, jaką tu się często spotykało po starych szlacheckich zaściankach. I Wicio przypomniał sobie w tym momencie o pięćdziesięciogroszówce schowanej jak talizman w górnej kieszonce mundurowej marynarki. Zaczął szukać jej wsadziwszy dwa palce w satynowy schowek.

— Potrzebuje pan wsparcia?

— Nie, dziękuję — uśmiechnął się mężczyzna, pokazując zęby tak białe, że prawie niebieskie. — Nie potrzebuję pieniędzy. Ale szukam pomocy. Panu mógłbym zaufać. Panu jednemu. A ja już teraz wiem, kto dobry człowiek, a kto zły.

W kaplicy z obrazem obsypanym tysiącami wotów podobnych srebrnym gwiazdom pojawił się ksiądz w zielonej kapie. Zahuczały skryte ścianą organy, odezwał się nierówny śpiew wiernych, klęczących na jezdni z resztkami nawozu końskiego i na krzywych, kamiennych chodnikach.

— A jak mogę pomóc?

— Dam panu coś, taką przesyłkę, i proszę zanieść tu niedaleko na ulicę Subocz, ale z samego początku, numer siedem domu, w oficynie na prawo, parter.

— Nie może zanieść tego jakieś dziecko?

Mężczyzna wpatrywał się w Wicia oczami czarnymi jak mrok lochu. Widać było, że ma gorączkę. Co pewien czas wstrząsał nim dreszcz i wtedy otulał się szczelniej wypłowiałym, brezentowym płaszczem.

— To może zanieść tylko pan. Ja tu zaczekam na pana i pan mi wszystko opowie.

— Ale ja się spieszę do domu.

— Pan się nigdzie nie spieszy. Pan mi musi pomóc. Panu też kiedyś ktoś bardzo pomoże.

— Komu oddać przesyłkę?

— Tam będzie młoda kobieta. Pan ją od razu pozna, bo pan nigdy jeszcze tak pięknej kobiety nie widział.

Mężczyzna opuścił wzrok, zawahał się, znowu szarpnął nim dygot.

— No, może oprócz tej pana dziewczyny. Ona też jest bardzo piękna,



pięknością dla pana stworzoną i pan z nią długie lata będzie szczęśliwy, co daj, Panie Boże. Przepraszam, że tyle mówię, ale ja już dawno z ludźmi nie gadałem. Ściga mnie, panie, bieda, nieszczęście, a za mną krzywda, rozpacz i grzechy straszne. Niech pan już idzie. Ja tu czekam.

Wetknął mu do rąk mały węzełek uczyniony jakby z chustki na głowę.

— Proszę iść. Proszę iść — ponaglał. — I nikomu ani słowa.

Wicio szedł tym świętym wąwozem ostrobramskim w żalonym, jękliwym śpiewie, w którym mieszały się różne mowy, i polska, i białoruska, i litewska. Splecione wspólną rozpaczą wzbijały się wysoko pod niebo pełne raptownego błękitu i szybkich, milczących obłoków.

Ulicą Subocz dyrdały, jak nieustający grzmot, furgony taborów wojskowych. Bezpańskie psy biegły przed końmi poszczekując zajadle. Wicio znalazł bramę domu oznaczonego numerem siedem. Wszedł pod niskie sklepienie i ogarnął go natychmiast odór mydlin, uryny, butwiejącego drzewa. Ścisnął w dłoniach węzełek. Przez ciemną chustkę czuł ciężar bilonu i sprężystość złożonych po wielekroć banknotów albo może kartek listu.

Zastukał do parterowych drzwi oficyny, na których ktoś napisał kredą niezdarne „K + M + B 1939”. Nikt się nie odezwał w środku. Więc jeszcze spróbował, a potem nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, znalazł się w sporej izbie, która była zarazem kuchnią, salonem i sypialnią. Na płycie coś się gotowało i to gotowało od dawna, bo wielkie kłęby pary leciały pod sufit. Koło stołu gadało do siebie dziecko uwięzione w krynolinie z witek łożowych. Na łóżku okrytym pasiastą narzutą leżała kobieta z głową ukrytą w ramionach. Nad nią wisiał kilim, wisiała też wielka szabla ułańska ruszona mocno przez rdzę.

Wicio podszedł do łóżka i dotknął ramienia kobiety. Nie zareagowała.

— Proszę pani — powiedział cicho.

Zasłaniała twarz nagim ramieniem. Spod bladej skóry przeświecała delikatna jasnoblękitna żyłka.

— Proszą pani — powtórzył. — Niech pani się obudzi.

— Czego? — spytała ochryple nie zdejmując ramienia.

— Coś pani przyniosłem. Mam przesyłkę.

Westchnęła ciężko, podniosła głowę i zobaczył młodą jeszcze twarz, może kiedyś piękną, ale teraz unicestwioną przez zmęczenie, apatię i bezwstyd. Poczul kisły zaduch trawionego alkoholu.

— Jaką przesyłkę?

Podał węzełek. Wzięła go na dłoń, jakby zważyła huśtając rękę. Policzki jej były mokre od łez albo potu.

— Czy to on posyła? — spytała.

— Nie wiem. Dał mi człowiek pod Ostrą Bramą. Czarny, z wąsami, w wojskowych spodniach.

Uniosła to zawiniątko przed oczy, zaczęła rozsupływać węzeł. I naraz cisnęła tym podarkiem o ziemię. Poleciały jakieś monety, dzwoniąc o sprzęty, dziecko natychmiast zaniósł się płaczem.

— Poszedł won z takim gościńcem! Żeby go małanka spaliła, żeby nie dożył jutrzejszego dnia, żeby go diabli smażyli w piekle przez wieczność! Jezu, Jezu — zaczęła wyć, bijąc głową o brzeg drewnianej skrzyni łóżka.

— Zmarnował moją młodość, zgnoił nas wszystkich, za życia wpędził do grobu. O Boże, Boże, czemu mnie tak karzesz, czemu dręczysz i zabijasz powoli? Niech będzie przeklęta na zawsze ta moja głupota, wariactwo, zaczarowanie, ta bezbożna miłość.

Wicio na palcach odchodził w stronę drzwi. Potknął się o przewrócony taboret sięgając po klamkę. Wtedy ona nagle spytała ochryłym szeptem:

— A jak on wygląda?

— Nie wiem. Chyba dobrze.

— Coś kazał powiedzieć?

— Nie. Nic. Prosił tylko, żeby oddać przesyłkę. Pewnie ma gorączkę.

Ona wstała niezdarnie z łóżka. Chwilę patrzyła bezmyślnie w okno pełne słońca, wytarła wierzchem dłoni oczy, zataczając się podeszła do płyty kuchennej. Bez pomocy szmaty, gołymi rękami zaczęła zdejmować rozpalony gar ziejący parą.

Wicio biegiem wracał pod Ostrą Bramę. Nabożeństwo już się skończyło, zniknął ksiądz w zielonej kapie, zniknęli też ministranci i ucichły organy. Przed cudownym obrazem Panny Marii podobnej do perskiej albo może do lewentyńskiej dziewczyny migotały płomyki świec jak drobiny ludzkiej pamięci.

Wicio stanął na jezdni wśród takich samych co przedtem wiernych, zgarbionych w kornej modlitwie, zastygłych w rozpaczliwej ekstazie. Ale czarniawego mężczyzny nigdzie nie było. Rozglądał się uważnie dokoła, szperał oczami po wnękach muru i po bramach, obmacywał wzrokiem plecy klęczących, lecz już wiedział, że tego człowieka nie spotka.

Potem stał na odkrytym brankarcie staroświeckiego wagonu, który pamiętał jeszcze carskie czasy. Wiatr spychał go z platformy, wykręcał mu włosy, smagał węglowym pyłem w oczy. Wicio trzymał się antycznej poręczy z mosiądzu, spod przymkniętych powiek spoglądał na tak dobrze znane wzgórza i strome jary, spospolitowane w codziennej znajomości drzewa, krzaki, samotne domy i struny linii telegraficznej.

— Tu się schował, mamy go! — ktoś krzyknął za jego plecami.

To Lowa stał mocno rozkraczony na rozwibrowanej żelaznej podłodze platformy. Z sąsiedniego wagonu przedostawała się już Greta podtrzymywana przez Engla.

— Jej Bohu, Wicio, świat się kończy — Lowa przekrzykiwał przeraźliwy łoskot starego żelastwa. — Zwagarowałeś? Prawda, że zwagarowałeś?

Widział przed sobą jego wielką, kościstą twarz, obciążoną śniadą skórą, na której siedziały rzadkie, prawie czarne piegi.

— Zwagarowałem. Co to ciebie obchodzi?

Lowka kiwał się na boki miotany przez pęd.

— Oczywiście, że obchodzi. Pamiętasz nasz zakład?

— Jaki zakład?

— No nie udawaj głupiego. Sercowy zakład.

— Czy ty uważasz mnie za idiotę?

— To gdzie byłeś cały dzień?

— Gdzieś byłem, ale już więcej nie będę.

Greta stanęła blisko Wicia. Chciała się schować przed gwałtownym przeciągiem, który bombardował sadzą, kępkami suchej trawy i zeszłorocznymi liśćmi.

— Wicio, ona jest jednak chora — zaszeptał mu w ucho Engel. — Byliśmy dziś na prześwietleniu. Ma powiększone serce.

— Dużo ludzi żyje z większym sercem.

— Dlaczego ty jesteś wobec niej taki niegrzeczny?

— Co ty znowu wymyśliłeś, Engel? Bardzo ją lubię.

— Kiedy byliśmy dziećmi, uderzyłeś ją cegłą w głowę. Lekarz musiał

zszywać skórę. Ma do dzisiaj bliznę we włosach.

— Ja już nie pamiętam, Engel. Może i uderzyłem, ale nie rozumiałem, co robię. Dziś bym przecież jej nie uderzył.

— Tak, masz rację. Nie wolno jej krzywdzić.

— A kto ją chce skrzywdzić?

Engel umilkł. Greta wolną ręką przytrzymała beret na głowie, zasłonięta plecami, po których biegał, jak zwierzątko, kłębek jej jasnych, prawie białych włosów.

Nadleciał i ogłuszył ich na moment rozdzierający gwizd lokomotywy.

— Uaaa! — zawył Lowka wychylając się z platformy. Wisiał nad zatartą od pędu ziemią podobną do zbutwiałego samodziąłu. Wykręcił głowę pod wiatr i rozkoszował się jego gwałtownymi uderzeniami, które łomotały go po twarzy.

— Wicio — szepnęła Greta nie odwracając się. — Słyszysz mnie?

Objął ją ramieniem i schylił ku niej głowę. Drgnęła leciutko od tego dotyku.

— Słyszę — powiedział cicho do jej ucha.

— Chciałam cię przeprosić.

— Ale za co?

— Za wszystko.

— Naprawdę nie masz za co przeproszać.

— A bo ty mnie traktujesz jak dziecko. Mam już szesnaście lat skończonych.

— To piękny wiek.

— Engel zawsze i wszystko robi na mój koszt.

— Och, Greta, to chyba niewielki koszt.

— Dla mnie wielki.

Przycisnął ją lekko do siebie. Lecieli nad przejazdem, a za szlabanem koń wspinał się na tylne nogi zrywając uprząż. Znowu zajęczał parowóz.

— Ja wszystko rozumiem, Greta.

— Obawiam się, że nic nie rozumiesz.

I

Nie jestem opisującym ani opisywanym. Jestem bogiem. Bogiem straszliwie okaleczonym przez braci-bogów albo przez kataklizm, który spadł na wszechświat bogów. Uczyniono mnie na podobieństwo człowieka i jak toporem odcięto mi boską świadomość, rozumienie początku i końca, wyłupiono mi boskie oczy i widzę tylko małą planetę oraz szaroniebieską nicość wokół niej, zmiażdżono mi boskie uszy i słyszę tylko płacz narodzin i wycie umierania przypadkowych istnień w tym zaścianku prowincjonalnych galaktyk.

Nie wiem, czy znalazłem się tu sam, czy może również i inni bracia-bogowie ukarani albo dotknięci nieszczęściem kataklizmu, czy oni także nie błąkają się wśród tych ludzi i nie potrafią się rozpoznać, i ze szczątków dochowanej świadomości ułożyć obraz poprzedniego bytowania, przypomnieć drogę powrotu, wymyślić sposób ocalenia.

Jeśli gdzieś błądzicie, bracia, w tym wątlym zagajniku prymitywnego istnienia, jeśli grzęzniecie z mozołem w niegłębokiej topieli zmyślonych radości i realnych mąk biologicznych, jeśli drzemiecie w zwiewnym czadzie niejasnych nadziei i dotkliwych rozpaczy, jeśli tułacie się zatraciwszy poczucie czasu, to znaczy kolejnych wieczności, jeśli tułacie się w monotennie zmiennych formach tego najprostszego z możliwych

bytowań, jeśli więc tak jest, to wzywam was teraz, abyście odpowiedzieli mi jakimś znakiem, noszonym niczym ludzki szkaplerz w głębokim ukryciu, znakiem naszej dawnej nieokaleczonej, nieskarlałej, nieośmieszanej boskości, a ja was rozpoznam i zjednoczę w związek skrzywdzonej boskości i odpłyniemy na tej małej planecie jak na ratunkowej łodzi do naszej utraconej ojczyzny bogów.

## II

Kto wymyślił tych ludzi? Czy kaprys hulaszczych braci-bogów? Czy nasza nieuwaga pozwoliła im załęgnąć się na pyłku szamoczącym się w rozbłysku chwili?

Mozolnie z drobiny białka wyczołgali się na próg, za którym być może nic dla nich nie ma, którego oni już nigdy nie przekroczą. Stanęli na tym progu obiema nogami w postawie wyprostnej i nazwali siebie homo sapiens. Zaczęli szukać imaginowanych pokrewieństw z nami, wykoncypowali jakąś boską inność wobec swoich bliźnich, którzy pełzają po wspólnej planecie, biegają na czterech, sześciu albo więcej nogach, którzy unoszą się z trudem nad jej więdnącą powierzchnią. Więc namaściwszy się świętokradczo tą innością zżerają codziennie swoich bliźnich, aby przedłużyć mgnienie bytu, który złośliwość niewiadomego kaprysu uzależniła od siebieżerstwa.

Ten śmieszny i być może najnikczemniejszy wariant sekundowej obecności w Nierozpoznawalnym, tę chyba wyjątkową wersję ujętą w żelazną klamrę narodzin i śmierci, czyli pozornego początku i pozornego końca, ten zabawny przypadek chcą upodniościć nadając mu podobieństwo do losu bogów, bo ktoś im zdradził nieopatrznie nasze istnienie. Gdyby nie

ciężka, zgryzota, która mnie stale trawi, śmiałybym się serdecznie widząc, jak patetycznie tłumaczą swój prostacki cykl biologiczny. Ile rozkosznego ceremoniału potrzebują, żeby ozdobić nieestetyczny proces uzupełniania traconej energii, czyli przyjmowania pokarmów, ile wysiłku wkładają, aby upiększyć podrzucony im przez Wielki Kaprys nakaz trwania, czyli rozmnażania się, ile zręczności okazują, by zabić w sobie strach przed sześnięciem, czyli przed śmiercią.

### III

Co ja tu robię? Unoszę się samotnie jak pod powierzchnią niewielkiego stawu. Za sobą widzę mętną taflę zwierciadła wody, a w nim odbite po tamtej stronie jakieś blaski i ruchliwe cienie, te błyski i te cienie coś mi przypominają, czego nie pamiętam i czego może już nigdy nie przypomnę. Pod sobą widzę oddalone prawami optyki rojowisko bezsensownego życia, to znaczy mało wartą formę bytu, spowodowaną przez kaprys, konieczność albo po prostu przez nic. Patrzą z wysoka na ten ruch wypływający z nicości i ginący w nicości albo wypływający z siebie i ginący w sobie, patrzę więc ze zgrozą, nie wiedząc, jak długo na to patrzę i jak długo jeszcze będę patrzył.

Czasem ten ruch życia, bo będę to nazywał życiem wedle ich nomenklatury, porywa mnie ze sobą, jak obłok komarów porywa cząstkę powietrza. Ale nie umiem poddać się ich prawom. Nie umiem zabijać i korzystam tylko z padliny, nie pragnę wywyższenia nad mnie jednostki, nie wiem, co to znaczy kochać, i nie znam miłości.

Nie ma mnie wśród nich, a zarazem jestem w każdym z nich. Może wegetuję w ich przeciętności, zobojętniały i bierny, lub daję się unosić w



ich skromnych szaleństwach, też zobojętniały i bierny. Może mnie czasem zobaczą albo wyczują jak ich bracia-psy, zobaczą albo wyczują w raptownym lęku sennym, na kartach książki, w powolnym zachodzie słońca, w nieznanym przechodniu, w biciu dzwonów, w raptownym skurczu rozkoszy lub bólu, w szarym losie bliskiego człowieka.

Jestem dobrodusznym, czasami nawet pogodnym, choć dosyć zobojętniałym bogiem, może raczej eks-bogiem. Chętnie biorę udział w tej zabawie, w tym ruchu, w tym czyimś kaprysie albo niekaprysie. Lecz jednej gry nie umiem. I wiem, że nigdy jej się nie nauczę. Nigdy nie załomocze mii gwałtownie serce na widok dziewczyny, nigdy nie zatęsknię do niej pośrodku nocy, nigdy nie skoczę w przepaść z miłości do niej. Bo nigdy nikogo nie będę kochał.

#### IV

Jestem wesołym bogiem i w związku z tym, a może i bez związku, mam przyjemną, miłą powierzchowność. Lecz ta, moja zewnętrżność nie potrafi zwrócić niczyjej uwagi, co jest rozumne, bo zostawia mnie wolnym, poza sferą ich spraw, dążeń, namiętności. Moja przeciętność jest pierwszym znamieniem boskości. Przypominam każdego człowieka i zarazem nikogo nie przypominam. Istnieję i zarazem jakby mnie w ogóle nie było.

Bogowie są dobrzy, gdyż boskość to bezruch. Wszelkie zło bierze się z ruchu. Ruch w tym mikrokosmosie powoduje zmiany, a zmienności towarzyszy ból. Coś o tym wiem, bo cierpię na ataki, nerkowe. Jestem bogiem z kamicą nerek. Wiję się od czasu do czasu w srogich bólach, lecz jednocześnie jakbym ich nie odczuwał, jakbym znał je tylko ze słyszenia, może z lektur, bo i te bóle są chwilowym bezsensem, niemądrym

urozmaiceniem, które można polubić. Ta niedomoga układu moczowodnego to jeden z moich kamuflaży. A mam ich oczywiście więcej. Tyle, że wystarcza, aby traktowano mnie jak bliźniego. Więc pracuję, co oznacza wykonywanie monotonnych manipulacji uważanych za pożyteczne dla ogółu, kopuluję wieczorami tak, jak oni to czynią w betonowych klatkach mieszkań nade mną i pode mną, czasem piję wódkę, która w nich wyzwala agresywne przeczucie absolutu, mnie natomiast przyspiesza proces wydalania tych idiotycznych kamieni nerkowych. Klepią mnie po ramieniu, opowiadają jakieś głupstwa, całują w policzki, naciągają na pożyczki, proszą o protekcje, domagają się współczucia, kłamią, że mnie lubią, śmieją się ze mnie, kiedy tego nie słyszę, podstawiają mi nogę, chcą mnie przyjmować do swoich wspólnot, jakichś związków albo stowarzyszeń, domagają się ode mnie samookreśleń lub dziwacznych deklaracji, a przede wszystkim każdy z nich żąda, abym uznał jego zwierzchnictwo, żebym robił to, co on robi, a przy tym wszystkim gdzieś pędzą w obłędzie, gdzieś się spieszą, gdzieś lecą na złamanie karku, ale tam gdzieś jest tylko czarna dziura, wielka otchłań nicości, której tak strasznie boją się i która ich tak przemożnie nęci. Lecz czasem któryś z nich spojrzy na mnie z popłochem i wiem wtedy, że przeczuł raptem moją boskość. Lecz czasem któryś z nich zapamięta moje słowa i przypomni je ze zgrozą o północy. Lecz czasem któryś z nich zobaczy mnie raptem w chwili bólu, upadku, rozpacz albo śmierci i zapomni natychmiast, kiedy skończy się ból, rozpacz albo śmierć.

Lecz jednej gry nie umiem i wiem, że nigdy się jej nie nauczę. Nigdy nie załomocze mi gwałtownie serce na widok dziewczyny, nigdy nie zatęsknię do niej pośrodku nocy, nigdy nie skoczę w przepaść z miłości do niej. Bo

nigdy nikogo nie będę kochał.

## V

Zapytacie mnie, moje drogie, sympatyczne robaczki z prowincjonalnej galaktyki, zapytacie, dlaczego wam nie pomogę w waszej codziennej męczarni. Dlaczego nie uwalniam was od strachu, który sobie codziennie sami wymyślacie, dlaczego nie prostuję waszych myśli, waszych aksjomatów i hipotez, które was spychają codziennie na manowce, dlaczego was nie obdarzam dobrym losem, i to takim losem, który by was wywyższał nad inne pierwotniaki. Modlicie się przecież każdego wieczoru do mnie zalewając się łzami i bijąc głową o kant łóżka.

Mógłbym was czarować, mógłbym wymyślać tysiące logicznych i prawdopodobnych powodów. Lecz odpowiem szczerze: jestem tylko wielkim uchem do wysłuchiwania waszych skarg, jestem tylko kolosalną membraną wibrującą od waszych jęków, jestem tylko echem, co przenosi w wieczność wasz ludzki płacz. Może jedynie to stanowi istotę boskości.

Będę wam współczuł tak, jak współczułem wam zawsze od pierwszej chwili męki, rozpacz, przerażenia, którą sobie uświadomiliście czy to pływając jeszcze w wodzie, czy już pełzając po ziemi. Obiecuję więc współczucie, a współczucie jest jak łagodny szept niebios, jak pocałunek rozumnego przeznaczenia, jak ciepło cudzej obecności w mroźnych pustyniach wszechświata.

A może mnie utworzyły, niczym obłok pyłu kosmicznego, wasze marzenia, tortury, smutki, niedole. I dlatego nigdy nikogo nie będę kochał.

## VI

Lubicie dobrą nadzieję, lubicie radosną pewność następnej chwili, lubicie kojące przeczucie szczęśliwego zakończenia. Lubicie optymizm, lepszy wariant tej samej codzienności.

Nie chcecie słyszeć swoich własnych wrzasków i postękiwań, nie chcecie widzieć złowieszczych znaków na niebie i na ziemi, nie chcecie marznąć w chłodzie wiecznego wiatru bezsensu, co wieje z nieskończonej próżni.

No i bardzo dobrze. Optymizm to wanna z ciepłą wodą. Optymizm to szczęśliwe wypróżnienie się poranne. Optymizm to drzemka w wagonie kolejowym, który pędzi w nieznane.

Optymizmu pragną również wasi bliźni, co uzyskali nad wami przewagę, co podporządkowali was swojej woli, co regulują wasze postęпки, dążenia, aspiracje. Oni także lubią, gdy jesteście zadowoleni, weseli i pogodni, bo nie muszą was wtedy karać, to znaczy eliminować z powszechnego ruchu lub odsyłać w znieawidzoną nicość.

Ja także jestem bogiem optymistycznym i zanim powrócę w przeciętność, zanim skryję się w fabuły waszych smętnych losów, zanim roztopię się na powrót w bełkocie nieustannego ruchu, zdradzę za pozwoleniem waszej zwierzchności sekret przyrządzania eliksiru zwanego optymizmem.

To, co uważacie za duszę, jest tylko pewnym stanem napięć prądów bioelektrycznych. Rozumne uregulowanie napięć i natężeń tych prądów powoduje chwilowy błogostan, definiowany przez uczonych jako czysty optymizm.

Nie oczekujcie od nikogo optymizmu. Produkcujcie go sami. W każdej wolnej chwili ponawiajcie próby. Kiedy budzicie się ze snu, a za oknem w

orgii barw dźwiga się świeże, wesołe i pracowite słońce, kiedy w środku dnia uświadamiacie sobie raptem, że jesteście, że trwacie, że żyjecie, kiedy przywalają ciężkim piachem trumnę przyjaciela, a was zaboli nieoczekiwanie kochana, dobra, chciwa życia wątroba, kiedy przyśnicie nagle w biurze lub w ogonku sklepowym górę pieniędzy, kiedy znowu zdrożają lokomotywy kolejowe, a wam chwilowo przestaną wypadać włosy, kiedy ktoś zleci z wysokiego stanowiska, a wasze hemoroidy nie odezwą się tego dnia, kiedy zakwitną lasy akacjowe pachnące gorącym miodem, kiedy odrywają się od gałęzi czerwone liście i żeglują pod przydymionym niebem jak odlatujące ptaki, kiedy cichy śnieg zasypuje ziemię, lasy i zbłąkanych podróżnych, a w kominie świergocze radosny i skwapliwy ogień zimowy.

Jestem bogiem optymistycznym. Ale nigdy nie zatęsknię raptem do dziewczyny. Nigdy nie skoczę w przepaść z miłości do niej. Bo nigdy nikogo nie będę kochał.

## VII

Gdzie jest moja ojczyzna? Gdzie jest ojczyzna bogów? Chciałbym tam wrócić. Chciałbym tam wrócić, choćby okazała się podobną do tej krainy ludzi, gdzie spędziłem wygnanie. Choćby była wszechświatem kolosalnych i nieskończonych bólów, kolosalnych i nieskończonych utrapień, kolosalnych i nieskończonych nadziei. Nie, niech nie będzie podobna do ziemi. Mam na zawsze pełne oczy cierpienia, pełne uszy szlochu, pełne serce lęku. Ale niech będzie zarazem jakoś podobna do ziemi. Niech będzie podobna w krótkiej chwili radości z dokonania, w ulotnym zachwycie dla przypadkowego piękna smukłej trawy lub

wonnego zioła, w przejmującej słodczy olśniewającego błysku pierwszego zakochania.

Chciałbym zabrać do ojczyzny bogów swoją kamice nerkową i legendę o miłości. Miłości przyziemnej i wzniosłej, kazirodczej i anielskiej, wymyślonej i żywiołowej, chutliwej i perwersyjnej, dobrej i złej, byle by tylko była. Bo może kiedyś, w kolejnym kręgu nieskończoności, jeszcze będę kochał.

— Panie Witku! Witek! — wołał ktoś na ulicy. Wicio złożył zeszyty, zakręcił wieczne pióro, co od lat przynosiło szczęście. Wstał zza stołu.

— Dokąd? — matka poderwała się od szafy, w której coś przebierała.

— Zobaczę, kto mnie woła.

— Nie trzeba. Ja wiem i ty wiesz, kto woła.

— Ale, mam, nie wypada. Muszę wyjść.

— Ja to zrobię, powiem, że ciebie nie ma w domu.

— Przecież nie jestem dzieckiem.

— Jesteś. Sam nawet o tym nie wiesz.

Chciał ją ucałować w przedwcześnie postarzały policzek, ale uchyliła głowę.

— Wicio, ja mam niedobre przeczucia. To nie dla ciebie towarzystwo.

— Mam, wiem, co robię.

Próbowała złapać go za rękę, ale wyrwał dłoń i wybiegł przed dom. Oparci łokciami o płot siedzieli na rowerach Alina oraz ten jej kuzyn w szarej, aksamitnej „batorówce”. Oba rowery były męskie i dlatego dziewczyna musiała włożyć spódnicę uszytą jak spodnie. Uśmiechała się niewinnie mrużąc oczy. Po tym zmrużeniu można się było domyślić, że

jest krótkowidzem.

Wicio podszedł niepewnie, kłaniając się z daleka.

— Może przeszkadziliśmy? — spytała ona.

— Ale skąd. Właśnie skończyłem lekcje.

— Poznajcie się. To mój kuzyn Sylwek, a to pan Wicio.

Uścisnęli sobie dłonie troszkę za mocno, żeby okazać męskość oraz energię, i student omal nie zleciał z roweru.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł Wicio.

— Jeszcze się okaże — powiedział niezyczliwie kuzyn Sylwek.

— Proszę na niego nie zwracać uwagi, on już taki zawsze.

— To co, długo będziemy wisieć na płocie? — spytał kuzyn.

W oknie domu poruszyła się firanka, za szybą pełną chmur mignęła twarz matki.

— Panie Wiciu, przejedzie się pan z nami nad rzekę?

— Mogę się przejechać — powiedział z rezerwą. — Ale nie mam roweru.

— To nic nie szkodzi. Siądę na ramie, a pan na siodełku. Chyba da pan radę?

— Spróbuję — rzekł chłodno, z ostentacyjną powściągliwością.

Zawinął lewą nogawkę, ona przesiadła się na ramę. Z wysiloną swobodą wskoczył na siodełko. Ruszyli ostro w stronę przejazdu kolejowego obok stacyjki.

Miał ją dziwnie kruchą i drobną między wyciągniętymi rękami. Wiatr podrywał jej popielate, pachnące rumiankiem włosy, których koniuszki łaskotały Wicia po brwiach, oczach, ustach.

— Może by tak polecieć bez hamowania i roztrzaskać się z nią o głazy

w rzece — powiedział sam do siebie.

— Niech pan tak szybko nie jedzie. Zatyka mnie powietrze.

— Proszę bardzo, mogę jechać wolno — rzekł obojętnie i nacisnął hamulce.

Wyprzedził ich kuzyn Sylwek. Czapa studencka straciła od pędu fason i jak stara cholewa miotła się na wszystkie strony.

— Pan się na mnie gniewa — w tym stwierdzeniu była obraźliwa pewność.

— Słowo daję, że się nie gniewam. Skąd to pani przyszło do głowy?

Wtedy zza krzaków wyleciał ten wielki, dziwny pies i zaczął straszliwie ujadać kłapiąc zębami niebezpiecznie blisko łydek Wicia.

— Uspokój się, Rex, do nogi pies! — zawołała Alina.

— Wolałbym, żeby nie do nogi — mruknął Wicio.

Wjechali w rozległy wykop, skąd zaczynała się szeroka, piaszczysta droga, nieujeżdżona, porośnięta młodymi ziołami, które nie nabrały jeszcze mocy, pachniały zwykłą, świeżą trawą. Wicio patrzył na jej kark srebrzysty jak liść topoli. Szukał w pamięci obrazu jej pleców, jej całej postaci przed abażurem lampy, smukłej sylwety tak podobnej wiolonczeli z jasnego drzewa. Droga niewysokim, rozpełzłym nasypem wytoczyła się na łąkę pełną wiosennych rozlewisk i łach kaczeńców. Usłyszeli tak dobrze znany histeryczny głos Wilenki, która przez wielkie głazy z długimi brodami gnała obłądnie ku miastu. Droga urywała się raptem na brzegu, dalej już było tylko kilka przechylonych pni po moście, który kiedyś zabrała powódź. Zeskoczyli z rowerów. Wicio podtrzymał Alinę, kiedy zatoczyła się raptem w grząskim piasku. Leniwie, ale i kategorycznie zabrała z jego dłoni chłodny łokieć.



— Położmy rowery. Będzie na czym usiąść — zaproponowała.

Usiedli na szprychach kół swoich maszyn. Alina z Wiciem blisko siebie, nachmurzony kuzyn trochę dalej, obok krzaków olszyn z drobnymi zwitkami nowych liści. Pies zleciał do wody, przechadzał się wzdłuż brzegu, wysoko podnosząc łapy.

— Chciałam was poznać — odezwała się niepewnie Alina.

Milczeli, myśląc każdy o swoim. Wreszcie kuzyn zapalił papierosa.

— Pan idzie na medycynę?

— Tak, wybieram się na medycynę.

— Będzie pan leczyć burżujów?

— Burżujów, jeśli się zdarzą, ale przede wszystkim ubogich.

— Zacznie pan od biednych, skończy na bogatych.

Z drugiej strony rzeki nad drogą z polnych kamieni był stromy stok, po którym aż do nieba wspinały się puste dęby niczym zgarbieni atleci. Po prawej stronie stromizna łagodniała przechodząc w obszerną platformę. Tam bieleł się wśród lip stary dworek z ogromnym słomianym dachem, z wielkim kołem bocianiego gniazda, z topornie ulepionym kominem, z krzywymi kolumienkami ganku. Ukosem z pomiędzy zabudowań gospodarczych wystrzelał zabytkowy żuraw studzienny. I w tej cichości starego folwarku, który drzemał z naftową lampą tak blisko miasta, była jakaś melancholia dawnych, zapomnianych czasów.

— Może rozgrzejemy się? — spytał raptem kuzyn Sylwek. — Chce pan spróbować się na rękę?

— Jeśli ma pan ochotę.

— Ochotę to mam, ale czy pan ma odwagę?

— Dobrze, tylko o co? Ja lubię hazard.

— Szanuję hazardzistów, młody człowieku. Może więc o Aline?

Ona podniosła się raptem z rowerowego koła.

— Czy wyście zwariowali? Nie pozwalam.

— Odejdź, dzieciно, to męskie sprawy. Na tym kamieniu będzie dobrze?

— kuzyn Sylwek pokazał głaz koło drogi.

— Tak, będzie dobrze — rzekł Wicio.

Stanęli po obu stronach kamienia płaskiego jak grobowiec. Ona została na brzegu sypkiej drogi.

— Ja nie chcę, słyszycie? Nie lubię głupich zakładów. Panie Witku, niech pan będzie rozsądny.

Oparli łokcie na głazie, w którego szczelinach była woda deszczowa, co leczy liszaje. Chwycili się za dłonie jak w braterskim uścisku. Widział przed sobą jasne, trochę ptasie oczy kuzyna Sylwka i chyba w tym momencie poczuł odrobinę sympatii do tajemniczego studenta.

— Panie Witku, proszę natychmiast wrócić do mnie, bo pan pożałuje.

Kuzyn Sylwek poprawił uchwyt dłoni. Raptowna, ciepła jasność szła od Puskarni przez łąki. To słońce wyrznęło się z ciężkich, oksydowanych chmur.

— A co wy, wróbelki, tak się panujecie bez przerwy? Mówmy sobie po ludzku na ty, taka wasza mać, inteligencja szpagatowa. Jesteś, brachu, gotów?

Witkowi na pewno zrobiło się teraz smutno, że ten obrzęd intymności rozegrał się tak szybko i brutalnie.

— Ty że paniczu w pompon szarpany — westchnął i powiedział: — Jestem gotów.

Napięli mięśnie. Kuzyn chciał zaskoczyć, runął całą siłą od razu, ale

Witek pozwolił odchylić dłoń ledwo-ledwo, utrzymał splot w płytkim przechyle i czekał. Sylwek z różowości przeszedł w czerwień, potem siniał stopniowo, straszna żyła w kształcie litery Y wybiegła mu na czoło. Zacisnął zęby, drżała jego dłoń w ostatecznym wysiłku, drżały barki, szyja, nastroszone włosy. Przełamywał opór Witka całą swoją siłą, całą wolą, całą ambicją i nie mógł przełamać. Witek ciągle czekał, aż znalazł wreszcie w tym pośpiesznym rytmie dygotu przeciwnika drobną lukę, mały ułamek sekundy dekoncentracji, rozprężenia chwilowego i wtedy zaatakował błyskawicznie. Jego kontra zaskoczyła Sylwka, dłonie ustawiły się znowu w pionie. Ale to była pozorna równowaga. Kuzyn Sylwek wyczerpał już całą energię. Jeszcze się nie poddawał, jeszcze walczył, lecz łokieć jego szukał rozpaczliwie ratunku na gładkiej powierzchni kamienia. I nagle Sylwek załamał się, dłoń Witka szybkim rzutem przygniotła jego rękę do granitowej płyty, która była ich ringiem.

Kuzyn Sylwek uwolnił swoją dłoń, niósł ją przed sobą jak skrzywdzone dziecko ciągle chuchając na palce. Tak doszedł do drogi i runął na mokry piasek.

— Ależ sukinkot ma grabę — zajęczał. — Popękały kostki, niech skonam.

Ona stała ciągle w tym samym miejscu, obrysowana żarzącym się konturem słonecznego światła.

— Przepraszam, paniczu — rzekł cicho Witek.

— No dobra, wygrałeś. Ona jest twoja — kuzyn usiadł i zaczął okładać rękę wilgotnym piaskiem.

— Czy ktoś pytał mnie o zdanie? — odezwała się Alina.

— Nie lękaj się, nie walczyłem o ciebie — powiedział Witek.

— A o kogo?

— O nikogo, o nic.

Szosa po tamtej stronie rzeki jechał na motocyklu pan Henryk, który podawał się za technika drogowego. Sunął majestatycznie na tej swojej maszynie, która budziła zabobonny podziw mieszczan i śmiertelną grozę wieśniaków. Prychał niebieskawym dymem, dodawał gazu i ujmował, halsował od brzegu do brzegu drogi. Potem nagle coś strzeliło, motor zgasł, pan Henryk dotoczył się do zakrętu pod folwarkiem, gdzie był stary, drewniany krzyż z dawnych czasów. Tam zabrał się do reperacji swego potwora.

— No i znowu nudno — westchnął rozdzierająco kuzyn Sylwek. — Jeszcze nudniej niż przedtem, a już przedtem było o wiele nudniej niż wczoraj. Bawcie mnie jakoś, szczygiełki.

Rzeka płynęła już w swoim korycie, lecz wszędzie widziało się ślady niedawnej wiosennej powodzi. Przybrzeżne krzaki leżały oblepione mułem. Wiechcie słomy, połamane żerdzie ogrodzeń, resztki ludzkiego dobytku i rzeczne kamienie, to wszystko wałało się na skraju podmokłej łąki.

— Ludzie, powiedzcie mi, czy można skonać z nudy? — zajęczał Sylwek, kładąc się na swoim rowerze. Uniósł chorą rękę do, góry nad głową, rozcapierzył palce i studził je lekkim wiatrem, który szedł w nieśmiałych podmuchach wzdłuż rzeki.

— Powiedzcie, chłopcy — rzekła nagle Alina — powiedzcie prawdę, czy nie ciągnie was woda?

Zeszła na sam brzeg porozdzierany przez żywioł, patrzyła na mętne wiry pędzące jednostajnie w stronę miasta. A im się chyba wydało, że rzeka

wzmogła swój głos zachłyśnięty pośpiechem.

— Czy nie ciągnie was coś, żeby wchodzić w chłodną topiel coraz dalej i dalej?

Wysunęła stopę i trzymała ją o cal nad zwichrowanym lustrem rzeki.

— Coraz dalej i dalej, ale w którą stronę? — spytał kuzyn Sylwek.

— W stronę śmierci.

Witek podniósł płaski kamień i rzucił nim „kaczkę”. Kamień odbił się ze siedem razy od powierzchni w coraz krótszych odstępach, a potem zarył się w wodzie pod wachlarzem roziskrzonych kropel.

— Nie ma jednej śmierci — powiedział wolno.

Ona odwróciła głowę leniwie, ciągle jeszcze z tą stopą dotykającą bulgotliwych lejów wodnych.

— A ile jest śmierci?

— Na pewno ta, którą znamy, nie jest ostatnią śmiercią. Na pewno po niej przychodzi jeszcze nawrót życia, jakiś dziwny skurcz istnienia, bytu, który czasem trwa lata, czasem dni albo godziny, a czasem tylko sekundy. Grabarze twierdzą, że większość ludzi budzi się zakopana w trumnach. Dlatego przy ekshumacjach widuje się straszliwie powykręcane ciała, wyłupione z bólu oczy, odgryzione palce. Czy nie zdarzyło wam się spotkać ludzi, co do których mieliście instynktowną pewność, że już kiedyś umarli? Alinka cofnęła nogę znad wody.

— Ja już raz umarłam.

— Kiedy? — zapytał Witek.

— W dzieciństwie. Byłam strasznie chora, długo, bez końca chora, a potem wszystko zaczęło się jakby od nowa.

Kuzyn Sylwek włożył dłonie pod głowę. Patrzył w niebo pełne obłoków

podobnych stalaktytom.

— Przestańcie pieprzyć, bo słuchać hadko.

— A dlaczego w prehistorii nie grzebano umarłych w ziemi, tylko sadzano ich przed jaskiniami zostawiając żywność? Dlaczego później palono ludzi, jakby chcąc ich uchronić przed męczarnią ponownego istnienia? Dopiero po tysiącach lat zapomniano tej wiedzy, z którą ludzie znaleźli się na ziemi.

— Słuchaj, chłopcze, ta wariatka od rana do nocy bredzi o śmierci. Czy ty się od niej nie zaraziłeś?

Jęła wracać sennie do nich, leżących na drodze. Powolnymi ruchami szczupłych rąk jak zmęczony pływak chwytła się zwalonych przez powódź krzewów.

— A może jakieś przeczucie dzisiejszych ludzi oswaja nas ze śmiercią?

Widział, że cienka spódnica oplata jej uda, i widział obłość tych ud, widział, że niebieski sweterek ściska zazdrośnie piersi, i przypomniał je sobie, kiedy były wolne, a zarazem przestraszone wolnością.

Pies zadyszał nad jego uchem. Nie spuszczać wzroku z dziewczyny wyciągnął rękę, żeby schwycić te śmierdzące wiatrem kudły. Wtedy pies znowu capnął go za rękę.

— On ciebie też kocha — powiedziała.

— A kto mnie jeszcze kocha?

— Wszyscy. Nawet ta Zuza, z którą mnie widywałeś.

— A ty?

— Musisz się pogodzić. Ja nie umiem kochać.

— Niech was diabli, co za bezwstyd — rzekł rozeźlony Sylwek. — W ogóle już się mną nie krępujecie. Ty biedaku, ty wieszczu z Mysich

Kiszek, przecież ona z ciebie zrobi kogel-mogel. Dopiero wczoraj wieczorem mnie wyznała miłość.

Uniosła ręce, żeby spiąć rozszczerzone przez wiatr włosy. Ten zwykły gest wydał się Witkowi dziwnie nieprzyzwoity i jakby skądś, nie wiadomo skąd, dobrze znany w swojej podniecającej mocy.

— Tak, wczoraj ciebie kochałam, ale już nie Kocham. Trzeba wracać, słońce zachodzi.

— Jeszcze ty mnie popamiętasz, mieszczańko przebiegła, szelmutko figlarna, dziewico salonowa — bluźnił kuzyn Sylwek podnosząc rower.

Później zeszli z drogi, zaczęli wspinać się na skróty łagodnym zboczem z wyleniająca trawą.

— Po co on tu przyjechał, jak myślisz? — cicho spytał Witek psa, który z niezrozumiałym uporem trzymał w zębach jego rękę. — Przekomarzają się, figlują, łaskoczą się nawzajem, a ja dostanę kopa albo od panicza, albo od panienki.

I popatrzył bez przyjaźni na kuzyna Sylwka, który pchał rower pod górę ze zmarszczonym straszliwie czołem, pod obfitym wodospadem skołtunionych włosów, które sięgały aż do brody, ozdobionej dołkiem pełnym teraz potu.

Na ulicy Kolejowej, tej co wiodła do górnego przedmieścia, ktoś nagle zawołał od płotu zarosłego dzikim bzem:

— Panie Witku, panie Witku, czy można prosić na słówko?

Stał tam pan Henryk, a obok błyszczał niklami zreperowany motocykl, groźna maszyna, jakby z piekła rodem, źródło autorytetu technika drogowego. Pan Henryk miał wielką mięsistą twarz, wspaniałą grzywę wiecznie tłustych włosów i dosyć korpulentną figurę. Było w nim trochę

kobiety, sporo mężczyzny i odrobinę zwierzęcia.

— No to nie będziemy cię zatrzymywać — powiedziała Alina. —  
Dziękuję za spacer.

— Ja dziękuję — rzekł oddając jej rower. — Paniczowi też dziękuję.

— Ty wiesz co, pocałuj mnie w dupę — wściekł się kuzyn Sylwek. —  
To ty stroisz się za panicza, ty jak wróbelek chcesz dziobać pańskie  
gówno.

Ruszył gniewnie przodem, a za nim zdziwiona jego wybuchem Alina.  
Dopiero koło zakrętu odwrócił się, popatrzył przeciągle na Witka, a potem  
objął wolną dłońią kuzynkę. Tak szli niespiesznie pod górę zasłonięci z  
obu stron rowerami.

— Panie Witku — odezwał się znowu technik drogowy. — Pan pozwoli.

Witek podszedł do płotu, za którym odezwał się gramofon tym samym  
modnym nie tak dawno tangiem: „Jesienne róże, róże smutne, herbaciane”.  
Po tamtej stronie przy ogrodowym stoliku siedziały siostry bliźniaczki,  
Greta, Lowka i Engel.

— Chodźcie do nas! — krzyknął Lowka. — Czcimy powitanie wiosny!

Pan Henryk uśmiechnął się dwuznacznie i Witkowi zrobiło się  
nieprzyjemnie. Szedł jakiś dziwny niepokój od tego człowieka, ubranego z  
ostentacyjną elegancją, pokornego i pysznego, roztargnionego i czujnego,  
nieśmiałego i agresywnego zarazem.

— Oj, panie Wiciu, oj, oj — pokręcił głową niby to z podziwem, ale też  
i z pretensją. — Pan ma swoje tajemnice.

— Jakie znowu tajemnice? — spytał Witek niezbyt pewnie.

— A po co pan chodził do Wołodki?

— Do jakiego Wołodki?



— No do tego samego. Niech pan nie udaje.

— Nic nie udaję i nie wiem, o co chodzi?

— Przecież był pan, po co zaprzeczać.

— Kiedy?

— No u jego żony. Na ulicy Subocz pod numerem siedem.

Przeleciał pierwszy chrabąszcz z uroczystym buczeniem. Słońce roztapiało się już powoli na grzbiecie dąbrowy.

— To była jego żona?

— Żona nie żona, żyje z nią na kocią łapę. A pan tam wszedł i siedział dobry kwadrans.

— Jakiś człowiek dał mi paczkę pod Ostrą Bramą.

— Czarny jak Tatar, w wojskowych spodniach?

— A skąd pan wie?

— Ja dużo rzeczy wiem — uśmiechnął się pan Henryk i poprawił fular pod szyją. — Niech pan więcej tego nie robi. Mogą być różne przykrości.

Engel przedarł się przez krzaki bzu.

— Panie proszą, rany boskie, jak wam nie wstyd.

— No to chodźmy — rzekł technik z nagłą serdecznością, popychając Witka. — Ja to, panie Wiciu, tylko z sympatii, ja pana naprawdę bardzo lubię. Niejednemu już pomogłem w życiu.

Między jabłoniemi w gęstym czerwonym świetle siedzieli przy krzywym stoliku na jednej nodze. Cecylia i Olimpia słuchały gramofonu, który śpiewał blaszanym głosem: „Jesienne róże, są jak usta twe kochane”. Lowka obejmował dyskretnie talię Cecylii, bardzo delikatnie wspinał się palcami ku jej biustowi, korzystając z wieczornego zauroczenia kobiety. Greta drobnymi łyżkami popijała porzeczkowe wino.

— No co, kobietki? — zagadnął pan Henryk.

— Cśśś, milcz — szepnęła Cecylia patrząc nieruchomo gdzieś w żółtą krawędź nieba, do której przyłgnęło trochę miedzianych okruchów chmur.

— Chciałam ci coś wyjaśnić — powiedziała cichutko Greta. — Żebyś nic nie myślał.

— Ja nic nie myślę — zamruczał Witek.

— Ale jesteś dla mnie taki jakiś dziwny.

— Cśśś — znowu syknęła Cecylia.

Lowka dobierał się już nieśmiało do bujnej piersi Cecylii silnie uzbrojonej w fiszbiny. Nie słyszała jego dotyku, a on był trochę stropiony trzymając w uścisku nieżywą od dłuższej chwili kobietę.

Wielka cisza osuwała się z nieba. Nocne powietrze przefiltrowane przez lasy oraz chmury szczypało delikatnie mokrym chłodem dłonie i policzki. Gramofon zgrzytał spiesznie jałowym biegiem. Engel zdjął membranę. Zatrzymał mechanizm. Wtedy gdzieś za rzeką, może w tym starodawnym folwarczku, obudził się, brzęczący jak śpiew komarów, cichy głos cymbałów. Ktoś nie znany uczył się grać z uporem na tym dziwnym instrumencie przypominającym stolnicę z mnóstwem strun.

— Teraz bym zasnęła i spała, spała bez końca — odzywa się nagle Cecylia.

— Szkoda pięknego wieczoru — błysnął zębami technik i znowu poprawił kwiecisty fular.

— Ale i tak nie zasnę. Będę męczyć się jak zwykle do rana — mówi przed siebie Cecylia. — Z boku na bok, tu duszno, tam gorąco, coraz więcej myśli takich, owakich, jakieś głupie marzenia, bezsensowne nadzieje, serce wali coraz mocniej, raptem strach, a za oknem martwota,

czarna nicość i czas, który stoi w miejscu, nie może drgnąć do przodu, do brzasku, do światła, do życia.

— A co ty ludzi nudzisz durnymi sprawami — szepcze Olimpia. — Masz proszki nasenne. Cały słoik kupiłam dzisiaj. One ciebie zamroczą, uśmiercą na dziesięć godzin. Po co ludziom psuć teraz nastrój.

— Może połknąć wszystkie te proszki od razu i zasnąć na bardzo długo, aż do Sądu Ostatecznego?

Pan Henryk podniósł szklaneczkę z winem, w którym już pływał pierwszy zmrok. Chciał coś powiedzieć, ruszył nawet mięsistymi wargami, pełnymi nieustannego zadowolenia, ale w końcu zrezygnował.

— Samobójstwo to straszny grzech — rzekła ochryple Greta i zakaszła, żeby przeczyścić głos.

Cecylia odwróciła głowę w jej stronę, popatrzyła z raptowną przytomnością.

— Dlaczego grzech? A jak nie ma ochoty do życia, a jak człowiek nienawidzi każdego następnego dnia? Po co się męczyć, po co gnić wśród żywych ludzi? To większy grzech.

Technik przełknął wino.

— Nic nie wiemy. Jeśli nie wiemy, lepiej słuchać się natury, przyrody.

— Czyli strach — rzekła Cecylia. — Strach żyć, strach odebrać sobie życie.

— Może kiedyś będzie można złożyć umotywowane podanie i uzyskać bon na śmierć w miejskim szpitalu? — odezwał się Witek.

Spojrzeli na niego różnymi oczami. Najbardziej zamglony wzrok miał Lowka, który musiał z ostrożności przerwać zabiegi koło biustu Cecylii.

Niby przypadkiem Greta położyła ciepłe, rozedrgane palce na rękę

Witka.

— Tobie jest źle?

Zabrał dłoń z wilgotnej ławy.

— Wcale nie powiedziałem, że mi jest źle. Od miasta nadjeżdżał pociąg towarowy. Gdakał ciężko, niewidoczny wśród czarnych pagórów. Cecylia otrząsnęła się raptownie.

— Przestań obmacywać, gówniarzu.

— Ja z sympatii, pulpeciku — niezrażony Lowka znowu próbował ją objąć.

— Odejdź, bo dam w zęby. Tylko jedno i to samo bez przerwy. A czy ty powiedziałeś kobiecie kiedy miłe słowo, powiedziałeś, że ją kochasz, że miłujesz aż do zwariowania?

— Mogę przecież powiedzieć — rzekł grubym głosem Lowka.

— No to powiedz.

— Do pani to powiedzieć?

— A choćby do mnie.

— Kiedy oni wszyscy słuchają.

— No właśnie niech słuchają.

Lowka namyślał się chwilę dysząc z trudem. Głos dalekich cymbałów ginał w nerwowym poszumie rzeki, to znów się wynurzał i uciekał lękliwie do zasłuchanych ludzi. Lowka sięgnął raptem dekoltu Cecylii.

— Kocham cię — zachrypiał.

Ona walnęła go nagle w twarz, zerwała się od stołu, pobiegła w głąb ogrodu. Lowka mrugał szybko powiekami. Miał wielką ochotę dotknąć policzka, ale się wstydził. Czuł, że mu rośnie rumieniec jak wielka kolczasta róża.

— Zaeksperymentował — stwierdził bez emocji pan Henryk.

W drzwiach pokazała się Puciatowa.

— Bezwstydne, bezwstydne — zajęczała. — Na oczach ludzkich wysiadują z uczniami, wino piją, muzyki słuchają. Pan Bóg skarże, oj, skarże.

I od razu wróciła do swoich zajęć w domu jak po spełnieniu przykrego obowiązku.

— Cecylia, chodź, słyszysz? — odezwała się Olimpia.

— Ja chyba powinienem się obrazić — zaszeptał Lowka. — Bez dania racji stuknęła w ucho, do tej chwili jeszcze dzwoni. Może dlatego, że ja jestem obcy?

— Widzisz, nie pchaj się do kobiet, masz wreszcie nauczkę — rzekł Witek. — Nie zapraszają ciebie do poufałości. Patrz, jakie wyniosłe, niedostępne, jaskółki latające pod chmurami. A przyjdzie inny, nawet nie spojrzy, już lecą, już kręcą kuprami, już wzdychają. Od ciebie chcą poezji, cudownych uniesień, ostatecznego poświęcenia, z innym bez żadnych ceregieli włożą do łóżka. Weź sobie na wstrzymanie, Lowka, napij się soku z kapusty, przypomnij sobie, co to honor.

Lowka przysunął się ciężko na ławie, porysowanej słojami jak stara mapa. Ujął Witka za głowę i począł szeptać mu do ucha gorącym psim oddechem:

— Jej Bohu, mnie roznosi, pękne któregoś dnia. Muszę gdzieś wetknąć, bo zwariuję. Ty wiesz, jak się męczę? Spojrzę na spódnice, już tracę oddech, zobaczę włosy rozsypane na wietrze, już się duszę, mignie goła noga, już mnie rozpuszcza. Nawet dziury od sęku nie wytrzymuję. Jej Bohu, jak mnie to dręczy. Ani lekcji odrobić, ani w cerkwi pomodlić się, ani do

łóżka się położyć. W nocy kiedy złapie, to nie daj Bóg. Jak resor, do sufitu podnosi. Oszaleć można.

— Wszystko mija, to też minie.

— U mnie nie minie. Nawet po śmierci będę ganiać anioły. Takie nieszczęście.

— Każdy na to cierpi.

— Ty też?

— Ja też. Ale niedoczekanie ich, żebym pękł i poddał się. Sam popatrz na nie: trochę mięsa, trochę kości, trochę włosów. O co chodzi? My sami wymyślamy jakieś konstrukcje emocjonalne, jakieś miłości, ekstazy, lewitacje.

— To co, trzepiąc sobie zakonnika? — jęknął Lowa i zaszlochał cicho.

— Uprawiaj sporty, chodź na długie spacery, czytaj książki podróżnicze.

— Książki, spacery, sporty — płakał bezgłośnie Lowa. — Ja muszę coś z nim zrobić, bo on się urwie z uwięzi i mnie zabije. W nim jest energia tonowej bomby.

Znowu wyszła stara Puciatowa. Zaczęła sprzątać ze stołu zbierając szklanki, poszczerbione talerzyki, srebrne łyżeczki z wyliniałymi brzegami. Miasto już migotało tysiącami świateł, wydawało się teraz bliższe, jakby niepostrzeżenie podkradło się do torów w wieczornym zmierzchu i patrzyło na te ogrody z pierwszą nieśmiałą zielenią, na te stare domy, zwariowane wille zamarłe w oczekiwaniu nocy.

— Już późno, czas spać, dobranoc, kochani — gderała stara. — Wszystko dobre, co w miarę. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

— Cecylka, wracaj, słyszysz! — krzyknęła jeszcze raz Olimpia.

Lowka podpłynął teraz w jej stronę.

— Pani taka zmarznięta. Widzę gęsią skórkę. Może objąć, będzie cieplej.

Ona nic nie powiedziała, obracała w palcach jakiś słoik. Lowka dygocąc trochę z emocji otoczył ją ramieniem.

— Uch, ty jesteś nachalny — ocknął się technik drogowy- — Skąd wy macie taką naturę?

Lowka obrócił wolno w jego stronę wielką kościstą twarz, jakby rozpiętą na drewnianym rusztowaniu.

— A pan jest kto?

— Ja jestem człowiek.

— No i ja jestem człowiek.

Olimpła zadrzała od chłodu, położyła raptem głowę na ramieniu Lowy.

— Patrzcie, co za księżyc — rzekła sennie.

Rzeczywiście na spiczastej wieży kościelnej za kłębowiskiem stromego lasu siedział ogromny księżyc, zaczerwieniony i brudny, jakby wy dostał się ze skrzyni pełnej kurzu i pajęczyn.

— Heniu, powiedz jakiś wiersz — dodała kapryśnie.

Pan Henryk zmarszczył wysokie czoło, które połyskiwało różowym odbłaskiem.

— Ja już nie piszę rymów.

— A co?

— Białe wiersze. Prozę poetycką.

— Zarecytuj coś, bo smutno i płakać chce się.

— To nie dla was. Za trudne.

— Witek — szepnęła Greta. — Mówił ci już Engel?

— Nie, nic nie mówił.

— Muszę wyjechać. Po zakończeniu roku szkolnego ojciec mnie wysyła do Niemiec.

— Co się stało?

— Nic się jeszcze nie stało. On się boi wojny.

— Kto się boi wojny? — wmieszał się czujnie technik drogowy.

— Głupstwo, tak sobie gadamy — rzekła spiesznie Greta.

— Nie będzie żadnej wojny. Wojna jest nie do pomyślenia w dzisiejszym świecie. Już nigdy nie będzie wojen.

— Zawsze tak mówiono — Olimpia podniosła się z ramienia Lowki.

— Przy współczesnej technice wojna jest niemożliwa. Czytam zagraniczne gazety. Widziałem zresztą nie tak dawno kawał świata, wiem, co mówię. Kto się z kim będzie bił? Pan Witold z Englem, a może Engel z Lowką?

Witek wyciągnął rękę.

— Engel, będziemy walczyć ze sobą? On chwycił dłoń Witka i ścisnął ją mocno, aż chrupnęły kostki.

— Będziemy żyli długo i szczęśliwie aż do samej śmierci. Jak myślicie, dożyjemy dwutysięcznego roku?

— Ja bym musiał mieć osiemdziesiąt lat — rzekł Wicio.

— Ja siedemdziesiąt osiem — odezwała się Greta.

— A pani? — Lowa pochylił się nad Olimpią, która skubała coś niewidocznego na stole. Płyta gramofonowa lśniła już wieczorną wilgocią.

— Co ja?

— Czy chce pani dożyć dwudziestego pierwszego wieku?

— Mnie wystarczy zginąć w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym.



— Dlaczego zginąć?

— Bo wtedy będzie koniec świata.

— Pan Bóg ciągle grozi końcem świata.

— Dlaczego Pan Bóg? Ludzie sami mogą zrobić koniec świata.

Pan Henryk odchrząknął i przysunął się bliżej, bo filozofia była jego specjalnością.

— Jak to rozumiesz, dziecko?

Olimpia znowu popatrzyła na księżyc, który spadł już z wieży kościelnej i toczył się wolno po wyboistych wierzchołkach lasu.

— Może wysadzą planetę w powietrze przez pomyłkę, a może po prostu zabraknie ziemi, wody, powietrza i koniec świata będzie nastawał bez pośpiechu, jak przychodzi po jesieni zima.

Ktoś zbliżał się klucząc między drzewami sadu. To była Cecylia. Obejmowała sama siebie troskliwie nagimi ramionami.

— Jaki piękny, jaki dziwny wieczór — powiedziała drżącym głosem. — Strasznie wielkie stado ptaków wisi nad miastem. A wy jeszcze siedzicie?

— Nie ma rady, trzeba iść spać — rzekł wstając Engel.

— Warn dobrze — westchnęła Cecylia. — A gdzie moje proszki?

— Gdzieś tu były na stole — powiedziała Olimpia. — Stoją na pewno w słoiku, ale po ciemku nie widać.

Zaczęły obmacywać ledwie widoczny blat stołu. Wielkie chrabąszcze przelatywały z pracowitym buczeniem i cichły w gałęziach sadu, pachnących korzennie żywicą drzew owocowych.

— Nie mogę znaleźć mojego przysmaku nocnego — narzekała Cecylia. — Jakże ja zasnę bez swojej ambrozji?

— Były tu przed chwilą, dopiero co trzymałam w ręku.

Za płotem pan Henryk kopał już rozrusznik swego motocykla. Zapachniało raptem czymś dziwnym, jakąś obcą spalenizną, jakąś zdumiewającą nieznanością, bo w tamtych czasach maszyny nie ośmielały się jeszcze wydawać odorów, bo wtedy maszyny były pokorne i przerażone własnym istnieniem.

Stali na ulicy przyglądając się odjazdowi technika drogowego. Nałożył skórzaną pilotkę i zapiął ją pod brodą, potem wcisnął wielkie okulary skuwające głowę szeroką taśmą parcianą, wciągnął na wielkie, miękkie palce czarne rękawice z mankietami jak skrzydła nietoperza. Motor detonował na wolnych obrotach, jego rechot tłukł się po całej dolinie budząc przedrzeźniające, złe echa w lesie pod kościołem, w wąwozie rzeki, w ruinach starej fabryki, nazywanej nie wiadomo czemu Puskarnią. W niektórych oknach zapaliły się światła, gdzieś skrzypnęły drzwi i ktoś ciekawy wyszedł przed ganek. A pan Henryk grzmiał już wysokimi obrotami, dodawał jeszcze więcej gazu, wyglądało, że żelazny potwór urwie się nagle z uwięzi i przeorze w jednej chwili tę wczesną noc na wylot. Pan Henryk objął nogami maszynę.

— Życie to jest coś! — krzyknął i zaczął walić pięścią skórzaną w pierś.  
— Życie trzeba gonić i łapać za chwost.

Sypnął żwirem spod tylnego koła, pognął raptem w ciemność, a przed nim uciekał płochliwie jak ćma kłęb światła reflektora. Potem skręcił w prawo i roztopił się w ciemności pod horyzontem strzaskanym przez masyw miasta.

Cecylia jak lunatyczka wspięła się na płot. Jej biała twarz i białe ręce zdawały się fosforyzować. Coraz więcej chrabąszczy krążyło nad głowami. W ich huczeniu zacichał głos motocykla pana Henryka.

— Czy ktoś z was nie wziął moich proszków?

— Po co nam proszki, my śpimy jak w letargu do samego rana.

— Gdzieś były i teraz nie ma. Czego ty płaczesz? — zwróciła się do siostry nadchodzącej z głębi ogrodu. — Kupimy jutro nowe, byle noc przeczekać.

— Ach, co tam proszki — siąknęła nosem Olimpia. — Czy będę spać, czy nie będę, wszystko jedno.

— To czemu płaczesz?

— A bo ja wiem. Płacę i już.

— Wiosna. Jeszcze jedna wiosna. Do tego taka jakaś nijaka, bo i rok zwykły. Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Zupełnie nie do zapamiętania. Dobranoc, kochani.

Objęły się, poszły do domu, gdzie już czyhała stara Puciatowa.

— Znowu płacz — zajęczała. — Sfiksowały zupełnie, bezwstydnie.

Księżyc podnosił się coraz wyżej wygaszając koło siebie gwiazdy. Od rzeki nadchodziły strzępiaste opary jak rozbudzone topielice.

— No to do jutra — powiedział Witek.

— My cię odprowadzimy — rzekł szybko Engel.

— Przez ulicę chcesz odprowadzać?

— Też warto. Mamy ochotę, prawda? — odwrócił się do siostry. Greta milcząco uczyniła krok do przodu. Jej białe, przezroczyste włosy zakrywały plecy i podobne były teraz o nocnej porze do welonu ślubnego z grubego tiulu.

— To dziwny człowiek ten pan Henryk — powiedział cicho Witold.

— Dziwny — rzekła nie odwracając się Greta. — On nie jest mężczyzną.

— A kim?

— Nie wiem — zawahała się. — Nie wiem, jak to nazwać. On jest jak obce, nieszczęśliwe, chore zwierzę. Jak chory muł.

Witek otworzył furtkę, razem z nim weszli na podwórze.

— No to dziękuję, do jutra.

Milczeli przez chwilę.

— Może chcesz, żebyśmy z tobą jeszcze pobyli? — spytał Engel.

— A co się stało?

— Nie, nic. Jeszcze wcześniej.

Wyglądało, jakby Engel czekał na coś z napięciem.

— Muszę wracać, cześć.

— Nie pożegnasz się?

— A dlaczego mamy się żegnać?

— A dlaczego mamy się nie żegnać?

Objął Witka i pocałował go w skroń koło ucha.

— No a ty, Greta?

Podeszła cicho, jakby była boso, zatrzymała się blisko, nawet chyba za blisko. Drgnęła raptem z zimna i podniosła oczy.

— Cześć — szepnęła rozciągle, a potem odwróciła się i wybiegła na ulicę.

Czekał długie sekundy, nim ucichną ich kroki na chodniku. W domu ktoś się klócił zajadle, jakaś kobieta wrzeszczała monotannie i to złorzeczenie przygłuszone ścianą podobne było do egzotycznego śpiewu.

Witek wrócił na ulicę. Stanął na rogu w kręgu światła latarni. Patrzył w to zbocze rozległe pod kościołem, gdzie żył las, gdzie słyhać było jakieś szepty, jakieś westchnienia, jakiś kuszący poszum.

I nagle coś go pchnęło w tamtą stronę. Zaczął biec pod górę i nie wstydził się przeraźliwego odgłosu swoich kroków na cementowych płytach. Zboczył później na ścieżkę ze śladami roztopionej dawno skoczni narciarskiej, piął się wytrwale raptowną stromizną, a dokoła z nocy wychodził las i otaczał go ze wszystkich stron, i przytakiwał jakby swoim poszumem, i zachęcał raptownymi skłonami wysokopiennych sosen.

A potem Witek stanął bezradnie na skraju rozpadliny, za którą był tarasowaty ogród i kanciasta bryła willi. Coś mżyło słabym odblaskiem z jej prawego boku, coś jak pudło zaparkowanego samochodu. Lecz poza tym nie zobaczył ani okrucza światła. Dom spał ciężko i bezwładnie. Nawet w szybach nie było gwiazd i księżyca.

Odezwał się zaraz pies. Szczekał coraz rozwlekłej przechodząc w niezdecydowane wycie. Witek rozejrzał się nerwowo dokoła, bo pewno mu się wydało, że ktoś stoi za jego plecami. Ale tam był las, a las jest nocą przerażający tylko do momentu, kiedy się weń wejdzie. Więc Witold zaczął odchodzić tyłem w stronę lasu. Czekał widocznie, że nagle rozbłyśnie któreś okno albo ktoś wyjdzie na ganek. Lecz dom spał twardo i wyglądał jak nieżywy.

Potem Witek zatrzymał się między drzewami na skraju doliny. Patrzył na miasto ogrzane z wierzchu słabą luną, patrzył na srebrzyste nitki torów jak rękojeść gitary, patrzył na cichość dna doliny i raptem krzyknął nieśmiało zdławionym głosem:

— Alina!

Głos utonął w basowym gwarzeniu drzew.

— Alina! — krzyknął z całych sił.

I nie wróciło echo. Z boku stał między pniami księżyc z wyrysowaną

dotkliwie mapą lądów i mórz tajemniczych, księżyc, który w owych latach był jeszcze początkiem tamtego świata, pierwszym szczeblem wieczności, okiem Pana Boga.

— Kocham! — krzyknął Witek.

Przestraszył się własnego głosu, spojrział na boki. Ale nic się nie stało. Dolina też spała, a nad nią las mamrotał pacierze.

— Kocham! Słyszysz mnie?

Wtedy nagle rzucił się przed siebie, jakby chciał roztrącić wszystko i wszystkich. Leciał głową do przodu z góry, a nogi nie nadążały za ciałem, chciał jeszcze coś krzyknąć, bo otworzył usta, i wtedy drogę zagroził mu pień starego klonu.

Obudziło go ciepło w dłoni. Jakby nabierał ogrzanej w słońcu wody. Ale to był pies, który lizał rękę woniejącą jakimś interesującym dla psa zapachem. Witek usiadł na mokrych liściach. Instynktownie dotknął czoła. Namacał wielkiego, gorącego guza oblepionego krwią.

— Czy to ty, Rex? — spytał niemrawo.

Pies podskoczył, przypadł na przednie łapy i polizał mu czoło.

— Dlaczego mnie szpiegujesz?

Podniósł się na nogi i odczuł raptowne mdłości. Pochylił głowę, wyszczerzył zęby, ale wymioty nie przyszły.

— Ja chyba zwariowałem? Prawda, Rex?

Zaczął schodzić w stronę ulicy. Zobaczył rów, zobaczył mętną strugę wody. Nabrał w obie dłonie przejmującego zimna i chlusnął sobie na czoło.

— Taka krowenia, takie krówsko nudne. Dlaczego latam po nocy jak idiota? Zaraz, kotku, o co mi chodziło? Aha, chyba rozum, inteligencja,

opanowane nerwy, jasno wytyczony cel, żadnych skrupułów, śmierć miękiszom.

Pies zatrzymał się na chodniku. Nie zamierzał już dalej odprowadzać. Witek odwrócił się ciężko.

— Powiedz jej, powiedz jej, ale co masz powiedzieć? — znowu pomacał głowę i jęknął. — Lepiej nic nie opowiadaj. Co było, minęło, zapomnijmy. Ona jest bladź.

Pies milczał, nie reagował na zniewagę. Gdzieś w dole konał z zadyszki towarowy pociąg.

— Jest — powtórzył Witek. — Chociaż może nie jest. Któż może ponosić winę za mój kretynizm? Ale chyba jednak jest. Tak w ogóle.

Potem w ucichłym domu zakradł się do pokoju chorego.

— Dziadek śpi? — spytał szeptem.

Starzec zakaszlał, brzęknął sprężynami łóżka.

— Ja już nigdy nie umrę. Wszystkich pochowają, a ja będę żył.

Witek podszedł do łóżka i usiadł na brzeżku pościeli.

— Dziadku, ja zakochałem się.

Odór zjełczałych maści załaskotał w opuchniętym nosie.

— Zakochałem się, dziadek słyszy?

Znowu zakaszlał strasznie, jakby chciał wykrztusić wątrobę.

— Słyszę, ale już nie pamiętam, co to zakochanie. Poczekaj, muszę sobie przypomnieć. Coś takiego było. Jakiś czad, szaleństwo, kompletne dziwactwo. Gdzieś latałem, gdzieś wystawałem pod oknami, chciałem odebrać sobie życie. Pamiętam, że waliło mi strasznie serce, ciągle rumieniłem się, coś bardzo bolało, mocno bolało, ale za to słodko, strasznie słodko aż pod niebo, bolała pewnie dusza albo coś podobnego.

Teraz już pamiętam, tak, przypominam sobie, tylko to mnie dziwi, tak dziwi teraz, że wydaje się niepojęte, bezsensowne, jakby w cudzym istnieniu umieszczone, ale było coś takiego, nie zaprę się, jednak dokładnie, synku, nie przypomnę.

W sąsiednim pokoju zagadała przez sen matka. Zza ramy wyciskał się już księżyc, prostokąt martwego, przerażającego światła przylepił się do ściany nad głową chorego.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Zakochałem się, dziadku.

— To chyba nic złego, ja już dobrze nie pamiętam, wszystko mi się poplątało, ale wtedy było pewnie dobre, na pewno nieszkodliwe, skoro do dziś żyję i nie mogę umrzeć.

Siedzieli jakiś czas w ciszy ogromnie głośnej. Starzec zaczął szukać ręki wnuka. Witek podsunął mu skwapliwie dłoń oczekując pociechy. Kości obleczone czymś mokrym schwyciły chciwie jego rękę.

— A wiesz, przed snem żegnam się prosząc o odpuszczenie grzechów. I ciągle mi się wydaje ten znak krzyża jakby nie dość doskonały, jakby nieprawomocny, jakby nie sięgający Boga. Więc żegnam się jeszcze raz, żeby poprawić, i jeszcze raz, żeby było lepiej, i nie mogę, synku, skończyć, żegnam się nieraz do rana. O czym ty tak myślisz, dziecko?

— Zakochałem się, dziadku.

— No dobrze już, dobrze. Nikt od tego jeszcze nie umarł.

— A może ja pierwszy umrą?

W tamtych czasach Litwa była nieokreślonym obszarem geograficznym, niejasną formacją etniczną, niezdefiniowaną strefą kulturową. W tamtych



czasach Litwa była gwałtowną letnią burzą albo może raczej wnętrzem wygasającego wulkanu, który umierał w ostatnich spazmach. Litwa była wtedy wielkim zachodzącym słońcem, co zostawia po sobie smugi dziwnie pięknych świateł i resztkę dogasającej tęczy.

Dożywała ona swoich dni w polszczyźnie wileńskiej, w pieśniach białoruskich, w przysłowiaach litewskich, trwała jeszcze w ginącym obyczaju, w wybujających chorobliwie na chwilę charakterach, w powolnej i gęstej dobroci ludzkiej. Odchodziła w niepamięć przez krajobraz pełen szalonych kwiatów, słodkich zapachów ziół, budzących tajemniczą grozę borów. Odchodziła w nierozumianą i zapominaną co dzień dawność przez sadzawki rzewnego smutku, przez jeziora melancholii, przez meandryczne rzeki przeczuć.

Jacy byli ci ludzie o zlitewszonych nazwiskach i spolszczonych duszach, o spolszczonych nazwiskach i zlitewszonych duszach? Jacy byli ludzie modlący się do Jehowy i do prawosławnego Boga, lękający się Dewajtisa i Peruna, Czorta i Lucyfera, Zaduszek i Sądnego Dnia? Jacy byli ci potomkowie Tatarów, Polaków, Żydów, Litwinów, Białorusinów, Karaimów i wszystkich innych ludzi, których prześladowania, krzywda, nieszczęście zagnały w północne puszcze i rojsty?

Rozbiegli się po świecie. Żyją samotnie w pojedynkę. Zapomnieli mowy, która była mową kilku języków. I tylko czasem zaskuczy w cudzym mieście wśród obcych liter jesienny wiatr litewski i błysnie raptem złe dobro albo dobre zło w mieszczkańskiej głuszy, i odezwie się czasem w sercu normalności jakaś duszna i wabiąca nienormalność.

Umiera ziemia guślarzy i wróżbitów, umiera ziemia proroków i mesjaszy, co już nie zdążyli zbawić świata. W tym wiecznym pochodzie

zwycięskiej cywilizacji w niewiadomą przyszłość zdeptano łąki, spalono bory, otruto embriony geniuszu.

Kochajmy tyle Litwy, ile jej zostało.

Witek stał na rogu ulicy przy wielkiej, lustrzanej reklamie bibułki papierosowej i tutek. Spoglądał w stronę niedalekiego gmachu gimnazjum, który skrywały dwa rzędy kasztanów pełnych teraz pąków jakby umaczanych w smolistym syropie. Padał deszcz, ale to nie był właściwie deszcz, to raczej rozrzedzone chmury lądowały ospale na ulicach miasta. Witek popatrzył w zwichrowane lustro i zobaczył swoją twarz zdeformowaną przez wynaturzenia reklamowego zwierciadła i przez wczorajszy wypadek. Zobaczył więc fizjonomię, która tyle razy wydała mu się ciekawa, sympatyczna i jeszcze częściej doprowadzała do rozpacz trywialnością, poczciwą głupotą oraz tym irytującym faktem, że się ją otrzymało wbrew woli. Guz zsiniał i usadowił się wygodniej na czole, nos mocno zwiększył swoją objętość.

— Żeby to już była ta chwila, która będzie za sześć miesięcy albo lepiej za rok. Żeby mieć już to wszystko przeżyte i daleko za sobą. Ale przecież jakoś przeżyję, muszę przeżyć, bo wszyscy przeżywają. Po co się udręczać, prościej będzie rozluźnić się i poddać, niech czas niesie z prądem, niech wypadki wloką za sobą. Przecież będzie czas, konkretna chwila po upływie dwunastu miesięcy i ja w niej będę, bogatszy o nieznane doświadczenia, o nowe zaliczenia. Bo my lubimy zaliczać, nasze pokolenie kocha zaliczać wszelkie jaskrawości świata. To jest nasz sport, nasz hazard. Rywalizujemy ze sobą w ilości zaliczeń. Czasem przecież wystarcza nam muśnięcie przygody, aby ją zaliczyć do swoich trofeów.

Może i teraz skończy się wszystko na ledwo odczuwalnym muśnięciu?

W tej rozpylonej wilgoci taplało się gorączkowo miasto, metropolia kościołów, bóżnic i cerkwi, rozklekotanych arbonów, ciężarowych platform konnych, szybkich dorożek, metropolia ciasnych, zgiełkliwych uliczek bez kanalizacji, bazarów, targowisk chłopskich, sprzedawców ulicznych, znudzonych żołnierzy na przepustkach, małych kin z drewnianymi ławami, biednych, zawałających się domów publicznych, sklepów, w których sprzedawano tylko dropsy i lizaki, metropolia wielu narodów, przemieszanych kapryśnie i jakby bez sensu, społeczności zlepionych nonsensownie, metropolia ubożego bogactwa i wyuzdanej nędzy.

W gimnazjum żeńskim rozdzwoniły się raptem dzwonki elektryczne. Odezwał się tam natychmiast gwar setek dziewczęcych głosów, wyglądało to, jakby raptem obudzono ze snu tysiączne stada wróbli. Już pierwsze licealistki zbiegały po schodach. Zgranatowiało przed starym neoklasycznym gmachem.

Witek wysilił wzrok, kryjąc się za pniami podszedł jak najbliżej i szukał rozpaczliwie tej jednej figurki, podobnej do wszystkich, a zarazem zupełnie innej w ruchu, w lekkim przegięciu tułowia, w jakiejś drażniącej nonszalancji Odprowadzał gorączkowo wytrzeszczonymi oczami sylwetki, które go zmyliły, potem wracał do środka ciżby i zaczynał szukać na nowo. Identyfikować kolejno, systematycznie, z podziałem na obszary poszukiwań, z maksymalną pewnością uniknięcia błędu, z ciężarem tego niewidzialnego deszczu na głowie, na plecach, na barkach, z ciężarem tej pluchy w mózgu, w rozhisteryzowanym sercu, w dusznym przeczuciu.

Wreszcie pokazała się jedna z ostatnich. Zstępowała ze schodów, jakby

świeciło letnie upalne słońce. Trzymała się niedbale ramienia Zuzy i była teraz zupełnie inna, nieznana, z drugiego końca świata.

Witek wyszedł spomiędzy pni kasztanów, zagroził drogę, to znaczy nie zagroził, tylko stanął pośrodku chodnika, którym szło się do dworca kolejowego. Wtedy i ona stanęła, zamarła w niedokończonym ruchu, ze stopą o cal nad stopniem schodów, jak nad powierzchnią lodowatej wody. Stali tak pewien czas, a dokoła taplało się gorączkowo miasto, dyrdały ciężkie fury na bruku, rzadko, z namysłem uderzał dzwon cerkiewny, rumor miasta podnosił się i opadał jak zebra zmęczonego człowieka.

Potem ona coś szepnęła Zuzie i ta zbiegła ze schodów bokiem, oddaliła się lojalnie kilkadziesiąt metrów, ale w końcu nie wytrzymała, stanęła przy drzewie i zaczęła podglądać.

A oni szli ku sobie. Ona podbijała kolanem teczkę ze srebrnymi okuciami, na których zebrała się już gęsta szadź wilgoci. On postawił kołnierz mundurowej marynarki, żeby dodać fasonu. Szli ku sobie bardzo długo. On trzymał ją mocno wzrokiem, ona spoglądała w lewo, w prawo, czasem w przelocie zerknęła na niego nieuważnie, zdawkowo.

Zatrzymali się naprzeciwko siebie, pod kasztanem, który ledwo, ledwo poruszał końcami gałęzi, jakby mu zgrabiały od zimna i słoty.

— Dlaczego ty mnie męczysz?

— Ja męcę? Ty sam się męczysz.

— Popatrz na mnie. Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć?

— Ty sam siebie dręczysz. Odnalazłeś w sobie tę przyjemność dręczenia się, ale ty ją miałeś zawsze, od początku.

— Czy mogę cię odprowadzić do pociągu?

— Jeśli chcesz.

Zaczęli iść ulicą nieśmiało wznoszącą się pod górę. Mijali biedny cheder, podobny do przedsionka piekieł, bo umieszczony w głębokiej suterenie. Za brudnymi szybami, na wysokości kolan ludzkich, za grubymi szybami obryzganymi błotem i obsikanymi przez psy majączyły pochylone plecy w czarnych chałatach, migotało też parę płomyków świec jak jesienne liście brzozy. Dochodził stamtąd gardłowy, dziki głos modlitwy albo psalmu.

Chwilę wahała się, a potem zaczęła mówić trochę sztucznym tonem:

— Mogę ci to wszystko objaśnić.

— Co objaśnić? — spytał nieufnie.

— Tę grę własnej ambicji, stopniowanie jakiejś autosugestii, podświadome naśladownictwo przeczytanych albo obejrzanych w kinie zdarzeń, które bierzesz za... za...

— Za co?

— Sam wiesz dobrze, za co.

— Boisz się powiedzieć: miłość.

— Och, to wielkie słowo. Na pewno nie użyję go nigdy w życiu.

— A ja nie będę się bał. Mógłbym też oszczędzać, dusić w sobie na jakąś niewiadomą godzinę życia, krygować się skromnie wobec wielkości tak zwanych uczuć. Ale stać mnie na rozrzutność. Proszę bardzo. Mogę strzelić i spudłować za pierwszym razem. Ja wiem, że wymyśliłem, wykalkulowałem, sztucznie rozbechtałem. No i co z tego? W czym ta jest gorsza od innej. A na czym ta inna, autentyczna, prawdziwa, wzniosła polega?

— Może kiedyś zrozumiesz.

— Nic nie zrozumiem, bo nigdy się nie zmienię. Będę zawsze sam do

siebie gadał, będę zawsze patrzył na siebie z boku, będę zawsze zaczynając myślał o końcu.

— A ja tak nie chcę.

— Popatrz na mnie — zatrzymał ją nagle przy porzuconym wózku z lodami, do którego był przywiązany sznurkiem zmoknięty pies.

— Nic nie widzisz? Nie widzisz mojej rozbitej głowy?

Dopiero teraz zobaczył naprawdę jej oczy. Ogromne tęczęwki podobne były do atolów koralowych, w których uwięzła przejrzysta woda morska skrywająca dno pełne tajemniczych kolorowych stworzeń.

— Rozwaliłem łeb przez ciebie i dla ciebie.

— Nie pleć głupstw — zachnęła się i ruszyła przodem. — Tracisz poczucie humoru.

— Mogę sobie na to pozwolić. Nie mamy świadków.

— Ale ty boisz się śmiechu. Będziesz się bał do końca życia.

— Skąd mnie tak dobrze znasz?

Zwróciła odrobinę profil w jego stronę. Poznał, że uśmiecha się leciutko.

— Przecież umrę młodo. Widzę więcej niż wszyscy.

— Proszę bardzo. Możemy rozmawiać o czymś innym.

— Znowu nie byłeś w szkole?

— Nie byłem.

— A jak to się skończy?

— Na pewno jakoś się skończy.

Trzech oficerów kawalerii szło niedbale zagradzając cały chodnik. Długie płaszcze, jak zielone sutanny, dotykały prawie ziemi. Srebrzyste szable obijały się końcami pochew o ostrogi rżęsiście dzwoniące. Przy

mijaniu się umilkli raptem, zaatakowali wzrokiem Alinę. Wtedy Witek przyłapał spojrzenie tego z prawej strony. Szczepili się oczami i Witek odwrócił się za nim, i on obejrzał się zaskoczony.

— Sukinsyny — zawarczał Witek. Oficerowie zaczęli się śmiać, przystanęli nawet obok kolumnady starego pałacyku.

— Sukinsyny — i chciał już ruszyć w ich stronę, lecz ona przytrzymała go za mokrą dłoń krótką chwilę, a potem szybko cofnęła swoją ciepłą rękę.

— Tylko proszę bez wygłupów. Bardzo tego nie lubię.

Stał mrugając bezradnie powiekami. Z jakiejś bramy wyskoczył kot, gnał teraz środkiem ulicy i jazgotał uwiązany do ogona blaszanym pudełkiem od pasty.

— Alina — rzekł Witek cicho. — O co ci właściwie chodzi? Co to wszystko znaczy?

— Muszę gdzieś wstąpić. Wejdiesz ze mną?

Skręcili w jakiś nie znany Witkowi zaułek. Wziął ją pod ramię, ale odsunęła się łagodnie, z namysłem. Stado chłopców pędziło jezdnią wyłożoną drewnianymi kostkami, z których wiele już gniło. Toczyli przed sobą zardzewiałe fajerki utrzymywane w ruchu przez uchwyty z drutu. To były ich zaprzęgi, to były ich wozy wyścigowe.

— Czy chcesz, żebym zrobił jakieś głupstwo?

— Lepiej nie robić głupstw.

— Mnie jest wszystko jedno.

— Coś sobie wymyśliłeś i mnie chcesz wciągnąć w tę grę.

— Czy mam ci udowodnić?

— Szkoda twojej energii. To wszystko nie ma sensu.

Przytrzymał ją za rękę. Stali przy wysokim murze, po którym biegały

spiesznie wielkie, czarne, ziemne mrówki. Gdzieś niedaleko w jakiejś stajni rżał koń rozparzony wiosną.

— Dlaczego nie ma sensu?

— Ja naprawdę umrą młodo. Ale nie mów o tym nikomu. Przyzwyczaiałam się już do śmierci, jestem gotowa na śmierć. Czekam na nią codziennie. Każdej nocy śnię, że umieram. I to jest cudowne. Bo wstępuję w świat tak zupełnie niepodobny do naszego, świat z innym czasem, z krajobrazem pełnym niespodzianek, z ludźmi niby podobnymi do rzeczywistych, a zupełnie odmiennymi. To świat przejmujący, jakoś dotkliwy, pełen przedziwnej słodyczy. I tę słodycz odczuwam tak wyraziście, tak fizycznie, tak w całej sobie od palców u nóg aż do włosów, potem budzę się, słodycz we mnie wygasa długo, nim zasnę jeszcze raz o świecie, żeby śnić jakieś strzępy zwykłych, głupich, przykrych, bardzo ziemskich wydarzeń. To tu, wejdiesz ze mną?

Pchnęła szklane drzwi osłonięte muślinową zazdrostką. Znaleźli się w niedużej mleczarni o ciemnej, kamiennej podłodze, z której szedł piwniczny chłód. Stało tu kilka okrągłych stoliczków z marmurowymi blatami na zardzewiałych, żeliwnych nogach. Pod ścianą błyszczał rząd wielkich, cynowych baniek na mleko. Na kontuarze stała kopa złocistego masła, w wielkim koszu z sosnowych korzeni leżały rumiane bułki zwane kajzerkami i mogło się wydawać, że mżą one delikatnym ciepłem chlebowego pieca. W powietrzu stała kwaśna woń twarogu podszyta tym olśniewającym zapachem świeżego masła, którego dzisiaj nikt już nie pamięta.

Witek zatrzymał się przy drzwiach. Wróciła do niego ze szklanką pełną białego płynu. Popijała go drobnymi łykami, przymrużywszy oczy, z



wyraźną przykrością.

— Czy to czarodziejski eliksir, który przemieni cię w dobrą wróżkę?

— Nie, to tylko kozie mleko. Muszę pić codziennie, bo tak wymyślił ojciec. Ale często staram się zapomnieć.

— Dziś pamiętałaś, żeby na zawsze połączyć mnie z kozim mlekiem.

Uśmiechnęła się nieuważnie zapatrzona w okno, za którym znowu pędzały misko nad ziemią szerniałe od raptownego zimna chmury.

— Może. Może chcę sobie ciebie obrzydzić.

— Widzę, że jest jakaś nadzieja — powiedział szeptem.

— Mnie nie warto wierzyć. Bardzo lubię kłamać.

— To grzech.

Ocknęła się, spojrzała przelotnie na Witka i znowu łyknęła odrobinę tego mleka, cuchnącego sierścią i dzikością.

— Tak, to grzech.

— Jaka ty jesteś naprawdę?

— Przecież wiesz.

— Skąd mam wiedzieć?

Odstawiła szklanekę na marmurowy stolik. Końcem języka zlizwała resztkę mleka z ust, które były takie, jakby lubiła w nich trzymać źdźbła wrzosowego kwiatu.

— Przecież mnie podglądałeś.

Witkowi zrobiło się pewnie słabo, zamknął oczy i tak czekał, aż coś się stanie. Ale nic się nie stało, tylko szcęknięły otwierane drzwi, bo Alina wyszła na ulicę. Zupełnie zdrętwiały ruszył za nią, a wszystko wokół wydawało się ściemnione, jakby zapadła raptowna noc.

— Odprowadzisz mnie do rogu Dworcowej — powiedziała lekkim

tonem. — Ale tylko do rogu. Dalej nie chcę.

Szedł w milczeniu pół kroku za nią i starał się uładzić spanikowane myśli. Niewielki tłumek ludzi wysypał się z bramy, w której było małe kino wyświetlające ocalałe fragmenty starych filmów.

— Słyszałeś, że będzie wojna? — spytała niedbale. Znowu podbijała kolanem teczkę. Patrzył z posępnym uporem na jej nogi, które budziły głupią czułość, ale budziły teraz już chyba niepotrzebnie.

— Dlaczego nic nie mówisz?

Milczał zawzięcie, więc ona przestała zwracać na niego uwagę. Tak doszli do rogu ulicy Dworcowej.

— No to dziękuję, serwus — powiedziała kolebiąc teczkę trzymaną w obu dłoniach.

— Mogę — odchrząknął jak gruzlik — mogę odprowadzić na dworzec. Chyba że nie chcesz?

— Nie chcę.

— Serwus.

— Serwus.

Odchodziła spiesznie i nie obejrzała się ani razu. A on czekał z głupią nadzieją, że ona rozmyśli się i zacznie biec z powrotem do niego z wyciągniętymi rękami jak ciemnoniebieski ptak startujący do wysokiego lotu.

Nagle przestraszył się czegoś, rzucił się w rozpaczliwą pogoń. Potracając ludzi pędził pochyłą ulicą Dworcową pełną już odgłosów niedalekiej stacji. Dogonił ją koło ulicznego sprzedawcy, który sortował towary na drewnianym stole.

— Musisz się ze mną umówić — zaszeptał zdyszany.

Patrzyła na niego z popłochem nic nie rozumiejąc.

— Ostatni raz. To bardzo ważne.

— Przecież dopiero co rozeszliśmy się.

— Tak, ale muszę z tobą porozmawiać. Błagam, będę czekał o szóstej pod twoim domem.

— Pod moim domem? — spytała niezdecydowanie chcąc odwlec decyzję.

— Koniecznie. Błagam. Już nigdy o nic nie będę cię prosił.

— Jak chcesz.

— To znaczy będziesz.

— Będę. Ale teraz nie idź za mną. Przyrzeknij, że pójdziesz z powrotem.

— Dobrze, przyrzekam.

Lecz odszedł tylko kilka kroków i schował się w bramie. Jakiś niemowa zaczął go szarpać za rękaw i pokazywać coś na migi. Ale on szpiegował wzrokiem jej sylwetkę przegiętą niedbale na lewy bok. Niemowa wydobył z zanadrza gołębia, który jął trzepotać rozpaczliwie skrzydłami. Kaleka pokazywał, że chce sprzedać ptaka. Witek wyrwał rękę z jego rozdygotanej dłoni. Lękliwie skradając się pod ścianami domów biegł w stronę dworca.

I wtedy nagle zobaczył to, czego nie chciał zobaczyć, a co czuł, że zobaczy. Pod okrągłym kioskiem z gazetami stał znudzony kuzyn Sylwek, w pumpach i w aksamitnej „batorówce” na głowie. Spostrzegłszy Alinę oderwał się od ściany kiosku leniwie, nie zdejmując czapki na powitanie wyszedł na przeciw. Objął ją ramieniem, ona wspięła się na palce, pocałował ją bezwstydnie pośrodku ulicy i Witek nie mógł zobaczyć, czy pocałował ją w skroń, w oczy czy w usta. Potem odchodzili długo, bardzo

długo, właściwie bez końca odchodzili w ciemną paszczę dworca. Przesłaniali ich nieznani ludzie, przesłaniał wiatr pachnący dalekimi lasami, przesłaniały ich boleściwe krzyki parowozów, błakających się po stacji.

Witek siadł na omszałym murku.

— Co się stało? — spytał sam siebie bezradnie. — Właściwie co się stało? Chyba zwariuję. Tak się to skończy. Nie ma innego wyjścia. Wszystko to idiotyzm. Idiotyczny idiotyzm. Może ja po prostu zasnąłem? Może obudzę się za parę godzin i będę zdrowy?

Wtedy beknął oślim głosem klakson. Nie wiadomo skąd i po co pędził ulicą Dworcową pan Henryk na swoim motocyklu. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia i Witek na nowo zaczął rozmyślać, co to wszystko, wszystko razem i każde z osobna, co to wszystko znaczy i do czego zmierza.

Kradła, aby zbierać posag. W zagadkowych okolicznościach ginęły od dłuższego czasu w mieszkaniu adwokata Mieczysława Cz. różne wartościowe rzeczy, a szczególnie platery i biżuteria. Podejrzanie padło na przychodnią służącą Józefę Komar. Przeprowadzona jednak przez policję rewizja w jej mieszkaniu nie dała żadnych rezultatów. W kilka dni potem do policji zgłosiła się Komar przyznając się ze skruchą do popełnionych kradzieży, do których rzekomo miał ją namówić Franciszek Pigwa. Pigwa miał się żenić z Józefą Komar, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży skradzionych rzeczy przeznaczone były na posag. W mieszkaniu Pigwy znaleziono kasę, stanowiącą własność adwokata Cz.

Sina chmura jak powieka zakrywała połowę czerwonego słońca,

obrzmałego przed nocą. I wszystko dokoła było zaczerwienione, uspokojone przed nocą. Z młodych listków zwisały wielkie krople wilgoci z pestką świecącej czerwieni w środku.

Witek stał na skraju rozpadliny, w której kiedyś płynął podobno strumień. Patrzył znowu na tę willę z błyszczącymi krwawo oknami.

— Boże, spraw, żeby wszystko było dobrze. Boże, który jesteś, który musisz gdzieś być, we mnie, w trawach, w obłokach czy w dalekich galaktykach nieskończoności. Boże w trzech osobach albo w jednej, Boże istniejący albo tylko przez nas wyobrażony, Boże jako nadrzędność, logika wieczności i przeznaczenie, Boże, daj mi ją teraz i więcej już nic nie chcę, niczego nie pragnę, niczego nie pożądam. Boże, daj mi ją teraz na zawsze.

I raptem przypomniał sobie pięćdziesięciogroszowy napiwek, który dostał za przyniesienie telegramu. Zaczął szukać w górnej kieszonce marynarki, ale nic nie znalazł, jął przetrząsać inne kieszenie, obmacywać przetartą podszewkę, lecz monety nie było.

Za siatką ogrodzenia stał już ten wielki pies. Stał bez ruchu nie merdając nawet ogonem. Przyglądał się oczami nabiegłymi krwią.

— To niedobry znak — powiedział do niego Witek. — Ktoś mi zabrał talizman. Stało się coś bardzo złego. Ale to nic. Może nawet lepiej. Zacznę wszystko od początku.

Pies drgnął gwałtownie, nie odwrócił jednak głowy. Żwirową ścieżką biegła Alina, biegła nie wiadomo skąd, jakby z tej czerwonej wilgoci, bo nie słyszeli przecież łoskotu drzwi domu. Biegła z odchyłoną do tyłu głową i Witkowi wydało się, że ktoś chwyta ją za popielate włosy. Spojrzał więc na dom. Jedno z okien już wygasło. Za chłodną, granatową szybą stał rozkrzyżowany kuzyn Sylwek trzymając się futryny.

— Spóźniłam się trochę, prawda? — powiedziała zdyszana. — Ale nie czekałeś długo? Serwus.

Dotknęła go raptem chłodnymi jak trawa ustami.

— Chodźmy szybko stąd, nie chcę, żeby mnie widzieli. Będą mi potem dokuczać.

Ujęła go pod rękę, a on poszukał palcami tego miejsca koło skroni, gdzie jeszcze leżało zimno jej pocałunku. Weszli w las ociekający wilgocią.

— No co mi masz do powiedzenia? Umieram z ciekawości.

— Nie mogę tak od razu.

— O ile znam ciebie, pewnie drobiazgowo przygotowałeś całą rozmowę.

— Tak, ale teraz wszystko się zawaliło. I nie wiem, od czego zacząć.

— Wobec tego zaczekajmy. Masz ochotę na spacer?

— Uwielbiam spacerować. Przecież nic innego nie robimy.

Wydało mu się, że zacisnęła palce na jego przedramieniu. Popatrzył kątem oka na jej twarz schyloną ku ziemi.

— Dla kogo pomalowałaś usta?

— Ja pomalowałam usta? — udała zdziwienie, ale odwróciła szybko głowę, żeby nie spostrzegł rumieńca.

— Dla mnie czy dla kuzyna?

— Dla samej siebie. Nie podoba ci się szminka?

— Nie wiem dlaczego, ale jakoś mi się nie podoba.

— Trudno, muszą to przeżyć. Wstąpmy do kościoła, co ty na to?

— Możemy wejść, jeśli nie zamknięty.

Puścił ją przodem. Wbiegła lekko na schody z polnego kamienia,

spojonego rozsypującym się wapnem. Pociągnęła za klamkę. Drzwi otworzyły się z przeciągłym jękiem.

— Widzisz, to dobra wróżba — rzekła cicho przykładając palec do ust.

— A skąd wiesz, że ja wróżę?

— Musisz wróżyć, bo i ja stale wróżę.

— Od kiedy? — spytał podchodząc do drzwi.

Zawahała się przez krótką chwilę.

— Od zawsze.

Weszli do ciemnej kruchty i Witek zobaczył przy końcu nawy, pod balaskami prezbiterium, dwa rzędy płonących świec.

— Tu ktoś jest — szepnął w jej gorące ucho.

— To przecież kościół. Chodź, podejźmy bliżej.

Znalazła w mroku jego dłoń. Trzymając się za ręce ruszyli w głąb tego kościoła, co przypominał wielki, drewniany barak zbudowany przez chłopów albo żołnierzy.

Między dwoma rzędami świec stał katafalk z trumną bez wieka. Migotanie świec, które co chwila płoszyły przeciągi, nie pozwalało dostrzec jej wnętrza. Zatrzymali się kilka kroków przed jedlinowymi wieńcami pachnącymi cmentarzem i otwartym grobem. Obok ktoś klęczał skulony w gorliwej modlitwie.

— Chcesz podejść bliżej? — zaszeptała.

— Nie wiem. Przecież jesteśmy blisko.

— Boisz się umarłych?

— Możemy podejść, jeśli masz ochotę.

Na palcach, żeby nie budzić skrzypienia w deskach podłogi, zaczęli obchodzić katafalk. Ona ścisnęła jego palce tak mocno, że zaczęły

cierpnąć. Poruszył nimi ostrożnie, lecz Alina wzmocniła uścisk. Gdzieś w ścianie, między ogromnymi belkami wyroszczonymi mchem, odzywały się co jakiś czas domowe świerszcze.

Wtedy ona nagle stanęła. Świece zajaśniały silniej w nagłej chwili spokoju i zobaczył tuż przed sobą staruchę z wytrzeszczonymi strasznie oczami, jakby ciągle jeszcze widziała podchodzącą śmierć w białym całunie, spod którego wystaje zardzewiała kosa. Zobaczył opuchnięte ręce splecione na wzdętym brzuchu, po którym spływały czarne krople różańca. Zobaczył też grube stopy, na które nie chciały wejść tanie, gimnastyczne pantofle i dlatego ktoś je przeciął nożyczkami na podbiciu.

— Nie zamknęli jej powiek — szepcze Alina.

— Brody też nie podwiązali. Patrz, jak szczyrzy okropnie resztki zębów.

— Pewnie umarła samotnie.

— Tak, była zupełnie sama, kiedy przyszła śmierć.

— Co wtedy zobaczyła, co wtedy sobie pomyślała?

— Tego nikt nigdy nie będzie wiedział.

— Może kiedyś ludzie będą wiedzieć.

— Może kiedyś potrafią omijać ohydę śmierci.

— W jaki sposób?

— Może od razu z życia będą wchodzić w to, co jest poza nami.

— Ale później na pewno pożałują śmierci i będą do niej tęsknić.

— Ja nie wiem. Nas już dawno nie będzie na świecie.

— A gdzie my będziemy?

— Też nie wiem, ale wiem, że będziemy razem.

Teraz on ściska jej dłoń powleczoną cieniutką wilgocią. Ona delikatnie palec po palcu wydobywa dłoń z głębi jego ręki. Przed ołtarzem jak oko



semaforu wisi czerwone światło lampki oliwnej.

— Wracajmy — mówi cicho Witek.

— Trzeba się pomodlić. Zmówmy pacierz za duszę tej nieznanej kobiety.

— Ja znam ją skądś.

— Może widziałeś na ulicy albo w sklepie.

— Nie, ja ją znam chyba z przeczucia.

Drgnęła gwałtownie i znowu poszukała jego ręki.

— Klękniemy.

Osunęli się na kolana. Ona zaczęła coś szeptać spiesznie, gorączkowo. Witek też chciał się pomodlić i rozpoczynał „Ojcze nasz” i po kilku wersetach gubił się w słowach podobnych do siebie, nigdy nie przeżytych, nie zroszonych łzami, więc wracał uporczywie do początku, żeby za chwilę znowu stracić wątek.

Później wyszli w las jeszcze pełen czerwonej łuny zachodzącego słońca.

— Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

— Nie wiem. Tak jakoś wyszło,

— Popatrz na swoje ręce, na twarz, na ciało. Masz jeszcze daleką drogę przed sobą.

— Nie, moja droga już się kończy. Widzisz tu, przy tym krzaku kruszyny.

Podnosi dłoń, zaczerwienioną od łuny. Oboje patrzą na tę dłoń, drżącą jak ptasie skrzydło. Za ich plecami odzywa się dzwon kościelny. Z początku nierówno, z wahaniem, a potem zaczyna bić szybko, coraz spieszniej, jakby błagał rozpaczliwie kogoś o litość dla duszy zmarłej.

Wtedy Witek przykrywa nieoczekiwanie dłoń Aliny swoją, obraca

dziewczynę ku sobie i spada ustami na jej wargi. Zderzają się zębami. Witek czuje w ustach słonawy smak krwi. Słyszy dzwon kościelny i słyszy w sobie jakiś inny, który uderza w coraz śpieszniejszym łoskocie tętna, rozsadza piersi, skronie, usta, usta dziwnie ogromne, mrowiące się, usta jak płat młodzieńczego snu. Ona coś mówi w tym miąższu słodkiego gorąca, może jęczy ze skargą albo płacze. Więc przygarnia ją jeszcze mocniej, oplata cienkie plecy rękami, znajduje pod palcami drobne gruzelki kręgów i delikatne pasma żeber, a wtedy ona zamiera, staje się ciężka, ciągnie go w dół. Trafiają plecami na szorstki, mokry pień. Ona ciągle trwa w letargu. Witek odejmuje usta od jej warg półotwartych. Widzi ją tuż przed sobą strasznie bladą, z zamkniętymi oczami. Chce ją budzić, instynktownie wsadza rękę w dekolt i czuje natychmiast tę tajemniczą, cudowną miękka obłość, to ciepło pachnące czymś odurzającym, tę przepiękną chropawość sutki. Czuje to wszystko, co przed laty wstrząsało każdym młodym człowiekiem.

Ona nagle drgnęła, wolno uniosła głowę i popatrzyła dziwnie, przejmująco na Witka. Potem wyjęła jego dłoń z ciepłego gniazda sukni. Zatoczyła się parę kroków, dotknęła palcami skroni. Dzwon kościelny ciągle jeszcze lamentował po lesie.

Ruszyła przed siebie z powrotem przez las. Kiedy postąpił kilka kroków jej śladem, zaczęła uciekać rozpaczliwie na oślep.

— Alina! Co się stało?

Znikała już za drzewami. Tracone krzaki szamotały się sypiąc raptownym deszczem zaróżowionych kropel.

— Alina! Poczekaj!

W gwałtownym, bolesnym przeczuciu puścił się biegiem w tę stronę,

gdzie już jej nie było.

— Alina! Alina!

Dzwon umilkł. Wypełzała zewsząd ciężka cisza nocy. Wtedy spostrzegł, że stoi obok tego drzewa, o które rozbił głowę kilka dni temu. Pod nim była dolina wypełniona jeziorem postnej mgły. Uklęknął w mokrej trawie, zaczął macać błotnistą ziemię, szukając zgubionej monety.

— Jeśli ją znajdę, wszystko będzie dobrze. Tylko tu mogła mi wypaść. Będę szukał do rana i znajdę.

— A jeśli nie znajdziesz? — spytał ktoś między mrocznymi cieniami pni.

Zastygł na klęczkach rękami wsparty o korzenie drzewa.

— To ty, Lew Tygrysowicz?

— Ja.

— Szpiegujesz mnie?

— Może i szpieguję — Lowka podchodził wolno z góry, chwytając się czubków choinek. — Przegrałeś zakład, brachu.

— Jaki zakład?

— No przecież pamiętasz, nie udawaj. Mnie należy się wygrana. Mogę sobie wybrać, prawda?

Witek milczał. Jakiś ptak przeleciał nisko między krzakami. Odezwały się drzewa, odezwały się gdzieś w górze cichym poszumem podobnym do westchnienia.

— O takie rzeczy nie wolno się zakładać.

— Co ci się stało? Co ty taki seriozny? Przegrałeś i musisz zapłacić.

— Skąd wiesz, że przegrałem?

— Wszyscy wiedzą. Całe miasto o tym mówi.

- Nie, po prostu ty za nią chodzisz.
- Ja za każdą chodzę, kiedy mam trochę czasu.
- Lowka, nie udawaj. Skąd się tu wzięłeś?
- Chyba masz trochę honoru. Będziesz płacić?
- Jak mam zapłacić?
- Kopnę cię trzy razy w dupę.

Podszedł jeszcze bliżej, stanął za grzbietem Witka.

- Lowka, chyba oszalałeś?
- Założyliśmy się, pamiętasz?

Witek machinalnie urwał suche źdźbło trawy, które kołysząc się sennie łaskotało go w usta.

- Nikomu nie powiesz o naszym zakładzie?
- Ja też mam honor.
- No to ładuj.

Lowka uniósł stopę obutą w zimowy but, ciężki i twardy, bo z blaszkami do łyżew i z podkówką. Kopnął zniechęcony, nie żałując siły. Witek zarył się nosem w łasze mchu nasiąkniętego lodowatą wodą. Wtedy Lowka z dziwną zajadłością doskoczył do leżącego i huknął go w żebra. Witek poczuł piekący ból, nadziany szpilą jeszcze większego bólu. Zerwał się z ziemi błyskawicznie, trzasnął pięścią w ledwo widoczną głowę Lowki. Zaczęli się bić w zupełnej ciemności, trafiając częściej w krzaki, w niskie gałęzie drzew. Wreszcie Witek dopadł przeciwnika, złapał go za marynarkę pod szyją i łupnął nim o kolczasty pień świerku raz, drugi, trzeci. Lowka zmiękł mu w rękach, zrobił się ciężki jak wór kartofli. Witek puścił rozdarte klapy marynarki, a on osuwał się długo na ziemię trąc plecami o pień drzewa. Więc Witek jął kopać tę oklapła kupę mięsa. Walił

na oślepie i nie zawsze dobrze trafiał, bo leciały na ziemię odłamki kory. Więc tym wścieklej deptał kolegę, który umilkł zagrzebany w igliwiu i szyszkach.

Na dole, pod powierzchnią jeziora mgieł, odezwał się przeraźliwie parowóz zduszonym głosem ochryplego gwizdka. Wtedy Witek ocknął się i zobaczył przed sobą, po drugiej stronie doliny, zapalającą się i gasnącą gwiazdę, jakby ktoś nadchodził z daleka niosąc karbidową lampę o małym, zielonym płomyku.

— Lew Tygrysowicz — powiedział cicho przemagając dyszenie.

Ale Lowa leżał nieruchomo objąwszy ramieniem głowę i mogło się wydawać, że śpi uśpiony monotonnym kołowaniem wysokich drzew.

— Lowka, nie udawaj — pochylił się nad przyjacielem. Dotknął jego skroni, ale nie mógł znaleźć pulsu zaplątany we własne zwariowane tętno.

— Wstań, słyszysz, chcesz mnie nastraszyć?

Zaczął podnosić bezwładne, oporne ciało. Posadził go wreszcie przy drzewie. Klepnął w policzki, szarpnął za włosy. Lowa rozwarł wolno usta i ziewnął przeciągle, potem nagle otworzył oczy.

— Szto? Nada wstawać? — spytał. — O, jebi jowo w czemodan, ząb się rusza. Kto tu?

— To ja, Lowka.

— Zaraz, zaraz, co my tu robimy?

— Wygrałeś zakład i odebrałeś swoją dolę.

Lowka milczał chwilę, słuchając dalekiego stukotu kół pociągu, który zarył się w gęstej mgle pod Nową Wilejką.

— Pomóż wstać.

Witek wyciągnął ostrożnie rękę. Bał się zdradzieckiego ataku. Lecz

Lowa nie pragnął już zemsty. Stał na brzegu lasu i chwiał się monotennie, i nie mógł złapać równowagi.

— Chrystos spasitiel — jęczał obmacując poturbowane ciało. — Ależ on się zadurzył, ale go wzięło, ale się zbiesił. Może dasz na zapowiedzi?

— Może i dam.

— Wićka, przecież ty jesteś sama chytróść chodząca na dwóch nogach. Gdzie twoje uniwersytety, kariery, sukcesy?

— Patrz, tam po drugiej stronie doliny, widzisz gwiazdę? To moja gwiazda.

— Słabo świeci twoja gwiazda.

— Jeszcze rozbłyśnie. To jeszcze nie ten czas.

Lowa chwycił się krzaka leszczyny oplecionego martwym powojem.

— A ja szedłem na wieczorynkę. Pójdiesz ze mną?

— Do kogo?

— No przecież do Baumów. Ty już niczego nie pamiętasz. Oni czekają na ciebie.

— Wróć lepiej do domu. Głowa mnie boli.

— Co ty opowiadasz? Kiedy cię bolała głowa? Chodź — zbliżył się chwiejnie, capnął Witka za rękaw. — Chodź, mam coś ze sobą.

— No i co ty masz, Lowka?

— Mam — pomacał kieszeń na piersi. — Mam lubczyk. Dziś już skotłuję na pewno. Tylko nie wiem którą, Cecylię czy Olimpię. Chodź, bo sam nie dojdę.

Ruszyli w dół stokiem porośłym umarłymi ostami. Spod ich nóg skoczył raptem zając i pomknął zakosami w ciemność.

U Baumów stał na stole patefon przyniesiony przez siostry-bliźniaczki.

Ta sama co zawsze płyta kolebała się na dysku wyłożonym zielonym suknem. „Tak niedawno był maj, byliśmy tak szczęśliwi, uśmiechnięci i tkliwi, któż te dni znów ożywi...” Engel z Olimpią halsowali po, pokoju w tangu figurowym. Cecylia tańczyła sama ze sobą, patrząc w okno wypełnione starą kratą oplecioną żelaznymi liśćmi akantu. W palcach trzymała delikatnie wielki kielich z owocowym winem.

— Wreszcie — powiedziała Olimpia wyswobadzając się z objęć Engla.  
— Co się z wami działo?

— Szukałem jego i znalazłem — rzekł głucho Lowka. — Macie swojego uchażora.

— Do tego już doszło, że trzeba go sprowadzać siłą?

— Lepiej nie pytajcie.

— Był tam? — szepnęła Olimpia podchodząc tanecznie i bez pośpiechu.

— Klęczał pod drzewem i modlił się do nieba.

— Chodź, malutki — Olimpia wzięła Witka pod rękę. — Chodź, napijesz się eliksiru zapomnienia. Nie bój się, jutro wróci pamięć, jeśli zechcesz, ale dziś wieczorem będzie ci lekko i dobrze. No chodź, nie opieraj się, to brzydko marudzić, kiedy starsze panie proszą.

Podprowadziła go do stołu, gdzie obok patefonu stał gąsiorek opleciony łożowymi witkami. Natoczyła mu wielką szklankę i wetknęła w dłoń.

— Wypij duszkiem aż do dna, wtedy się uniesie powieka w trzecim oku. Zobacysz to samo, ale dużo piękniej.

— Kiedy ja nie chcę piękniej. Mnie wystarczy, jak jest.

Otworzyły się drzwi do drugiego pokoju. Weszła Greta w długiej pelerynie jasnych, prawie przezroczystych włosów.

— Wypij, Wiciu — powiedziała cicho. — Może się już nigdy nie

zobaczymy.

— Dlaczego mamy się nie zobaczyć?

— Wiesz dobrze. Ja też wypiję pierwszy raz w życiu.

Podniosła do góry kielich pełen roziskrzonej czerwieni. Zaczęła przyglądać się tym błyskom, które zapalały się i gasły, gdy ona obracała naczynie pod abażurem lampy. Potem westchnęła jak przed daleką drogą i przytknęła szkło do ust.

— No to zdrowie pięknych pań — wzniosł swój pierwszy toast Witek.

I wlał do gardła chłodny, słodkawy płyn, i zaraz się zdziwił, że to takie proste, nic nie znaczące, po prostu zwykłe. I wydało mu się pewnie, że mógłby podnieść tak cały gąsior i chlusnąć jego zawartość w siebie, w ściśnięte serce, w mrowiące się włókna nerwów, w ćmiącą tępy ból duszę.

— Których pięknych pań? — zapytała spod okna Cecylia, patrząc ciągle w tę nudną noc wiosenną za oknem.

— Wszystkich — odpowiedział Witek, a potem dodał cicho: — i tej mojej.

— Zatańczysz ze mną? — odezwała się Greta.

Objął ją, chwilę chwiał się w miejscu, szukając rytmu. Potem ruszyli wolno w podróż dokoła pokoju pełnego strzępiastych cieni i nagłych refleksów światła koloru płomieni z ogniska. Ona ciągle jeszcze trzymała w dwóch strasznie białych palcach pusty kieliszek.

— Widzę już na trzecie oko — rzekł cicho w jej włosy.

— A we mnie coś szumi. Ale tak przyjemnie szumi. Jak ciepła woda rzeczna przed wieczorem. A co mi tam,

Wypuściła kielich spomiędzy palców. Upadł na podłogę, ale się nie



rozbił.

— Chciałam roztrzaskać na szczęście.

— Żeby roztrzaskać, trzeba uderzyć z całej siły.

— Nie wiedziałam, że trzeba z całej siły. Co teraz będzie?

— Będiesz na pewno szczęśliwa.

— Skąd ty możesz wiedzieć?

— Tak mi się teraz wydaje, że wszyscy będziemy szczęśliwi.

Ona milczała przez chwilę, jakby zbierając się na odwagę.

— Nie gniewasz się, że cię poprosiłam?

— Och, co ty mówisz za głupstwa.

— Engel kazał mi tańczyć.

— Sama nie miałaś ochoty?

Opuściła głowę zasypując mu piersi białymi włosami, które w dziwnych splotach szepiły się z sukniem marynarki.

— Miałam ochotę.

— Chyba wiesz, że cię bardzo lubię.

— Wiem, że mnie lubisz — szepnęła z westchnieniem.

— To niedobrze?

Znowu chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Patefonowy głos śpiewał smętnie: „chłodną rękę swą daj, spójrz mi w oczy i powiedz, czy mnie kochasz; ja wiem, to jest złudą i snem...”

Po drugiej stronie stołu Lowka dusił Olimpię w namiętym tańcu. Ona broniła się dosyć energicznie, ale co jakiś czas kapitulowała i on wtedy włókł ją od kąta do kąta wbrew rytmowi, absolutnie poza muzyką, jak zwierzę z upolowaną zdobyczą.

W drzwiach pokazał się stary Baum ze srebrnymi okularami na czole.

— Engelbarth, mein lieber, es ist schon zu spat — odezwał się nieśmiało.

Ale jego pierworodny syn głuchy na głos rozsądku walcował zajadle z Cecylią w rytm powolnego tanga. Pastor powstał bezradnie, później otworzył książkę wskazującym palcem i wrócił do siebie.

— W przyszłym miesiącu wyjadę — szepnęła Greta.

— Co to znowu za pomysł?

— Ojciec boi się wojny. Wiesz, ja jestem straszna, okropna Niemka, a jednocześnie już nie jestem Niemką i nigdy nią nie będę.

— To dla mnie za trudne.

— Rozsądne Niemki nie piją szklankami mocnego wina i w ogóle.

— Co w ogóle?

— W ogóle stały się różne rzeczy. Spójrz na Engla. Czy tak wygląda przyzwoity niemiecki bursz? On już nie jest Niemcem, ale nigdy nie będzie Polakiem.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Och, zrozumiesz, jeśli kiedyś życie zanieś cię daleko w świat.

— Wiesz, Greta, niedobrze mi jakoś. Widzę wszystko po kawałku.

— I mnie słabo. Wyjdźmy na świeże powietrze.

— Rany boskie, co za huśtawka.

— To mój pierwszy alkohol w życiu.

— Mój też.

— Wyobrażałam sobie lepiej.

Trzymając się ściany zstępowali po krętych, żelaznych schodach.

— Nie wytrzymam. Dlaczego tak w kółko? — zajęczał Witek.

— Już jesteśmy na dole. Tam są drzwi — pokazała rozmazany w mroku

witraż.

Znaleźli klamkę, która uciekała przed ich rękami jak zimna mysz. Pchnęli drzwi. Ale ktoś stał na schodach oświetlony z góry odrutowaną żarówką.

— Mieliśmy Wołodkę — powiedział mężczyzna w skórzanej pilotce. — Już go prowadzili agenci. I wyrwał się w bramie. Nie można było strzelać z powodu przechodniów.

— To pan Henryk? — spytał Witek.

— Tak, ja. Można wejść na górę?

Ustąpili mu z drogi. Zaczął marudzić w tej obłądnej śrubie schodów, potykając się o stopnie, które wydawały dźwięki pustej metalowej beczki. A oni zbiegli do ogrodu, gdzie wśród pokurczonych pni płynęła wolno mgła. Dom za nimi przypominał stare, zbójckie zamczysko. Na szczytach okrągłych wieżyczek skrzypiały żałośnie blaszane chorągiewki.

— Boże, jeszcze gorzej. Zaraz upadnę — szepnęła Greta.

Objął dziewczynę niezgrabnie, a ona drgnęła, jakby wstrząśnięta nagłym zimnem. Potem zamarła w bezruchu i czekała.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Podsumowuję swoje życie.

— Musisz właśnie teraz?

— Może umrzemy od tego wina? Może ktoś je zatrul?

— Nigdy bym nie pozwoliła. Ja bym pierwsza umarła. Słyszysz wycie wilków?

— To nie wilki, to psy. O tej porze roku wilki już nie modlą się do księżyca.

— Och, ja też chciałabym się pomodlić.

— Za kogoś czy o coś?

— A co mi tam.

Opuściła głowę. Gdzieś w nocy jechał wóz. Słysząc było miarowe popiskiwanie źle nasmarowanych piast, czasem zgrzytnęły obręcze kół na utopionym w błocie kamieniu. Trzymał ją przechyloną trochę w bok i zaczynała już mu drętwieć lewa ręka.

— Pocałuj mnie — szepnęła raptem Greta.

Uniósł jej twarz, przyłożył usta do zimnego policzka. Znowu drgnęła, jakby coś w sobie przemagając. Zaczął szukać jej warg i pocałował wreszcie ciepły kącik ust. Przyłgnęła ma moment do niego bezwstydnie, ale przyłgnęła chyba tylko po to, żeby go odepchnąć.

— Nie chcę tak.

— Przepraszam — powiedział idiotycznie.

A ona odwróciła się gwałtownie i pobiegła na górę, gdzie ciągle jeszcze chrząkał patefon obracający mozolnie tę płytę z jesiennymi różami.

— Ona jest bardzo ładna — powiedział do siebie. — Wcale nie brzydsza od tamtej. Ma prawie takie same piersi, prawie taki sam brzuch, prawie takie same uda. Prawie. Co się ze mną stało?

Na schodach obok gotyckiego okienka rzeźbił przerażająco Lowka. I wyglądało to, jakby się wspinał z nadludzkim wysiłkiem na ścianę skalną i ciągle odpadał, i natychmiast od nowa rozpoczynał swój rozpaczliwy mozół. I było coś przerażającego w jego jękach, w jego zapamiętaniu, w jego konwulsyjnych ruchach.

— Lowka, co się stało? — spytał Witek nieswoim głosem.

Ale Lowka zabeczał jeszcze boleśniej i wczepił się raptownie w coś, co chciał wchłonąć w siebie albo rozerwać na strzępy czy zasłonić przed

ludźmi. Wtedy Witek spostrzegł obok ramy tego gotyckiego okienka wklęsłą biel kobiecej twarzy, zobaczył wyszczerzone po zwierzęcemu drobne zęby. Poczł nagłe uderzenie dusznej grozy. Rzucił się na oślep w górę, upadł podcięty przez jakiś schodek i na czworakach zaczął uciekać ku sieni Baumów, ścigany przez śmiertelny krzyk Lowy.

W salonie ciągle jeszcze tańczył Engel, tańczył z Olimpią walca w rytmie tanga. Z jego wielkiej głowy porosłej złotymi włosami cherubina i oznaczonej już początkami nieuchronnej łysiny spływały na oczy, brodę, kark rześiste krople gorącego potu. Greta leżała na otomanie z twarzą ukrytą w wyszywanej włóczką poduszce. Technik drogowy siedział przy stole patrząc z namysłem na chwiejnie obracający się okrąg płyty, na srebrzyste igły membrany rozsypane wokół patefonu. Przyglądał się z zadumą, w której było sporo dostojności i coś z miny osła. W ręku trzymał opróżnioną prawie do końca wielką szklanę, pamiętającą jeszcze carskie czasy,

— Czy pan jest technik, czy policjant? — zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie Witek.

Pan Henryk podrzucił głowę, jakby chciał ścigać wzrokiem przelatującego ptaka. Ale oczy znowu spłynęły mu bezsilnie źrenicami na dół i skryły się do połowy w ciemnych torbach, które zwykle dodawały melancholii jego spojrzeniu.

— Ja jestem nieszczęśliwy człowiek — powiedział bełkotliwie.

— Przecież panu wszyscy zazdroszczą, wszyscy pana podziwiają.

— A ja jestem nieszczęśliwy — podrzucił lewym barkiem. Chwilę patrzył krzywo gdzieś w kąt, jakby coś się tam pokazało niezwykłego, potem dodał z uporem: — No jestem.

I sam się zamyślił nad swoim oświadczeniem i była w tym rezygnacja, był też pewien rodzaj dumy albo przekornego wyzwania.

Witek podszedł do otomany, dotknął delikatnie pleców Grety. Nie odwróciła się, ale wiedział, że słucha napięta oczekiwaniem.

— Masz nudności?

Potaknęła głową schowaną w poduszce z niemieckim napisem. Białe włosy, jak przezroczyste stalaktyty, zwisały nad wiśniową podłogą.

— Ja też mam — rzekł cicho Witek.

— Bardzo dobrze, że wyjeżdżam — zamruczała niewyraźnie.

— Ale wrócisz?

— Nigdy nigdzie nie wrócę.

— Upiłaś się, Greta. Słaba, niemiecka głowa.

— Och tak, słaba, szwabska głowa. A ty ją bardzo kochasz?

Witek zastygł na moment. Engel szarpał się z oknem. Wreszcie wwałił się do pokoju wielki kłęb przeraźliwie zimnej mgły.

— Kogo kocham?

— No ją. Po co udajesz?

— Ja nie wiem.

Pan Henryk walnął pięścią w stół, aż zarzęził z bólu patefon.

— Chodź tu, no jak ty się nazywasz? — rozkazał Witkowi.

Chwiał się na boki i tą swoją ułomność próbował zmieścić w rytmach tanga.

— Ale mnie wzięło. Pewnie spirytusu dolali do wina.

— Lowa przyniósł ze sobą jakiś lubczyk.

Technik próbował podnieść głowę, ale mu nie wyszło. Z trudem przekrzywił tylko oczy do góry, jakby chciał spojrzeć na własne czoło

zbrudzone surowymi zmarszczkami.

— Lubczyk? Co za lubczyk? Może wyjdiesz ze mną do sieni? Coś ci pokażę. Mówią, że ty jesteś medyk.

— Jeszcze nie.

— Ale znasz się na medycynie?

— Trochę, tyle co z książek.

— A ja mam taką, kurwa że jej mać, nienormalność. Cśś, sza, nikomu ani słowa. W życiu u lekarza nie byłem. Bo jak pójść, kiedy sam wiem. Ciiicho, sza, uspokój się. Wstyd nie pozwala. Ty wiesz, co to jest prawdziwy wstyd, ale taki wstyd, co po nocach spać nie daje?

Witek podniósł gąsior i nalał wina do szklanicy technika.

— Jaka to nienormalność? — spytał obojętnie, żeby nie spłoszyć.

— Isz ty, ciekawy. Zainteresował się. Pewnie lubisz pośmiać się z cudzej biedy. A ty wiesz, co to znaczy żyć poza prawami życia? Ty rozumiesz, co to być obcym między swoimi? Garb, straszne kalectwo i strach. Och że w mordę jebana...

Podniósł szklanekę w obu rękach i zaczął ją dusić, aż mu żyły spęczyły na czole. Obsunęły się rękawy i Witek zobaczył jego przeraźliwie białe, omal że niebieskie przedramiona pozbawione zupełnie owłosienia.

— Na czym polega ta nienormalność? — zapytał z lękiem.

Lecz technik położył raptem głowę na stole. Płyta patefonowa lśniąca krawędzią muskała jego kędzierzawe włosy.

— Ile jeszcze lat życia przede mną, kto to powie? — mrucał przymykając odporne powieki. — Może przyjdzie wojna. Może przyjdzie, ale wszystkich wygubi i mnie tylko zostawi.

Engel ciągle jeszcze tańczył z usypiającą Olimpią. Powiewy chłodu z

otwartego okna huśtały ceglastym abażurem. Greta leżała nieruchomo na otomanie.

Wtedy chyłkiem wbiegł do pokoju Lowka. Odwrócił się do ściany, zaczął nerwowo wycierać z czegoś spodnie. Na piegowatej kościstej twarzy umiał głupkowaty uśmieszek. Olimpia przebudziła się raptem, oparła brodę ma barku tancerza.

— A gdzie Cela? — spytała przeciągle.

Lowka udawał, że nie słyszy. „Chłodną rękę swą daj, spójrz mi w oczy i powiedz, czy mnie kochasz; ja wiem, to jest złudą i snem.”

— Gdzie Cecylia, ogłuchłeś?

— Cecylia? Nie wiem. Poszła do domu.

— Sama poszła? Beze mnie?

— No poszła.

Pan Henryk zerwał się nieoczekiwanie od stołu. Pchnięte krzesło runęło na podłogę.

— Ty chamie! Jak śmiesz! — krzyknął nienaturalnie wysokim głosem.

Zaczął chwiać się, szukając rękami oparcia. I w tym momencie w drzwiach od gabinetu pokazał się stary Baum z tą samą książką założoną opuchniętym palcem.

— Engelbarth, mein lieber, es ist zu spat — powiedział łagodnie.

— A moja sytuacja jest kompletnie beznadziejna — rzekł cicho Witek w stronę okna, za którym podnosiła się do nieba rzadziejąca nocna mgła.

Krwawy dramat miłosny. W niedzielę w południe przed szpitalem Czerwonego Krzyża rozegrał się dramat miłosny. W szpitalu tym mieści się szkoła pielęgniarstwa. Kursistką tej szkoły była Mada Jelonek, którą



odprowadzał do szkoły Stefan Karpp, urzędnik. Przed samym wejściem do szpitala Karpp dobył nagle rewolweru, kierując broń w stronę Jelonkówny. Padły dwa strzały. Obie kule trafiły w pierś kobietę, która padła na bruk. Zabójca skierował następnie broń do własnej piersi. Znow padły dwa strzały. Karpp legł obok Jelonkówny. Na odgłos strzałów wybiegły ze szpitala pielęgniarki z kierowniczką na czele oraz część personelu z sąsiedniego instytutu oftalmicznego. Oboje rannych wniesiono na noszach do szpitala i umieszczono na V oddziale chirurgicznym. Lekarz stwierdził u obojga stan bardzo ciężki. Na miejsce przybyła policja, wszczynając dochodzenie. W kieszeni Karppa znaleziono pisaną przezeń kartkę o treści: „Zabiłem i samobójstwo popełniłem z całą świadomością. Czynię to z powodu porzucenia mnie przez Jelonkównę”.

Greta szła powoli w długiej, białej koszuli albo jedwabnej sukni ślubnej. Szła nie dotykając bosymi stopami ziemi, kilkanaście centymetrów nad trawą lśniącą silnie w oślepiającym świetle księżyca. Potem odwróciła sennie głowę zmieniając kierunek swojej wędrówki i zaczęła podchodzić coraz bliżej do okna, i Witek poczuł na sobie jej spojrzenie, i nie wiadomo dlaczego przeraził się raptownie, i w popłochu tej dziwnej grozy obudził się z jękliwym westchnieniem.

Najpierw poznał własne łóżko, skotłowaną pościel, nikłowe kule wieńczące kratę wezgłowia. A potem zobaczył przy komodzie tego mężczyznę, co kiedyś szukał murowanej szkoły, i pokazał drzewo, na którym powiesił się ojciec. Ten nieznamy człowiek ubrany był jak przedtem w krótki płaszcz uszyty z dziwacznej materii, jakby przesyconej deszczową wodą, na głowie miał czaimy, skórzany kaszkiet połyskujący

teraz seledynowym blaskiem księżycowej pełni.

— Co? Co się stało? — krzyknął zduszonym głosem Witek.

Nieznajomy odwrócił się bez pośpiechu i przyłożył palec do ust.

— Nie wrzeszcz. Obudzisz matkę. Straszny księżyc dzisiaj. Słyszysz, jak wali mi serce?

— Czego pan tu szuka?

— Przyszedłem z tęsknoty. Bardzo kiepsko się czuję, coś mnie okropnie boli, ale sam nie wiem co. To taki czas tuż przed starością. Byłem bardzo długo, może nawet za długo młody i raptem jednej nocy podczas zwykłej choroby, jakiejś anginy, może raczej zapalenia oskrzeli, tej jednej nocy w ataku bezsensownego strachu stwierdziłem, że jestem już stary. Od tej chwili zacząłem się czuć staro. Ale ty tego nie zrozumiesz, bo jeszcze nie wiesz, co to znaczy czuć się starym.

Witek wstał z łóżka okrywając się zimną i śliską kapą.

— Dlaczego pan grzebie w naszej szufladzie?

— Szukam legitymacji ojca.

— Czyjego ojca?

Nieznajomy namyślał się chwilę, co odpowiedzieć. Zapalił tę dziwną latarkę świecąc w głąb komody zżartej w dawnych latach przez korniki.

— No twego ojca. Była to legitymacja orderowa. Może pamiętasz, za żołnierską odwagę ojca na litewsko-białoruskim froncie. Taki biały kartonik z czarnym, niedołącznym drukiem wojennej drukarni, z zamaszystym podpisem generała Szeptyckiego.

— Coś takiego było, ale tu pełno rupieci i starych fotografii.

— Tak, nie mogę zupełnie znaleźć tych wszystkich dokumentów z czasów niemieckich, książeczki Arbeitsamtu, kennkarty, legitymacji

partyzanckiej.

Witek podszedł do komody i stanął obok nieznanego mężczyzny. Silny stożek światła gmerał we wnętrzu szuflady.

— Nigdy nie widziałem tych papierów. Po co one są panu potrzebne?

— Tak, masz rację. Ich jeszcze nie ma. Coś mnie ciągnie do tych wszystkich szpargałów. Dlaczego nie widzę zdjęć ojca?

— Nie wiem. Była jakaś jedna fotografia paszportowa.

— A co się stało z innymi? Może matka zniszczyła? Pewnie się ich bała, pewnie lękała się obecności ojca.

Zaczął przerzucać długimi palcami o obgryzionych paznokciach stare wstążki, rozsypujące się pęczki ziół, złamane broszki, żółkłe metryki, pokurzone ziarna grochu, kolorowe ptasie piórka, pudełeczka po pudrze Coty'ego, jakieś śmiecie, które dawno straciły kształt, barwę i sens.

— Przyszedł na mnie zły czas, chyba najfatalniejszy. Wszystko raptem spłowiało, zatarło się, wygasło. Na nic już nie czekam i nic mnie nie czeka. Chociaż nie, zacząłem czekać na śmierć. Grubo za wcześnie, ale też i życie całe przeleciałem za wcześnie.

— O, tu jest zdjęcie ojca — przerwał mu Witek.

Nieznajomy podniósł z dna szuflady mały prostokącik, wytarł go o swój płaszcz, który był suchy, choć wyglądał jak mokry. Potem skierował na zdjęcie strumień jaskrawego światła.

— Widzisz, zwykła twarz, pełno takich na ulicy. Ja już go zupełnie nie pamiętam. Czy był dobry, szlachetny i sympatyczny? O czym myślał, do czego tęsknił, kogo naprawdę kochał? Może ty potrafisz przypomnieć?

— Nigdy się nie zastanawiałem.

— Kiedyś jeszcze zatęsknisz do ojca. Do tej jego śmierci będziesz

wracał nieustannie. A w końcu wyda ci się z całą dotkliwą realnością, że byłeś przy jego umieraniu. Ze widziałeś, jak uchodzi z niego życie, i z tą resztką życia odpływa w nicość jakaś bardzo ważna tajemnica.

Księżyc wszedł na czyste pole szyby. A był to księżyc magiczny, którego jeszcze nikt nie zdeptał ani zaśmiecił. Wabił ludzi nie mogących zasnąć obrysami nieznanymi lądów i niezbadanych oceanów.

— Dlaczego pan do nas przychodzi? Skąd pan przychodzi? — spytał cicho Witek.

— Przecież nie budzę w tobie lęku, prawda? Może jestem duchem, który nikogo nie straszy, który sam siebie dręczy szukając sensu w bezsensie? Cokolwiek bym powiedział i tak ciebie nie powstrzymam, nie zmienię twojej drogi, nie odwrócę twego losu. A nawet gdybym ci w czymś pomógł, przy końcu wędrówki będziesz przeklinał swoje życie jak wszyscy. Bo kończy się epoka pogodnych, pełnych zadowolenia i afirmacji, smakowitych życiorysów. Już twoje pokolenie rozstanie się z życiem w popłochu, w konsternacji, w niedosycie.

— Nic mnie teraz nie obchodzi moja przyszłość. Chciałbym mieć w tym momencie czapkę-niewidkę.

— Zakradłbyś się do dziewczyny, którą, jak ci się wydaje, kochasz. Czy to ta z długim, czarnym warkoczem, Renia albo Musia, co zginęła później od bomby? Nie, zaraz, chyba nie zginęła, tylko przez Litwę wyjechała do Szwecji i wszelki słuch o niej zaginął.

— Ona nie ma długiego, czarnego warkocza. Ona nazywa się Alina.

— Chciałbyś w czapce-niewidce towarzyszyć jej przez cały czas, w każdej minucie, w każdej sekundzie, chcesz kochać ją oczami, uczyć się jej oddechu, słuchać jej zasmucenia, dotykać myślami jej piersi, ust,

gorącej pachwiny. Tak mocno zachorowałeś?

— Strasznie mocno. Coś mnie nosi i nie mogę znaleźć miejsca. Coś mnie rozsadza i nie potrafię nad tym zapanować. Zachorowałem śmiertelnie pierwszy raz w życiu.

— Wezmę fotografią ojca ze sobą.

— Niech pan weźmie.

— Miał takie same włosy jak ty. Ciemne, z czerwonym połyskiem, sterczące do samego nieba. Nie musisz mnie odprowadzać, znam drogę.

Wyciągnął ręce i po omacku ruszył do kuchni, a stamtąd do sieni. Witek szedł za nim, wstrzymując oddech. Nieznajomy pośliznął się na schodku ze spękanego piaskowca.

— To na szczęście — powiedział. — Ale szczęście już mi nie jest potrzebne.

— Nawet podczas umierania przyda się odrobina szczęścia.

— Masz rację, chociaż jeszcze nie rozumiesz tego, co mówisz. Lecz to będzie twój przywilej ta umiejętność formułowania złotych myśli, które później znienacka, w najbardziej nieodpowiednich momentach, dotkliwie potwierdzi ci życie.

Niebo nad górnym przedmieściem rozjaśniało się seledynowo, zbliżał się świt. W ażurowych drzewach odezwały się wesołe wróble. Nieznajomy mężczyzna otworzył furtkę i wyszedł na chodnik. Gęste, lodowate światło księżycy kładło się ciężko na jego skórzanej czapce, na zgarbionych plecach. Zawahał się chwilę, nie wiedząc, w którą stronę pójść. Spojrzał na wieżę kościelną w ścisku czarnych świerków, popatrzył w głąb doliny, gdzie leciała ku miastu zadyszana rzeka. Wreszcie ruszył piaszczystą, dziką drogą, co wiodła wszędzie.

Za plecami Witka błysnęło światło elektryczne. Matka szła przez kuchnię w koszuli i z narzuconą krzywo wełnianą chustą. Mrużyła zaspane oczy.

— To ty? Tak późno wracasz do domu?

— Nie. Ja już spałem. Obudził mnie duch.

— Co ty bredzisz, synku? Jaki duch?

— Niech mama spojrzy. Tam idzie między drzewami, koło domu Lowki.

— Nikt nie idzie. Zaraz wstanie dzień. Wariujesz po całych dniach i dlatego śpisz niespokojnie.

Stała obok niego drżąc z chłodu. Jakiś ptak zakrzyczał przeraźliwie w lesie pod kościołem.

— Już drugi raz widziałem prawdziwego ducha — rzekł cicho Witek.

— I mówisz to tak spokojnie?

— Bo on straszy nie strasząc.

— Za moich czasów były prawdziwe duchy.

— Ten też jest prawdziwy, tylko jakiś melancholijny i właściwie niczego nie potrzebuje od żywych.

Matka pociągnęła nosem, zastygła ze zgrozy.

— Piłeś alkohol, Wiciu? Jezus Maria, to się już zaczęło. Błagam, synku, opamiętaj się, zbudź się z tego złego snu — chciała chwycić go za rękę, ale wyrwał gniewnie dłoń.

— To mama wyjęła mi pięćdziesięciogroszówkę z kieszeni?

— A po co nosisz pieniądze w kieszonce, gdzie schowałam ci okruch święconego chleba świętej Agaty?

— Noszę na szczęście.

— Ja już wiem, jakie to szczęście.

— Niech mama mi odda — postąpił krok w jej stronę.

Cofnęła się przestraszona, osłaniając chustą piersi.

— Nigdy nie oddam. Już jej nie ma. Wyrzuciłam w nocy do rzeki.

— Wstyd wierzyć w zabobony.

— To dla twego dobra, synku — mówiła drepcząc niezdarnie przez sień, ciągle zwrócona twarzą do syna. — Ty musisz być silny, tobie nie wolno upaść, bo nigdy już się nie podniesiesz.

— Mamo, ja sam poradzę sobie z życiem — szeptał złym głosem i postępował za nią, która kurczyła się, malała w suchy kłębek zawziętości. Gdzieś u sąsiadów odezwał się kogut żegnając odchodzącą noc.

Wtedy zaskrzypiały w bokówce sprężyny łóżka. Dziadek jął kasłać rozdzierająco z samego dna trzewi, potem spluwał długo nie mogąc uwolnić się od ciągłej plwociny.

— Całą noc chodzą, gadają, załatwiają interesy, a ja nic nie wiem, mnie nikt o niczym nie informuje — zarzęził płaczącą skargą. — Kiedy wreszcie minie ta przekłeta noc?

W tamtych latach nikt nie chciał być młodym. Młodość była czymś wstydliwym, niepełnowartościowym, głupawym. Młodość była jakby karą bożą albo czyścćcem wymierzonym awansem.

To były czasy krzywych nóg, zwanych nie wiadomo dlaczego angielską chorobą. To była epoka ospowatych twarzy, o których się mówiło, że diabeł młócił na nich groch. To były lata bezzębności i nikogo nie przerażały usta wypełnione szerniałymi pieńkami.

Ludzie wtedy nosili garby, powłóczyli uschniętymi nogami, cierpieli bielmo na oczach, pluli gruźliczą flegmą, gnili z syfilisu, dusili się astmą,

obrastali żyłakami z katorżniczej pracy, karleli od artretyzmu. To były piękne czasy zaludnione brzydkimi ludźmi.

Wtedy gardzono młodością. Jeszcze nikt jej nie upiększył, nie uwznioślił, nie przedłużył aż do śmierci. Jeszcze nikt nie nauczył młodości agresji, drapieżnej supremacji, totalitarnego parcia. Jeszcze młodość nie wiedziała, że jest osobną kategorią biologiczną, że jest oddzielną formacją społeczną, że jest szczególnym uprzywilejowanym państwem w państwie powszechnego istnienia.

Za tamtych lat dorośli chodzili wyprostowani, pyszni i czcigodni. Wymagali dla siebie szacunku, miłości, pełnego zaufania. Nie musieli się jeszcze kryć po kątach albo schodzić z drogi czy przebierać się i charakteryzować na młodych. Byli tak rozwielnieni, że podawali rękę do całowania. I młodzi całowali ręce matek i ojców, ciotek i stryjów, księży i dyrektorów, sklepikarek i artystów. Z największą powagą oraz dyscypliną celebrowano arcykapłaństwo dorosłości.

Każdy chłopiec, wyrostek czy młodzieniec ukrywał troskliwie swój stan biologiczny, zacierał skrzętnie stygmaty niedojrzałości, bo okrutne prawa dorosłych przymuszały go do noszenia upośledzających oznak poddaństwa: krótkich spodni, marynarskich kołnierzy, fryzur zwanych „grzywkami”, długich pończoch „na gumce”, zimowych czapek zawiązywanych pod brodą, rękawiczek szczepionych długim wełnianym sznurkiem, „żeby nie zgubić”. Dlatego każdy chłopiec marzył o dniu, w którym otrzyma maturę, gdyż dopiero wtedy będzie mu wolno ubrać się jak inni ludzie. W normalnym garniturze, w jesionce, z kapeluszem na głowie, a z laską w ręku będzie mu wolno ciemnić młodszych od siebie.

Dlatego największą rozkoszą było, oszukując nadzorców, przebierać się



za dorosłych. Ile starań kosztowało zdobycie sfatygowanego melonika, ile zabiegów pochłaniało wyniesienie z domu długich ojcowskich spodni, ile radości dawał skradziony prawdziwy krawat. Jakąż słodycz przeżywali ci szczęśliwcy, którym wcześniej sypnął się wąs.

A później nagle, nie wiadomo jak i kiedy, zwyciężyła młodość. Młodość wolna od kalectw, chorób i brzydoty. Młodość rozkochana w sobie. Młodość pełna pogardy dla niemłodych. Młodość piękna i długowieczna. Młodość z rozsypującymi się kodami uszkodzanych genów.

Szedł przez cały pociąg zaglądając do wszystkich przedziałów. Za oknami walił się z nieba raptowny śnieg w ogromnych płatach, jak białe ptasie pióra. Łamał wodnistym ciężarem lekkomyślne, wysokie trawy i roześmiane kwiaty. Szyby zarosły grubą warstwą pary.

Szedł tracąc już resztki nadziei. Wszędzie spoglądały na niego zaciekawione, szydercze twarze gimnazystów, bo był to jeden z tych podmiejskich pociągów, którym jeździła młodzież z małych miasteczek, kolejarskich osad i zaścianków rozspanych wzdłuż tej magistrali komunikacyjnej. Milkli na moment odprowadzając wzrokiem obcego, co kłuł w oczy tą swoją czapką wyszywaną kolorowymi nićmi, czapką oznaczającą rychłą wolność. Słyszał za sobą ironiczne uwagi i nieprzyjemne śmieszki, ale zaciął zęby, brnął z uporem przez ten gąszcz upokorzenia.

Wreszcie zobaczył Zuzę siedzącą wśród wojskowych, niemłodych, ogorzałych podoficerów. Czytała tomik Biblioteki Narodowej z czarnym wieńcem na białej okładce. Odsunął zacinające się drzwi. Wojskowi spojrzeli bez szczególnej ciekawości. Ona czytała pilnie, ściągawszy czarne, obfite, prawie męskie brwi.

— Przepraszam panią — powiedział cicho. Ale ona nie dosłyszała, bo właśnie pociąg ruszył żywiej z góry jak zawsze w tym miejscu.

— Dzień dobry, panno Zuzo — rzekł głośniej.

Wtedy ona spojrzała zdziwiona znad książki.

— Czy może pani wyjść do mnie na korytarz?

— Proszę, tu jest miejsce.

— Nie, dziękuję. Chciałbym tylko słowo na osobności.

Zamknęła niechętnie książkę i wyszła do niego. Wagon zaczął miotać się na wyboistych szynach. Chwycili się mroźnej, zapoconej poręczy.

— Słucham pana?

Widział tuż przed sobą jej smagłą twarz z przeraźliwie niebieskimi oczami — takie twarze miało wiele dziewcząt w tamtych stronach.

— Chciałbym zapytać, co się stało z Aliną?

— Z Aliną? — powtórzyła jakby nie rozumiejąc.

— Nie widzę jej od kilku dni, a mam pewną sprawę.

— To jej szuka pan codziennie? Krąży pan po wagonach jak prawdziwy konduktor.

— Mam pilny interes. Pożyczyłem książkę, która jest mi teraz potrzebna.

Ona popatrzyła przeciągle. Pociąg już zwalniał przed niedalekim przystankiem.

— Niech pan zajdzie do niej. Zdaje się, leży przeziębiona.

— Ach tak, nie wiedziałem. Zajdę do niej, oczywiście.

— Widzi pan, to dużo prościej.

— Proste wyjścia rzadko mi przychodzą do głowy.

Narysowała palcem małe serce na zamglonej szybie.

— A czy naprawdę idzie panu o podręcznik?

— Dlaczego mi pani nie wierzy?

Zgarnęła dłonią ze szkła swój rysuneczek.

— Myślę, że jej rodzice mogą być niezadowoleni.

Przełknął z trudem ślinę.

— A ona?

— Pan sam chyba wie lepiej.

— Teraz już za późno.

— Na co za późno?

— Teraz już mi wszystko jedno.

Pociąg stał na przystanku. Jęczały żałośnie odpuszczane hamulce. Wyskoczyli w popłochu na peron zasłany dziwnym, jakby świecącym śniegiem.

— Niech pan do niej nie zachodzi — powiedziała Zuza spiesźnie.

— Dlaczego?

— Takie mam przeczucie. A ja mam przeczucia, które się sprawdzają.

— Teraz już za późno.

— Dobrze wam życzę. Proszę mnie posłuchać.

— Teraz już mi wszystko jedno.

Chciała jeszcze coś powiedzieć. Płaty śniegu osiadały skwapliwie na jej czarnych włosach, na rzęsach i na mięsistych, jakby obrzmiałych wargach. Odwróciła się nagle, pobiegła wzdłuż torów, a Witek uświadomił sobie wtedy, że nie wie nawet, gdzie ona mieszka, choć widuje ją od tylu lat.

— Kogo ty ciągle szukasz? Co się z tobą dzieje? — usłyszał raptem za plecami czyjś głos.

Pociąg gwizdnął beznadziejnie. Parowóz z wysokim kominem

zabuksował czerwonymi kołami. W ruszających zgrzytliwie wagonach tłoczyli się przy oknach gimnaziści. Dla nich każdy przystanek był niespełnioną przygodą.

— Przecież wiecie, kogo szukam. Po co udawać — rzekł Witek i splunął mściwie w nieskalany śnieg.

Engel i Greta stali zgarbieni, trzymając teczki nad głowami w wyciągniętych do góry rękach. Engel usiłował zdmuchnąć z nosa wielką kroplę ciepłej wilgoci.

— Witek, ty dostałeś szału, po prostu zwariowałeś. Wykalkulowałeś na zimno, matematycznie, mózgowo coś, co w ogóle nie istnieje. Przecież to nienormalne. To jakiś samobójczy amok — Engel umilkł nagle przerażony swoimi słowami. — Przepraszam cię, tak mi się powiedziało bez sensu. Nie miałem nic złego na myśli.

— A może to i jest pęd samobójczy? — powiedział prowokująco Witek.  
— A może tak i musi być?

— Chodźmy — odezwała się Greta. — Zasypie nas ten śnieg.

Ruszyli, nie patrząc na siebie, a ponowa zgrzytała soczyście pod stopami.

— Dlaczego mnie odprowadzacie? Sam trafię — burknął Witek.

— Przyjdź do nas. Razem powkuwamy. Będzie różniej — rzekł Engel.  
— Przecież kiedyś wysiadywałeś u nas całymi dniami.

— Pamiętasz, biłeś się nawet ze mną kiedyś — dodała Greta patrząc na białe pagóry, po których biegały wrony z niespokojnym krakaniem.

— Ja się z tobą biłem?

— Tak, bardzo dawno temu. Ale ja pamiętam.

— Witek, a co będzie z maturą? — spytał Engel.

— Gównu mnie to obchodzi.

Szli chwilę w milczeniu. Śnieg powoli ustawał. Gdzieś z chmur wyorywało się powoli słońce. Białe wzgórza zalśniły jak głowy cukru podświetlone elektrycznym światłem. Greta przysunęła się ostrożnie do Witka.

— Odwiedziłam cię wczorajszej nocy. Wiesz, że jestem lunaticzką?

— Czym ty nie jesteś, czego ci nie wmówił Engel?

— Zobaczyłam cię we śnie. Leżałeś w poprzek łóżka i krzyczałeś z zamkniętymi oczami.

— A widziałaś może ducha, którego często spotykam?

— Nie. To nie jest duch po zmarłym, to duch żywego człowieka.

— Greta, przecież wiesz, że cię bardzo lubię.

— Ale ja nie chcę, żebyś mnie lubił.

— Ty musisz jechać do Bawarii. Tobie też nie służy ten kraj.

— Chcesz, żebym wyjechała? — i w oczach jej pokazały się niemieckie, obfite łzy.

— Och, nic nie chcę. Nic teraz nie chcę, dajcie mi tylko spokój, odczepcie się ode mnie.

Stanęli zaskoczeni koło poczty, w której rynnach huczała woda ze stopionego śniegu. Witek, nie oglądając się, szedł zawzięcie w stronę swego domu, co jak ogromny, drewniany słoń wisiał przybudówkami nad ulicą.

— Czekamy na ciebie! — krzyknął jeszcze Engel. — Możesz wrócić każdej chwili.

Witek wszedł na podwórze. Gdzieś z ogrodów sadił długimi susami kot dachowiec.

— Maharadża?

Kot zatrzymał się i miauknął nieśmiałym, dzieciennym głosem.

— Maharadża, no co się z tobą dzieje?

Kot podbiegł garbiąc się przymilnie. Jął wspinać się po nodze Witka, wczepił aż do skóry ostre szpile pazurów.

— Nic nikomu nie mów. Ukradnę panu Kieżunowi z poczty blankiet telegramu i zaniosę wiadomość mojej dziewczynie. Bo mam swoją dziewczynę, ale to tajemnica, nigdzie tego nie rozgłaszaj.

Gładził niesamowicie chudy grzbiet zwierzęcia, wyłysiały i pokryty bliznami od wiecznych bójek, a waleczny kot Maharadża pomiaukiwał delikatnie. Wlazł wreszcie na ręce Witka, zaczął mrużyć donośnie, aż mu grało coś w gardle niczym rozwibrowane sprężyny.

— No widzisz, wzięło twego pana. Pogoniło aż do zwariowania. A czy ty wiesz, że nie mógłbym ci jej nawet opisać. Słowo daję, że nie pamiętam, jak wygląda. To znaczy przypominam sobie niektóre szczegóły. Włosy ma podobne do twojej sierści, kiedy byłeś mały, oczy ma też chyba kocie, może zielone albo brązowe jak miąższ kory sosnowej czy niebieskie jak dym, bo pewne koty, szczególnie tajemnicze i arystokratyczne, mają oczy podobne do dymu rozesyłanego na niebie. Skórę jej też pamiętam, choć nie potrafię ci opisać. Jest ona taka, że chciałbyś dotknąć i to najlepiej ustami, skóra ciepła i zarazem chłodna, skóra jak błysk miodu w letnim słońcu. Ale w całości tej mojej dziewczyny nie mogę zobaczyć w pamięci, choć bardzo tego pragnę. Źle mówię, Maharadża, właśnie w całości, w sumie, w przeczuciu, w nagłym skurczu serca, w raptownym bólu, w nieoczekiwanej radości pamiętam ją doskonale. I to minie gna, i nie wiem, kiedy skończy się ta dal wypełniona męką, rozkoszą, strzelistym

tęsknieniem.

Później uciekał przed matką, która wybiegła za nim na ganek. Dziwne i straszne światło przeszywało chłodne powietrze jak przed Sądem Ostatecznym.

— Skończ przynajmniej obiad! — krzyczała histerycznie matka. — Pamiętaj, że urodziłam cię w czepku! Co ty robisz? Jaka siła przeklęta wypędza cię z domu?

Brzęknęły szyby otwieranych okien u sióstr bliźniaczek. Cecylia i Olimpia, nie ubrane, ze zmierzwionymi włosami, wychylały się ciekawie, chcąc dojrzeć, kto przed kim ucieka. A Witek pędził już śliskim i mokrym chodnikiem pod górę, w stronę lasu, który odzywał się wzniosłym poszumem.

— Lowka, zatrzymaj go, na miłość Boską! — wołała ochryple matka.

Bo właśnie ulicą od kościoła nadjeżdżał dorożką Lowa. Siedział koło zmarzniętego woźnicy, dzierżąc lejce w jednej ręce, a w drugiej ogromny bat z czerwonym pomponem. Na siedzeniu dorożki leżał w poprzek ojciec Lowki, stary Małafiejew. Nogi ozdobione aksamitnymi getrami zarzucił na złożoną budę, kraciasta marynarka rozpięła się pokazując zmiętą, poplamioną rubaszkę-kosoworotkę. Panama, czyli stary poczerniały kapelusz turlał się beznadziejnie po podłodze. Wąsy i broda Małafiejewa lśniły przezroczystą wilgocią i wyglądały jak wiehcie wodorostów rzecznych zakute w lodzie.

— Muszę go pilnować — rzekł Lowa, zeskakując z kozła. — Muszę go szczególnie pilnować, kiedy jest pijany. Widzisz, znowu go szatani chwytają za gardło.

Stary Małafiejew szukał rękami oparcia, zobaczył sponiewierany

kapelusz, chciał go podnieść i runął na przegniłe dno dorożki. Ale tu widocznie coś sobie przypomniał, bo zaśpiewał raptem ponurym basem cerkiewnym:

Ty skaży, gawari,  
kak w Rasii cari  
prawiat.

Ty skaży poskariej,  
kak w Rasii cariej  
dawiat.

— Ech, skór wysypał cały worek — rzekł Lowka i przybliżył usta do ucha Witka. — Wiesz co, nic nie wiesz. Ale trzymaj język za zębami. Ja go pilnuję, bo on uciekając z Piotrogradu przywiózł tutaj skarb i gdzieś zakopał. Czasem mówi, że nie pamięta miejsca, ale ja mu nie wierzę. Czekam, kiedy coś powie, musi powiedzieć, prawda? Przez sen, po wódce albo w chorobie.

Wielkie, rozdmuchane przez wiatr włosy Lowki woniały owczym runem i szło od nich duszne rycynusowe gorąco.

Kak kaprały Pietra  
Proważali z dwara  
ticho.

A żena pried dwarcom  
Razjezzała wierchom  
lichu.



Małafiejew gramolił się z powrotem na wyliniałe siedzenie pojazdu. Z zamkniętymi oczami słuchał z uszanowaniem swojej srogiej pieśni. Woźnica dalej drzemał na koźle, kiwając się we wszystkie strony.

— Lowka, co się stało tamtej nocy z Cecylią? — spytał cicho Witek.

Młody Małafiejew siąknął nosem w dwa palce, spojrzął po wzgórzach, na których nie było już śniegu.

— To, co myślisz, to i stało się. Uch, niebo — westchnął chrypliwie. — Ruskie, polskie, żydowskie nieba. Wszystkie nieba naraz. Póki tego nie zaznasz, nie wiesz, co to jest życie. Ech, nie przypominaj nawet. Jak się dorwę do tych złotych rubli, nic już innego nie będę robił. Och, mieć te wszystkie bladzie na kołku.

Witek poczuł przykre zimno. Lowka patrzył wylupiastymi oczami w niebo pełne porozrywanych chmur, z których lało się dziwne światło o dziwnych kolorach.

— Wicio, wracaj! — krzyknęła gdzieś z dołu matka skarżącym się głosem.

Lowka wrócił do krzywego powozu. Smagnął zniecka ojca batem po nogach w aksamitnych getrach.

— Gdzie masz złoto? Potrzebuję dużo złota, słyszysz?

Stary, ale znowuż nie tak stary Małafiejew podkulił nogi i zaśpiewał z głębi trzewi:

Kak kurnosyj złodiej

Wocarilsia po niej,

gorie.

No gospod', ruskij bog,  
Biednym ludiam pomog  
wskorie.

— Lowka, ty piłeś? — powiedział Witek. — Widzę, że jesteś pijany.

— Bo ojca uderzyłem? Ja go tak leciutko, żeby ocucić. On kiedyś mocniej bił ludzi. Ty się nie bój, wiem, co to synowska miłość. Byle tylko te rubelki odnaleźć. Czemu krzyczy twoja matka? Też ją ukarałeś? A może jest zazdrosna?

Bliski las odezwał się przejmująco. Sypnęły się ogromne krople wilgoci błyskając w locie kolorowymi iskrami.

— Ja także wykopię swoje złoto — szepnął Witek. — Przyszedł czas na moje złoto.

— Idziesz kopać pod dom pułkownika — uśmiechnął się szyderczo Lowka. — Pomogi, gospod', ruskij bog.

Wskoczył na kozioł, trzasnął ciężkimi od wody lejcamy po zapadłym grzbiecie konia. Dorożka zaczęła toczyć się niemrawo w dół ulicy Kościelnej. Stary Małafdejew jakimś cudem wstał na nogi, uniósł do nieba ręce w kraciastych rękawach, chciał coś krzyknąć albo zawyć, lecz tylko zaszlochał nagle i osunął się do wnętrza.

Witek zszedł na ścieżkę, która skradała się zakosami w głąb lasu. Stanął pośrodku płytkiej kałuży odtajających przyłasczek. Wyjął z ciepłej kieszeni blankiet telegramu i rozłożył go na dłoni. Jego drobne, nieprzytomne pismo krzyczało między martwymi linijkami urzędowego druku: kocham cię na wieczność stop czekam. Wtedy nagle ze szczytów drzew spadła kropla stopionego śniegu i roztrzaskała się na blankiecie.

Witek zaczekał, aż papier wessie pachnącą igliwiem wodę. Potem złożył starannie telegram i brzegi jego zlepił białym znaczkiem ozdobionym wizerunkiem trąbki pocztowej. Spojrzał także w niebo, ale nieba nie zobaczył, bo zakrywały je rozhuśtane gałęzie świerków. Więc rzucił się biegiem przed siebie pod stromą leśną górę.

I znowu ta sama pokojówka prowadziła go od furtki do willi, na której już zaczynał ożywać winograd. Ale psa nie było, nie biegł przy nodze i nie trzymał jak zwykle ręki gościa w zębach.

— Może lepiej niech pan mnie odda telegram — powiedziała z wahaniem dziewczyna.

— Dlaczego? Panienska musi pokwitować — zachnął się Witek.

— Ale panu oczy świecą. Z gorączką roznosi pan telegramy?

— Nie roznoszę. Mam tylko jeden do Aliny.

Pokojówka stanęła na pierwszym stopniu ganku.

— Proszę mnie oddać. Ja jej na pewno doręcę — rzekła cicho spoglądając na szklane drzwi wejściowe.

— Muszę sam. To bardzo ważne.

— Jak pan uważa.

Wtedy otworzyły się gwałtownie drzwi. Powstał raptowny przeciąg, gdzieś w środku domu zaczęły łomotać, jak wystrzały, zatrzaskiwane okna. Na progu stał pułkownik Nałęcz w rozpiętym frenczu wojskowym.

— Depesza do panienski — powiedziała dziewczyna.

— Ja odbiorę — rzekł nieprzyjaźnie pułkownik i wyciągnął dłoń.

— Muszę oddać do rąk własnych — Witek chciał się cofnąć, ale Nałęcz uczynił krok do przodu i chwycił już drżącymi palcami brzeg telegramu.

— Powiedziałem, że ja odbiorę.

— Panna Alina musi pokwitować.

Na piętrze zaszczekał Rex, coś się zakotłowało i skrzypnęły drzwi, jakby wyrywane z zawiasów.

— Restes dans ta chambre, compris? — krzyknął pułkownik, a potem spokojniej, lecz jednocześnie z pogroźką rzekł do Witka: — Ja pokwituję. To musi panu wystarczyć.

— Nie mogę oddać, naprawdę nie wolno, to do panny Aliny.

— Puść! — krzyknął z wściekłością Nałęcz. Witek puścił machinalnie.

Na schodach w hallu zamajaczyła postać mężczyzny. Był to pewnie kuzyn Sylwek, którego wywabiły skądś krzyki pułkownika.

— Proszę rai zwrócić telegram — poprosił raptem Witek.

— Przecież przyniosłeś go do nas. Daj kartkę, pokwituję.

— Niech pan zwróci, ja przyniosę innym razem — bełkotał spanikowany Witek.

Po drugiej stronie doliny odezwał się pierwszy w tym roku wiosenny grzmot. Mimo woli spojrzeli obaj na fioletowe chmury, w których wnętrzu żarzyło się niedobre, rude światło.

— Nie potrzebujesz pokwitowania?

Witek tyłem zstępował ze schodków ganku.

— Nie potrzebuję. To jest telegram do Aliny.

— Ja ci dam, szczeniaku. Żebyś mi się tu nie szwendał koło domu, bo dostaniesz porcję czarnej soli w tyłek.

Na blaszanym dachu zabębniły rzadkie kule gradu i ucichły.

— Radzę panu liczyć się ze słowami — powiedział wolno Witek z zaciśniętego gardła.

— Ach ty sukinsynu! — wrzasnął pułkownik i wskoczył do wnętrza

domu. Runął jakiś mebel na podłogę, ktoś się szamotał, ktoś inny zaszlochał rozpaczliwie.

— Puść fuzję, puść w tej chwili! — grzmiał w mrocznym hallu Nałęcz.  
— Je vais le mettre a plat tout de suite, ja tego szczuna napekluję solą!

Witek w miarę możliwości powściągliwie, z dumą zbliżał się już do furtki, mając pełno oczu w tyle głowy.

Później stał schowany za kolczastym pniem martwego świerka, z którego sypały się martwe szpilki. Patrzył w stronę willi pełen bezsilnej wściekłości. A tam po ganeczku miotał się jeszcze rozsierdzony ojciec Aliny.

— Nikt mnie stąd nie przepędzi. Będę tu wracał tyle razy, ile zechcę. Już jej nie wypuszczę z zębów. Za późno, stary łapiduchu, zupacki konowale.

Szedł długo między nie znanymi drzewami, zgubiwszy drogę. Wreszcie zatrzymał się kompletnie zmoczony na skraju lasu i zobaczył pod sobą dolinę wybrukowaną domami przedmieścia. Zobaczył też jakby pierwszy raz te dziwne domy budowane w ciągu stu lat, domy murowane, wystylizowane na gotyckie zameczki, na empirowe pałacyki, na polskie dworki, i domy drewniane, wielkie straszydła wypilowane laubzegą prawosławnego szaleńca. Wtedy raptem strzelił piorun, wbił się głęboko w dolinę, aż po kamienne dno rzeki, oświetlając strasznym trupim światłem cały wszechświat Witka.

I wydało się Witkowi, że dolina jest przywalona ruinami. Zamiast tych domów drewnianych i murowanych widzi zarysy skruszonych fundamentów, widzi hałdy popiołu, widzi czarne belki i walące się ściany.

Kiedy chciał rzucić się w dół pchnięty dzikim lękiem, rozjaśniła się na krótkie mgnienie nowa błyskawica i wydało mu się, że dolina

wymoszczona jest bujnymi ogrodami, w których widać wszystkie stare domy i widać mnóstwo nowych budynków różnej wysokości, zbiegających tarasami do samego dna doliny, gdzie w cementowym łożysku pędzi ku miastu uspokojona, cicha, martwa Wilenka.

Potem nie mógł długo zasnąć przewracając się na sienniku pełnym słomy, która już nie woniała słomą; szedł z niej zaduch kurzu, starości, smutku. Słyszał, jak budziła się matka i czekała czujnie na jego powrót. Bo nauczył się wkradać do domu niezauważenie, bez jednego skrzypu zheblowanych desek podłogi, bez głośniejszego westchnienia, bez tej niedostrzegalnej, a tak intensywnej emanacji obecności człowieka w czterech ścianach. Więc słuchał mściwie jej przyspieszonego oddechu i bezmyślnie szeptanych pacierzy. A za oknem błyskało, co jakiś czas odrywał się rzadki grzmot, niekiedy sypnęło króciutko gradem. Krążyła wokół doliny sucha burza, kołowała jak wielki nocny ptak. W chwilach ciszy odzywał się nieoczekiwanie słowik czystym, jasnym trelem i mogło się wtedy wydawać, że za oknem kwitnie bez, że księżyc brnie przez ciepłe obłoki, że upalny wiatr chłodzi się ruchem zimnej zieleni.

Wreszcie Witek wstał i nie zapalając lampy jął macać siennik pod prześcieradłem. Od razu znalazł postrzępioną, szorstką skórkę, jakby żywą i nieżywą zarazem. Poniósł ją do oczu. Zalśniła łuskami niczym oka brudnego tłuszczu. Wstrząsnął się od raptownego wstrętu. Pchnął szybę, rzucił w ciemność nieforemny ochłap. Wiatr schwycił go łapczywie, powlókł w krzaki szamoczące się niespokojnie pod płotem.

— To ty, Wicio? — odezwał się płaczkliwie dziadek ze swojej bokówki, której drzwi nigdy nie zamykano.

— Tak, ja, nie mogę zasnąć — rzekł stając w nogach łóżka chorego.

— Otwierałeś okno?

— Matka włożyła do pościeli skórkę węża.

— Ona wariuje. Modli się po całych dniach, parzy jakieś ziółka, dziś krzyżem leżała.

— Nowy obraz świętego wisi nad moim łóżkiem.

— Wszystkiego się chwyta, i modlitwy, i zabobonu.

— Słyszysz dziadek słowika?

— Wszystko słyszę. Ja teraz jestem jednym wielkim umierającym uchem.

— Dziwna to jest wiosna roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Ale dziwna jest ona chyba tylko dla nas. Kiedyś uczniowie w szkołach nie będą jej mogli odróżnić od innych. Pomylą ją z wiosnami dwudziestego dziewiątego albo pięćdziesiątego dziewiątego.

Starzec leżał nieruchomo przykryty gęstą ciemnością. Pod tym czarnym, cuchnącym nieuleczalną chorobą kocem słycać było chrypienie, poświstywanie, rżenie, słycać było ciężką pracę gnijących płuc.

— Dziadek zasnął?

— Czuwam, dziecko, cały czas czuwam.

— A co będzie, jeśli ja umrę przed dziadkiem?

Zaszeleściła poduszka. Starzec żegnał się szybko, jakby odpędzał niewidoczną pszczołę.

— Nie, Wicio, nie. Pochowasz najpierw mnie, potem matkę. Będziemy ci się śnić i będziesz się lękać tych snów, i ukąszą cię złe wyrzuty sumienia. Mnie przyśnisz zbrozonego krwią, kiedy idę o zachodzie słońca od furki do schodów domu, matkę zobaczysz w trumnie jak na jawie, z całą grozą śmierci, i tę trumnę oraz trupa matki zaczną pożerać

suche, szybkie, żarłoczne płomienie wielkiego ognia, ryczącego jak huragan, i pomyślisz, że to ogień piekielny, i obudzisz się z prawdziwym strachem, takim strachem, który wraca często podczas białego dnia między żywymi ludźmi.

Błysnęło za oknem pokazując oślepiająco białe miasto skulone u ujścia doliny. Skoczyły do góry słupy telefoniczne z płataniną rozciąganych na wszystkie strony czarnych drutów. Tylko wzgórza trwały nieruchomo jak ciała padłych zwierząt.

— Dziadku, ja jestem wolnym człowiekiem.

— Skąd wiesz, że jesteś wolny?

— Wszyscy jesteśmy wolni.

Chciał się przewrócić na bok, ale zrezygnował. Dopiero teraz Witek zobaczył na stoliku koło jego głowy gromnicę w starym lichtarzu i pudełko zapalek na białym talerzyku.

— Urodziłem się w czasie powstania styczniowego, zaraz, ile to będzie lat? Dużo, nie chce mi się liczyć. Znam to powstanie z opowiadań rodziców, krewnych, znajomych, widziałem wojny, rewolucje, zamachy stanu, rebelie, przewroty. Przeżywałem raptowne nadzieje i nieoczekiwane klęski, śledziłem przemarsze różnych wojsk przez naszą dolinę, w tę i tamtą stronę, w poprzek i na ukos, umierałem i zmartwychwstawałem, walczyłem i przegrywałem, wzbijałem się ku świętości i dusiłem w grzechach. Nie, Wiciu, wam się tylko wydaje, że jesteście wolni. Nie jesteście wolni i nigdy już nie będziecie wolni.

Znowu odezwał się ten przedwczesny słowik. Kląskał zdumiewająco głośno, jakby chciał przekrzyczeć niespokojną noc.

— Dziadku, ja wiem, że mam wolną wolę. Czuję to tak mocno, tak



wyraźnie, nigdy w życiu nie czułem tego tak intensywnie.

— Będiesz żył z wolną wolą w niewoli.

— Nie chcę żyć w ten sposób i nie będę żył.

— Och, co za noc. Wszystkie noce są straszne. Idź spać, dziecko. Jutro czeka ciebie nowy dzień.

Witek pochylił się i zaczął szukać na kołdrze ręki starca. Znalazł garść gorących, suchych kości pozbawionych ruchu. Uniósł tę dłoń i przemagając lęk albo raczej obrzydzenie dotknął ustami miękkiej, wyslizganej skóry.

Eks-narieczona Hitlera — Ślązaczka opowiada o swym b. amancie. Anna Sowa jest wdową po sztygarze kopalni na Górnym Śląsku, a córką właściciela piwiarni Tura w Monachium, gdzie A. Hitler spędzał czas przed wojną. Pani Sowa, kobieta lat 40-stu kilku, blondyna o niebieskich oczach, mówi: „Koleżanki śmiały się z mego amanta, pytały mnie zawsze: «chodzisz jeszcze z tym dzikusiem?»» Był o mnie zazdrosny. W zasadzie Adolf stronił od kobiet, podobnie jak zresztą trzymał się z dala od każdego nieznanego. Adolf nienawidził kobiet ciężarnych i Żydów. Dziwne zestawienie. A jednak tak było. Kobiet ciężarnych brzydził się, Żydów nienawidził z całej duszy. Kiedy żegnaliśmy się na dworcu w Monachium, zaprzysięgliśmy sobie, że żadne z nas nie pobierze się, że będziemy na siebie czekać. «Nie ożenię się nigdy z żadną inną, chyba ze śmiercią» — powiedział Adolf. Ja niestety nie. Po przyjeździe na Śląsk poznałam mego późniejszego męża. Przyznam się, że o Adolfie zapomniałam. Wyszłam za mąż. Dopiero z gazet dowiedziałam się o jego istnieniu. Dziś jest tak wielki, że nie chciałby ze mną rozmawiać. Ale przyrzeczenia nie złamał.

Nie ożenił się” — dodaje p. Anna z właściwą kobiecie satysfakcją z racji odniesionego zwycięstwa nad płcią brzydką.

Znowu stał pod tym wielkim gmachem schowany za pień kasztanu. Ale teraz wszystkie szyby były poprzekreślane białymi taśmami papieru i nie wiedzieć czemu przypominały niewysłane błękitne listy. Kasztan też się zmienił. Wydał z siebie wielką ilość małych bladych listków, które poruszały się niezdarnie na wietrze jak pisklęta uczące się lotu.

Obok na placu odbywał się targ albo jarmark. Pełno tam było wyprzężonych koni, które drzemały z głowami ukrytymi w workach z obrokiem. Na wozach chłopcy wyłożyli swój zgrzebny towar. W ciasnych uliczkach stworzonych przez wozy i kramy przelewał się niespokojny tłum kupujących, sprzedawców, ciekawskich i złodziei.

Witek pilnował wzrokiem ogromnych drzwi wejściowych żeńskiego gimnazjum. Pojedyncze osoby wchodziły tam albo zbiegały wesoło po kamiennych schodach, lecz gmach był jeszcze cichy, jakby spięty oczekiwaniem, zastygły w bezruchu.

Nagle z bocznej ulicy wyjechał samochód i Witkowi pociemniało w oczach. Poznał od razu tę granatową karoserię, przypominającą puszkę od herbaty. Polski fiat toczył się wolno, wzniecając niewysoki, chudy kurz, wreszcie zatrzymał się przed kamiennymi schodami. Zgrzytnął ręczny hamulec, otworzyły się drzwiczki, zza kierownicy wysiadł tęgi plutonowy, który podniósł maskę, zaczął szperać w motorze. Ale we wnętrzu wozu ktoś został i czekał pólżąc w gęstym cieniu na tylnej kanapie. Witkowi pewnie zdało się, że ten ktoś obserwuje bacznie ulicę. Więc cofnął się głębiej za drzewo. Zerwał młody liść, zaczął go żuć machinalnie w

raptownym popłochu. Podoficer uniósł głowę i patrzył w niebo osłaniając oczy dłonią. Na placu ucichło, cały tłum kupców, sprzedawców, ciekawskich i złodziei także zagapił się w niebo. A tam w wolnych obszarach między złotawymi chmurami żeglowały na północ wielkie eskadry dzikich ptaków. Płynęły cicho całą szerokością nieba od horyzontu do horyzontu. Myliły szyk i ciągle go naprawiały posłuszne dyscyplinie wielkiego marszu. Ludzie w milczeniu śledzili majestatyczne misterium skrzydlatych kręgowców.

Wtedy raptem odezwał się przeraźliwy dzwonek elektryczny i w tej samej chwili z kamiennych schodów zaczęły zbiegać setki dziewcząt w granatowych mundurkach. Witek nie zdążył nawet spostrzec, kiedy szofer zamknął maskę motoru, kiedy wsiadła ona, kiedy ruszył samochód. Usłyszał tylko ostrzegawcze beknięcie klaksonu, mrowie uczennic rozstępowało się płochliwie, a nad ich głowami przesuwiała się błyszcząca krawędź fiata. Potem wóz łysnął blaskiem słońca odbitym w reflektorach i już pędził ulicą z kasztanami, rósł w oczach, warczał groźnie silnikiem, jakby chciał stratować schowanego za drzewem Witka. Przeleciał tuż obok w tumanie kurzu oraz spalin. W tym ułamku sekundy zdało się Witkowi, że widzi jej podkrążone oczy wpatrzone w niego ze zgrozą. Zdało mu się, że odchyłona nienaturalnie do tyłu kryje się w cieniu przed tym kimś, kto na nią czekał. Zdało mu się, że krzyczy wysokim, histerycznym głosem jak człowiek spadający w przepaść.

Później wszyscy znowu patrzyli w niebo. Gimnazjalistki również. Pod wysokim błękitem, jeszcze czystym, jeszcze nie spopielonym przez upał, zdążyły na północ nieskończone ławice dzikich ptaków.

— Nie warto tu przychodzić.

Odwrócił się gwałtownie gotowy do obrony. Ale to była Zuza, która także patrzyła w niebo.

— Czy ona kazała mi coś powiedzieć? — spytał zdławionym głosem.

— Ona nic nie mówi, ale i tak wszystko wiem.

— Dlaczego nie chce się ze mną spotkać?

Zuza spuściła głowę. Czarny warkocz zsunął się z ramienia na piersi jak spłoszone zwierzątko.

— Nie może. Po maturze wywiozą ją za granicę.

— To już za kilka dni.

— Tak, właściwie za kilka dni.

— Co ja mam robić?

— I tak będzie wojna.

— Nic mnie nie obchodzi ani wojna, ani pokój, ani matura, ani przyszłość, ani jej rodzice, ani inni ludzie.

Nic mnie nie obchodzi w tej chwili. Muszę się z nią zobaczyć, bo zwariuję.

— Ona pewnie uważa, że pan to wszystko zmyślił.

Ruszył gwałtownie w jej stronę, ale dziewczyna cofnęła się kilka kroków.

— No to co, że zmyśliłem? A jak to wygląda niezmyślane? Może mi pani powie, bo ona nie umiała!

Oparła się plecami o żelazne sztachety, za którymi było pełno białego bzu.

— Niech pan tak nie krzyczy.

— Ja się nie wstydzę, proszę bardzo, mogą wszyscy o tym wiedzieć.

— Pan jest chyba chory. Nie wolno chodzić z temperaturą.

— Więc albo zmyśliłem, albo jestem chory.

— Może i to, i to.

Chciał zacząć krzyczeć, ale nie starczyło mu sił. Popatrzył bezmyślnie na chodnik przed sobą. W spoinach między płytami leżały grudki piasku uformowane jak owoce jeżyn. Ziemne mrówki biegły niewidzialnym traktem do dzikiego ogrodu za żelaznymi sztachetami.

— No dobrze — powiedział cicho. — Niech tak będzie. Ale to dopiero początek.

Odwrócił się, zaczął odchodzić w gęstym tunelu kasztanów, z których ściekała radosna, smolista woń świeżości.

— Panie Witoldzie! — krzyknęła dziewczyna.

Stanął nie oglądając się, czekał skulony.

— Ona chyba bardzo się męczy — dodała szeptem po chwili.

Później szedł pod górę przez las wygrzany w słońcu. Nie widział pąków pękających co chwila, nie widział kwiatów wyrastających z godziny ma godzinę, nie widział lata wkraczającego pośpiesznie do doliny Wilenki. Las huczał podniosłym głosem zasłuchany w siebie. Mokre nici pajęcze chwytaly Witka za włosy. Jakiś wielki ptak latał ciężkimi zygzakami wśród świerkowych pni. Jeziorka ciepłego, żywicznego powietrza stały na słonecznych polanach. Witek brnął przez bezdroża szalonej, młodzieńczej zieleni, a te wszystkie zioła, kwiaty, krzaki czepiały się jego rąk, chlastały po twarzy, zagradały drogę do Aliny.

— Maharadza!

Tak, to był kot Maharadza. Szedł bez pośpiechu węzowym ruchem wśród wysokich paproci. Udawał, że nie widzi swego pana, symulował botaniczną ciekawość, obwąchując natrętnie czuby wysokich traw.

— Maharadża, dokąd idziesz?

Kot popatrzył z zadumą w wysokie korony drzew, a potem wierząc kuprem jak stary drapieźnik zanurzył się w gęstwinie młodych ziół.

Witek zatrzymał się na skraju lasu przed tym wąwozem po wyschniętym strumieniu. Tarasy ogrodu na tamtej stronie były świeżo skopane, rozwichrzone flance sterczały z brązowej, tłustej ziemi. Ściany willi zazieleniły się od winogrodu. W wielkich oknach widać było odbicie całej doliny i kamienny kopiec miasta zatykający jej ujście.

— Histeria anakastyczna — powiedział Witek. — Jak dobrze jest chorować.

— Wymacał palcami puls w lewej ręce. Liczył, patrząc na ten dom obłany gęstniejącym, przedwieczornym światłem. Za rzeką odezwały się cymbały niczym brzęczenie budzących się przed zmrokiem komarów.

— Nie czuję pulsu. Cały jestem wielkim, ogłuszającym pulsem.

Strzeliły drzwi na tyłach domu. Zza węgła wyskoczył pies i leciał jak wielki czarny kamień w stronę furtki. Tu rozpląszczył się na drucianej siatce, pokazując rudy brzuch. Zaczął szczekać przeraźliwie i przeciągłe echo gdzieś koło francuskiego młyna podchwyciło to jego szczekanie. Wtedy na ganku zjawił się doktor Nałęcz w mundurze i przy orderach. Patrzył długo pod słońce w ścianę lasu nabrzmiałego popołudniowym wiatrem. Wreszcie zaczął wołać psa. Rex wracał niechętnie, co jakiś czas stawał na ścieżce i obszczekiwał gorliwie Witka, który trwał nieruchomo przed linią drzew rozwibrowanych szumieniem. Doktor zamknął psa w hallu, jakby i jego chciał uchronić przed pokusą, a sam poszedł za dom. Chrypnął stamtąd głucho motor, raz, drugi, wreszcie zaczął grać na wysokich obrotach. Plutonowy pobiegł do gospodarczej bramy, rozwarł jej

metalowe skrzydła i wrócił do wozu. Granatowy fiat potoczył się nową kamienną szosą, która wiodła do Nowej Wilejki, gdzie stały ogromne garnizony wojskowe.

Witka zaczęły wkrótce boleć nogi. Obok złościła się platforma pnia po ściętej sośnie. Zerkał na nią tęsknie, ale nie ruszył się z miejsca.

— Siadę wieczorem — powiedział sam do siebie. — Wtedy nikt nie będzie widział.

Mokre spodnie oblepiały nogi. Poruszył palcami stóp. Kwęknęła ciepła woda wypełniająca buty.

— Może dostanę zapalenia płuc? To jeszcze lepiej. Bardzo dobrze.

Cienie wydłużały się powoli. Ciasny wąwóz zbierał w sobie już pierwszą ciemność.

— Alina, słyszysz mnie? — powiedział cicho Witek. — Podejdz do okna. Wstań z krzesła albo z tapczanu i podejdz do najbliższego okna. Widzisz mnie? Stoję tu i czekam na ciebie, i czekać będę aż do końca świata. Otwórz drzwi, idź tą ścieżką do furtki, a potem tu do mnie w mrok lasu. Wzywam cię całą mocą woli, wszystką siłą wewnętrzną.

Wytrzeszczył oczy aż do bólu, przywarł wzrokiem do okien, które były martwe, to znaczy nie były martwe, bo odbijały gasnący dzień, ale nikt za tym martwym odbiciem nie poruszył firanki, nikt nie podniósł dłoni przesyłając znak porozumienia.

— Alina! — zawołał niegłośno.

Chmury rozeszły się już na boki, ukazując lśniące niebo. Zbiły się w ciasne stada nad horyzontem i tam oczekiwały zbliżającej się nocy.

— Alina! — krzyknął.

— Alina!

— Alina!

Wołał coraz śmielej. Zdało mu się, że pies skuczy wewnątrz domu i drze pazurami drzwi na ganek. Wtedy odezwał się już siódmy pociąg, który stękając mozolnie czołgał się przez całą dolinę do miasta. Gdakał gorliwie wspinając się pod jakąś wyniosłość, później długo piszczał hamulcami przed stacyjką, wreszcie z ulgą stoczył się w stronę ujścia doliny.

— Nerwica anakastyczna — rzekł Witek i wzdrygnął się, bo dołem od lasu szedł już piwniczny chłód.

— Wićka — szepnął ktoś nieśmiało za jego plecami.

To był Engel. Stał przy brzoźce trzepoczącej ledwo wyklutymi listkami. Trzymał się złuszczonego pnia zbielełymi palcami, jakby gotów w każdej chwili do ucieczki. Witek odwrócił się do niego bokiem i milczał.

— Chodź natychmiast do domu. Twoja matka zasłała.

— Ja też jestem chory.

— Nie wygłupiaj się, może trzeba ją zawieść do miasta.

— Wysłała ciebie, żebyś mnie stąd wywabił?

Engel przestąpił z nogi na nogę. Jego wielka łysiejąca głowa oblepiona pierścionkami anielskich włosów chwiała się bezradnie.

— Będzie skandal, straszna granda.

— Niech będzie. Ale dlaczego ma być?

— Czy ty nic nie rozumiesz?

Dopiero teraz spostrzegł, że głębiej w lesie, pomiędzy krzakami dzikich malin, stoi Greta w jasnej sukience.

— A co mam rozumieć?

Engel zaczął oddzierać wielki płat kory białej jak skóra nieboszczyka. Znowu brzęknęły rzęsiście cymbały po drugiej stronie doliny. Ucichło



powietrze, głos niósł się swobodniej w wielkiej rynnie obłożonej młodą zielenią.

— Oni nigdy się nie zgodzą.

— Dlaczego?

— Niedaleko stąd, tam pod kościołem, zginął twój ojciec. Oni pamiętają i wszyscy pamiętają.

— Tak, mój ojciec umarł na dębowej gałęzi.

Engel milczał długo, a potem szepnął z zaciśniętego gardła:

— Jesteś synem wisielca.

— Histeria anakastyczna.

— Co powiedziałeś?

— Nic. Sam do siebie.

— Przecież za parę dni matura.

— Niech przepada matura.

— W domu czekają tyle godzin na ciebie.

— Niech przepada dom.

— Przyplacisz zdrowiem ten idiotyzm.

— Niech przepada moje życie.

Jakiś myszołów zaczął krążyć nad skrajem lasu, nad ciasnym wąwozem, nad znieruchomiałym domem. Zataczał równe koła, nie poruszając prawie skrzydłami. Opuszczona głowa, jakby pękły kręgi szyi, wypatrywała czegoś w nagrzaną ziemi.

— To kiedy wrócisz do domu? — zapytał Engel.

— Może nigdy nie wrócę. A teraz odejdz, bo nie ręczę za siebie.

Engel puścił pień brzozy i westchnął z demonstracyjną bezradnością.

— Greta wyjeżdża.

— Niech jedzie. Wszędzie będzie jej lepiej.

Engel wrócił do siostry. Szeptali do siebie, spoglądając skrycie na Witka, któremu już ścierpła lewa noga. Wreszcie Greta zdecydowała się, uczyniła kilka kroków do przodu.

— Witek, słyszysz?

On milczał patrząc na dolinę całą w długich, strzępiastych cieniach jak ożebrowania tonącej łodzi.

— Wiesz, że Lowka Małafiejew oświadczył się Cecylii i został przyjęty. Dziś wieczorem zaręczyny. Proszą ciebie na przyjęcie.

— A co mnie to obchodzi?

— Nie śmiesz cię ta para? — rzekła niepewnie.

Odwrócił się wolno w jej stronę.

— Greta, dajcie mi wszyscy spokój. Jestem wam wdzięczny za wszystko, wiem, że chcecie dobrze, ale ja muszę jak zwierzę sam to w sobie przeżyć. Nikt mi nie może pomóc. Naprawdę, Greta, już za późno.

— Ale ja ci nie wierzę.

— Nikt mi nie wierzy. Może i ja sobie nie wierzę. Lecz musi tak być.

— Pewnie jesteś głodny?

— Nie jestem głodny.

Gdzieś obok spóźniony dzięcioł zaczął kuć puste w środku drzewo. Powoli rozszerzały się wargi Grety w nieoczekiwanym uśmiechu. Zalśniły jak robaczki świętojańskie jej ładne zęby.

— A może ty jesteś śmieszny?

Odwrócił się do niej plecami. Okna domu płonęły czerwono. Zawsze tak paliły się jeszcze długi czas, kiedy dolina układała się do snu. Słyszał z tyłu jakieś szelesty, trzaskanie chrustu, ściszone głosy. Ale kiedy spojrzał

ukradkiem przez ramię, las był pusty, to znaczy wypełniało go tylko zwykłe nocne życie drzew, wygaszających z wolna swój dzienny ruch.

Wtedy odezwał się dzwon kościelny i dzwonił tak, jak wtedy dzwoniły o przedwieczornej porze wszystkie małe kościoły. Budził niepokój, rozpacz, nagły dotkliwy smutek, lecz zarazem przypominał kojące istnienie Pana Boga.

Okna domu już się dopalały. Te z parteru zupełnie zgasły. Tylko jej szyby trzymały krwistą czerwień w uścisku ram.

Ktoś szedł od pól skrajem górnego przedmieścia. Na rękę niósł brezentowy płaszcz impregnowany gumą. Wysokie buty oblepione były rudą gliną. Mijał Witka ścieżką przyglądając się natarczywie. Witkowi pewnie zdało się, że skądś go pamięta. Odprowadzał go wzrokiem przez wysokie trawy pełne rosy.

Mężczyzna z płaszczem stanął raptem i chwilę o czymś myślał. Potem nie odwracając się zapytał:

— A nie wie pan, czy wysoka woda w Wilence?

— Niewysoka. Opadła dobry tydzień temu.

— Piękna wiosna.

— Dziwna. Nienormalna. Mówią, że wojna nadchodzi.

Mężczyzna w wojskowych bryczesach pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: daj Bóg. Potem ruszył w dół, ale obejrzał się po chwili. Witek patrzył za nim i coś mu się chyba zaczęło przypominać, lecz wtedy zaszczekał gwałtownie pies. Witek szarpnął się w stronę domu. Ale to szczekał jakiś inny pies, zasłonięty obłóścią wzgórza, pies, który odkrył kreta albo wielką ropuchę ze straszliwymi balonami koło oczu.

— Tyle razy bałem się lasu w nocy, a teraz się nie boję — szepnął Witek

i zatupał skostniałymi stopami. — Po co ja tu stoję, kiedy mogę położyć się w ciepłym łóżku i myśleć o dalekich latach przyszłości, wybierać sobie różne losy i przeżywać je do woli w myślach. Może ona jest czarownicą? Może wojskowemu lekarzowi w noc strasznej dzikiej wojny, kiedy wszędzie włączyły się zabłąkane oddziały wojsk, bandy zbójów i watahy oszalałych maruderów, może mu w ten dziwny czas urodziła się mała wiedźma o słodkiej buzi aniołka. To nawet lepiej. Niech będzie czarownica, niech będzie wampir, który porwie mnie ze sobą w nieznaną wszechświat zła albo w nieznaną nicość.

Z dołu, z pierwszego dna doliny odezwał się cichy, zmiękczonej odległością głos patefonu. Witek domyślał się słów: „jesienne róże szepczą cicho o rozstaniu, jesienne róże mówią nam o pożegnaniu i w liści chmurze idziemy przez parku busz, jesienne róże więdną już”.

Zaczęły przelatywać chrabąszcze z ciężkim, wysiłonym buczeniem. Powietrze gęstniało, tracąc przezroczystość. Nad krawędzią horyzontu pokazała się chwiejna, chuda zorza zimnego światła. To wracał ten polski fiat podobny do pudełka od herbaty. Odbyła się zwykła celebrazja z otwieraniem bramy. Coś tam mówiono podniesionym głosem przekrzykując warkot motoru. Samochód wtoczył się na podwórze, strzelił silnikiem, schował się za węglem domu. Niewidoczni mężczyźni wchodzili hałaśliwie po schodach ganku. Zapaliła się lampa w hallu. Witek skoczył natychmiast do ogrodzenia wytrzeszczając oczy. Ale światło wkrótce zgasło i dom zatonął w ciemności. Tylko dach pozostał na błyszczącym niebie jak ciężkie brzemie niesione przez kogoś, kto stanął na moment dla schwywania oddechu przed wierzchołkiem wzgórza.

Witek wrócił na swoje miejsce.

— Usiądę, teraz nikt mnie nie widzi.

Odnalazł ten karcz jaśniejący pomiędzy czarnymi trawami. Siadł ze stęknieniem ulgi. Wszystko cichło. Dolina wyglądała stąd jak tafla wielkiego jeziora, w którym migocą odbite gwiazdy. Ale to były światła latarni ulicznych i okna domów przywalonych młodą zielenią ogrodów.

Wtedy gdzieś za sobą, lecz z prawej strony, usłyszał przybliżające się rozmowy wielu ludzi. Coś skrzypiało rdzewiejącym głosem, czasem uderzył kamyk o metal. I Witek zrozumiał, że to mężczyźni jadą na rowerach szosą, która prowadzi z Wilna do Nowej Wilejki.

Podniósł się z pnia, wpatrzył się w nieruchomą ciemność pełną tajemniczych dźwięków. Ale w tym momencie zapaliły się latarki elektryczne i ruchliwe strugi światła ukazywały na krótko fragmenty twarzy, kierownic rowerów, okrągłe czapki, lufy karabinów. To byli policjanci. Naradzali się zmęczonymi głosami. Potem ktoś zaczął wydawać rozkazy. Kilka ledwo widocznych postaci rozeszło się w różne strony, prowadząc rowery.

Nagle ktoś zaświecił w las i Witek poczuł ostre ukłucie w oczach. Przymrużył powieki stojąc bez ruchu. Ktoś ruszył szybko w jego stronę nie gasząc latarki.

— Co tu kawaler porabia? — zapytał niewidoczny policjant.

— Nic. Czekam.

— A na kogo, można wiedzieć?

Ostatki ciepłego powietrza błakającego się na wzgórzu przyniosły ostrą woń potu, sukiennych mundurów, źle wyprawionych skór.

— Na dziewczynę — rzekł niechętnie Witek.

— Randka, znaczy się? Kawaler miejscowy?

— Niech pan zgasi latarkę, bo oślepnę.

Jeszcze przez krótką chwilę czerwieniało włókienko żarówki. Potem wyrysowała się na seledynowym niebie zwalista sylwetka policjanta.

— Mieszkam na dolnym przedmieściu — rzekł

— Dawno kawaler czeka?

— Ja wiem? Ze dwadzieścia minut.

— Spóźnia się.

— Tak, spóźnia się.

Policjant westchnął i poprawił karabin na ramieniu.

— I ja bym wolał czekać na dziewczynę. A nie widział tu kawaler obcych ludzi?

— Szukacie Wołodki?

Policjant milczał chwilę.

— Zanadto domyślny kawaler.

— Nie widziałem. Tu sami swoi. W lecie tylko pojawiają się letnicy.

Policjant zaczął grzebać w kieszeniach.

— Pali pan?

— Nie — rzekł odruchowo Witek, lecz szybko dodał: — Właściwie tobym zapalił dzisiaj.

Policjant zbliżył się, skrzypiąc butami.

— O, tu jest paczka.

Witek wymacał pudełeczko, niezgrabnie gmerał pomiędzy cygaretkami. Trysnęła ogniem zapalka. Teraz Witek wy dostał wreszcie papierosa. Pochylili się obaj nad płomykiem. Zobaczył nie ogolony policzek i kawałek paska, zapiętego pod brodą.

— Dziękuję. A kto to jest ten Wołodko?

— Dla nas bandyta, a dla innych nie wiem.

— Może on z miłości został bandytą?

— W naszych czasach coraz częściej ludzie wariują z miłości. Pan, widzę, maturzysta?

— Tak, za kilka dni będzie po wszystkim.

— Radzę wracać do domu. Dzisiejszej nocy może być dużo ruchu.

— Dziękuję. Chwilę jeszcze poczekam.

— To dobranoc panu. Bo przed nami zła noc.

— Dobranoc.

Policjant wrócił do swoich, którzy także kurzyli papierosy. Czerwone ogieńki, skaczące w czerni, zapalały się raptownie i przygasały. Brzęknęły błotniki rowerów. Policjanci zaczęli wchodzić w wyciszony las.

Obudziło Witka przeraźliwe zimno. Zerwał się z pala i długą chwilę miotał się wśród lodowatych krzaków, nie mogąc zrozumieć, co się z nim dzieje. Potem odnalazł dolinę, która przypominała ogromny rów po spalonym meteorycie, zobaczył zaczajony dom na grzbiecie wzgórza, usłyszał senność lasu za plecami. W dole pod nim grały świerszcze albo raczej skwierczał tak niespodziany przymrozek.

Bez szczególnego zamiaru podszedł do ogrodzenia. Druciana siatka drgnęła jak żelazne łóżko, kiedy wspiął się na jej kolczastą krawędź. Skoczył do ogrodu i źle oceniwszy wysokość przewrócił się w dzikich trawach, które pachniały jeszcze jesienią. Zgramolił się z ziemi, oczyścił dłonie o sztywne z chłodu spodnie. Dom czekał skulony nad wąwozem. W którymś z okien błyszczało trupie odbicie księżyca lub rozjaśnionej przed świtem gwiazdy.

Zaczął wspinać się do góry po tarasach przypominających azteckie

schody. Wreszcie znalazł się pod domem. Z jego ścian wysnuwało się delikatne ciepło niczym stłumiony oddech śpiących ludzi. Dotknął chropawej powierzchni między meandrami winorośli. Położył obie dłonie, jak się kładzie na kaflach pieca z dogorywającym ogniem. Słuchał chciwie, ale dom był głuchoniemy. Nawet ucho przyciśnięte do ściany nie mogło ułoić żadnego odgłosu poza jednostajnym brzmieniem martwej materii albo odbitym od kamienia szumem własnej krwi.

Witek stał pod domem i nie wiedział, co dalej robić. Gdzieś w dole odezwały się pojedyncze gwizdki podobne do głosów błotnych ptaków. Podeszedł do węgła, tego od strony doliny. Zobaczył czarną otchłań, a nad jej brzegiem kilka gwiazd mrugających pracowicie z jakąś niezrozumiałą intencją. Pod nogami coś zaszeleściło, czyniąc w tej przedrannej ciszy donośny hałas. Schylił się, dotknął drżącymi palcami. To była wielka sterta zgrabionych przez kogoś klonowych liści.

Wtedy zaszczekał pies. Szczekał basowo, aż drżały szyby, potem skomlił długą chwilę niczym szczeniak. Witek przysiadł za kopą liści, wstrzymując oddech. Słyszał spieszne bicie swego serca, tak głośne jak stukot nadjeżdżającego pociągu. Pies znowu zahuczał w pustych pokojach. Ale pewnie ktoś go wołał, bo zatupał raptem na schodach hallu. Biegł do niej, żeby powiedzieć o swoich podejrzeniach.

Z tych liści szedł ostry zapach suchości, zapach, który dziwnie kusił. Witek zaczął przeszukiwać kieszenie. Wreszcie znalazł w fałdzie podszewki dwie dawno zapomniane zapalki i wyślizgany strzępek „maski”. Potarł zapalkę o tę maskę bez przekonania. Natychmiast wyskoczył ochoczy płomyk i zaczął parzyć dłoń. Więc żeby ugasić, Witek wsadził go między liście, przykryte z wierzchu potem rosy. Coś tam



pisnęło w stercie i ucichło.

— Skonał. Już się więcej nie pokaże — szepnął Witek. — Mógłbym się założyć, gdybym miał z kim.

Trwał tak pochylony nad martwym kopcem liści. I wtedy w środku tej wątlej góry suchości zaczęło powstawać wątłe różowe światelko. Później wypełznął cieniutki płomyczek, który szukał czegoś wśród gąszczu liści. Szamotał się na wszystkie strony próbując łądyżek, strzępiastych brzegów, kłaków mchu, aż raptem skoczył do góry z radosnym trzaskiem. Jął pęcznieć, rozdzielać się, rosnąć w dziesiątkach odnóg. Zaczął śpiewać najpierw cieniutko, potem coraz grubiej, wreszcie mruczał, mlaskał, trzaskał gałęziami, jakby je ze smakiem rozgryzał.

— Histeria anakastyczna — rzekł cicho Witek nie mogąc oderwać wzroku od ognia, który już wpełzał na jego buty.

Spojrzał raptem do góry, gdzie było jej okno. Zobaczył coś białego za czarną szybą. Ta biel podobna do schylonej kobiety przypomniała mu nagle jakąś zapomnianą dawno straszność.

Spanikowany rzucił się na ogień, który wyskoczył swobodnie nad pryzmę liści. Deptał zapamiętałe rozżarzone wnętrze w obłoku rozłuszczonych iskier, co kąsały go po nogach. Sypnął garściami mokrej ziemi. Pożar zasłonił się gęstym, gryzącym dymem, ale już przegrywał, już musiał się cofać.

Witek czekał jeszcze długą chwilę nad resztkami, które dyszały wilgotnym ciepłem. Potem chyłkiem uciekał w stronę ogrodzenia. Zatrzymał się na moment pod środkowym tarasem. Popatrzył w jej okno. Ale okno było puste. Zupełnie puste jak kartka czarnego papieru.

Znowu odezwały się te dziwne gwizdki na dnie doliny. Przelazł przez

plot, wrócił zmęczony na swoje miejsce. Niebo na wschodzie przysypywało czerwony pył z niewidzialnej klepsydry.

Wtedy rozległ się daleki strzał karabinowy i Witek po raz pierwszy w życiu usłyszał prawdziwy wystrzał. Schował głowę w ramionach, słuchał tego nieznanego głosu, który dogasał w zakamarkach doliny. Myślał też chyba, że strzał najczęściej oznacza czyjąś śmierć.

— Co ty wyrabiasz, dziecko? — odezwała się raptem matka tak, jakby pytała z sąsiedniego pokoju. — Czego ty się badziasz koło tego domu?

Zobaczył ją tuż obok, ledwo widoczną w czarnej ścianie świerkowych pni.

— Nie mogę spać. Jestem przemęczony — rzekł złym głosem.

— Ależ ty w ogóle nie kładłeś się spać. Wicio, chcesz mnie zabić?

— Niech mama wraca. Ja wiem, co robię. Wszystko będzie dobrze.

— Razem wrócimy, synku. Śniłam ogromny ogień. Wszystko się paliło, cały dom, całe miasto, cały świat.

— Ogień to wielka odmiana w życiu. Mamo, będzie dobrze.

— Chodź, wracaj ze mną do domu — chwyciła jego rękę. — Jesteś chory. Od zimy przeczuwałam, że zachorujesz.

— Nie, ja zostanę. Potem wrócę.

— Zacznę krzyczeć. Będę tak krzyczeć, że wszystkich obudzę. I ją obudzę.

Raptem przygarnął matkę do siebie. Całował ją na oślep suchymi wargami.

— Ja wiem, mamo, ja wszystko wiem, ale zostanę. Nie przymuszaj mnie, bo stanie się coś strasznego. Powinnaś mieć do mnie zaufanie. Kiedyś w życiu musi to przyjść, musi przyjść i nie ma rady. Wszystko

będzie dobrze, mamó, wierz mi, że minie, ale teraz idź, ja naprawdę zaraz wrócę, ale sam wrócę, z własnej woli.

— Przysięgnij, że wrócisz.

— Przysięgam.

— Na pamięć ojca?

Zawahał się przez chwilę. Rzeczywiste, realne ptaki budziły się już w lesie.

— Tak, przysięgam.

Znalazła jego rękę, zaczęła całować z cienkim, kocim płaczem.

— No już dobrze, niech mama wraca.

— Przyniosłam ci płaszcz.

— Dobrze, niech będzie płaszcz. Proszę iść, mamó, proszę mnie zostawić.

Popychał ją w stronę ścieżki. Zostawił w pełnej zimnych ciężkich kropel ciemności, a sam zaczął uciekać w ten stromy wąwóz. Przyłgnął do piaszczystej skarpy i czekał. Pierwsze szpaki podniosły się z czarnej jeszcze doliny. Leciały gdzieś w stronę Puszkarni, jakby przed innymi chciały zobaczyć wstające słońce. W tym zachwyconym locie biły się radośnie ze sobą, ścigały nawzajem, krzyczały bezwstydnie nad śpiącą jeszcze ziemią.

Witek wgramolił się na brzeg wąwozu. Spojrzał ostrożnie w nieruchomość lasu.

— Mamó? — spytał półgłosem.

Nikt nie odpowiedział. Wrócił do swego pnia. Dopiero teraz spostrzegł, że trzyma kurczowo w rękach stary, gimnazjalny płaszcz. Chciał go odrzucić, ale jednak rozmyślił się i ukradkiem okrył nim zeszywniałe z

chłodu i zmęczenia plecy. Później chyba zadrzemał, bo zbudził się raptem jakby w innym świecie. Roztopione nad horyzontem słońce przygrzewało już mocno. Śród kwiatów leśnych latały kolorowe motyle i pracowite pszczoły. Drzewa czekały na wiatr jak wielkie czarne żagle.

I wtedy gdzieś pod mim wrzasnęły czynele w huku kotłów, a chwilę potem zajęczały dziko piszczałki. Spojrzał z wysoka niczym jastrzęb na przedmieście przyrośnięte do ulicy Dolnej, co początek swój brała gdzieś pod Nową Wilejką. A tą piaszczystą ulicą jechał do miasta trzynasty pułk ułanów, zwany tatarskim. W przedzie, zaraz za buńczukiem z białoczerwonego włosia, szła w lansadach orkiestra pułkowa na siwych koniach. Lekki wietrzyk chwycił już ten kolorowy koński ogon na buńczuku zastępującym sztandar. Muzykanci dmuchali energicznie w piszczałki, flety, okaryny i gwizdawki. Dolina wypełniła się natychmiast po brzegi okrutną, zgrzytliwą muzyką.

Za orkiestrą jechały stępą kolejne szwadrony, każdy na koniach innej maści. I jakby ta ulica pokazała raptem dziąsła. Ale to była tylko różowość otoków ułańskich czapek. Potem proporczyki lanc też złapały wiatr. Ulica skryła się natychmiast pod trzepotliwym miganiem wesołych kolorów. A Witek pomyślał, że przez wiosenną łąkę leci pierwszy podmuch nieoczekiwanej burzy.

Dzwon kościelny czekał długo na przejście wojska. Ale z zieleni zagajników u podnóża horyzontu wchodziły coraz to nowe szwadrony. Więc wreszcie uderzył wysokim dźwiękiem i z trudem przebił się przez azjatycką muzykę. Więc zaczął się śpieszyć niecierpliwie, poleciał z góry na łeb na szyję szybkim różańcem skargliwych uderzeń. I trwała ta walka o władzę nad doliną między tatarską orkiestrą i katolickim dzwonem

kościelnym.

I w tym momencie zobaczył Witek na ganku willi stojącego pułkownika. Miał na sobie ten wczorajszy mundur z rzędami odznaczeń. Patrzył nieruchomo na zamarłego Witka, a Witek patrzył na niego i podobni byli do dwóch ptaków, które hipnotyzują się wzrokiem przed walką.

Pułkownik powoli, nie odwracając głowy, zaczął się cofać do hallu. Czynił drobne, prawie niedostrzegalne kroki, rozstawiwszy ręce jak skrzydła. Stał na progu. Ciągłe patrzył z wyteżeniem na Witka, patrzył dziwnie spode łba, lękając się widocznie stracić go z oczu. Potem nagle zginął w czerni hallu i równie nagle wyskoczył na ganek. Ale teraz trzymał w obu dłoniach dubeltówkę. Zaczął ją podnosić do oczu. Witkowi ścierpła skóra na plecach. Chciał skurczyć się, przemienić w krasnoludka. Lecz trwało to chyba tylko sekundę. Westchnął, wyprostował się, płaszcz opadał powoli z ramion.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — zaszeptał nie poruszając wargami.

Wtedy błysnął czerwono koniec jednej z luf, coś zatrzepotało w liściach krzewów jak gwałtowny grad i wszystko zagłuszył przerażający huk strzelby. Witek w myślach rzucił się jak długi na ziemię, ale w rzeczywistości trwał zgarbiony między drzewami zacisnąwszy do bólu powieki.

Ktoś zaczął krzyczeć w hallu, Nałęcz odwrócił się na moment, żeby postraszyć bronią, a kiedy krzyki zagubiły się w gwałtownym tupocie nóg, odnalazł wzrokiem Witka a podniósł dubeltówkę do ramienia.

— W imię Ojca i Syna — zaszeptał znów Witek.

Chciał coś pomyśleć, może złożyć jakieś ślubowanie, ale nie zdążył, bo

znowu błysnęło, lecz tym razem z drugiej lufy. Poderwały się do lotu liście z drzew i te suche na ziemi. Powtórny huk rozerwał powietrze wypełnione kakofonią dźwięków.

Witek czekał, ale nic więcej się nie stało. Ostrożnie uniósł powieki. Doktora już nie było na ganku. Z dołu wracał samotny głos tatarskiej orkiestry. Dzwon kościelny dał za wygraną. Znowu pojawiły się wesołe motyle ciekawe kwiatów leśnych i ziół.

Ruszył głową, rękami. Nie poczuł bólu. Więc zaczął iść w stronę drucianego płotu, omijając wąwóz. Zatrzymał się na rdzawej siatce. Podniósł dłonie, wczepił się palcami w szorstkie oka drutu. I tak odpoczywał.

Później odbył się krótki ceremoniał odjazdu pułkownika Nałęczca. Tym razem fiat potoczył się w stronę Wilna. Doktor wychylił się w przelocie z okna samochodu i pogroził kułakiem Witkowi.

Dom był martwy jak wczoraj. Wstawał z ziemi leniwy upał. Odzywały się w wysokich trawach pasikoniki. Za plecami próbował rozkołysać się jeszcze chłodny po nocy las.

Skrzypnęły drzwi willi. Na ganek wymknął się chyłkiem kuzyn Sylwek. Popatrzył ostrożnie na wszystkie strony i puścił się biegiem do furtki. Nie spięte pumpy pętały mu nogi.

— No co, kutasie marynowany, żyjesz jeszcze? — spytał ze złością podchodząc do Witka.

— A co to ciebie obchodzi?

— Pewnie trzymasz w tyłku dwie garści soli?

Witek milczał. Przyłożył czoło do zimnego drutu. Orkiestra Tatarów wileńskich ucichała już w głębi doliny. Ale kawaleria sunęła jeszcze ciągle

ulicą przedmieścia.

— Słuchaj, ty kochliwy marabucie, pluń na nią i wracaj do domu. Matka pewnie coś dobrego ugotowała. A to głupi burzuje. Szkoda dla nich czasu. Nie znasz normalnych dziewcząt?

— Nie znam.

On podszedł i pchnął raptem Witka, który puścił płot, zatoczył się w zagajnik starych pokrzyw.

— Wstydu, złamasie, nie masz. Zebrzesz przed tymi zidiociałymi mieszczanami. Weź butelkę nafty i podpal pretensjonalną budę pana pułkownika. Co ci tak w nich imponuje? To stara pluszowa kanapa, zasrane ordery i sołdackie fanaberie. Przyjdzie na nich koniec, ja ci to mówię.

— A dlaczego u nich siedzisz? Na co ty czekasz? — Witek podniósł się z pokrzyw. Na wierzchach dłoni wytłaczały się już czerwone bąble.

— Uch, patrzcie, jaki zazdrosny. No dobrze, mięczaku, mam dla ciebie nowinę. Ala przyjdzie na spotkanie z tobą w południe tam nad rzekę, gdzie byliśmy razem, koło nie ukończonej drogi. Zadowolony?

— Może chcecie się mnie pozbyć?

— Popatrz. Widzisz ją w oknie?

Coś majaczyło za szybą pełną błękitu. W dole dudniły tysiące kopyt końskich, czasem odezwało się rzenie znarowionego konia.

— Pamiętaj, oni wszyscy muszą zginąć. Szkoda, żebyś szedł razem z nimi na dno.

— Dlaczego mają zginąć?

— Cały świat przeżył siebie. Przyjdzie ogólny kataklizm.

— A co będzie potem?

— Anarchia, mać pariadka. No idź, połóż się na parę godzin. Siepie tobą gorączka. Idź, bo dam w ryło. Spójrz na moją pięść, to jest młot mściciela.

Schodził później leśnym zboczem ku rzece. Wstrząsały nim co jakiś czas gwałtowne dreszcze, chociaż miał na plecach płaszcz, chociaż dookoła rozżarzał się powoli pierwszy letni upał.

W nie najlepszym szyku szły już ostatnie szwadrony tatarskiego pułku. Za nimi wlokły się jakieś furgony. Kiedy przekroczył tory kolejowe, znowu wrzasnęła orkiestra na początku ulicy Dolnej. Nadchodził osiemdziesiąty piąty pułk piechoty. Orkiestra tego pułku trzymała pierwsze miejsce w kraju. Droga mocno już przeszła, podnosił się chudy, ale dokuczliwy kurz. Słynna orkiestra osiem-pięć — tak nazywano ten pułk — grała jak filharmonicy. Tylko majestat i siła blach przypominały, że to wojsko.

Nad rzeką odbywał się kongres bociani. Wielkie ptaki stały rozrzucone po całej łące i nie spoglądając na siebie trwały w zadumie. Czasem tylko któryś z nich raptownie wbijał dziób w złożone skrzydło, zaczynał energicznie iskać pióra.

Witek rozłożył płaszcz na piasku nie dokończonej drogi. Wtedy spostrzegł wysypujące się z podszewki wielkie ziarnka ciemnej soli. Złapał jedno podobne do gradu i wsadził do ust. Inne strzepnął z płaszcza. Natychmiast pochłonął je sypki, ruchliwy piasek, gorący jak popiół odgrzebanego ogniska.

Witek położył się na płaszczu. Leżał przykryty dusznym upałem tłumiąc w sobie dziwne, piwniczne zimno rozwibrowane w płytkich dreszczach. Rozcierał gorzką słoność na podniebieniu i patrzył w niebo monotennie niebieskie, niebo, jakie wtedy bywało. Tak usnął.



Obudził go czyjś wzrok. Rozwarł ostrożnie powieki wypełnione pulsującą purpurą. Na drodze obok siedziała ona. Z małej dłoni, niczym z klepsydry, wypuszczała cienki strumyk piasku. Znowu bił dzwon kościelny, tym razem na południową modlitwę.

— Co ty wyrabiasz? Do czego w końcu doprowadziłeś? — spytała cicho.

— Nie trzeba było ze mną zaczynać.

— Ja zaczynałam? To ty sobie coś uroiłeś.

— Nie powinnaś się była wobec tego urodzić — rzekł z trudem, przelykając zaschniętą ślinę. — Teraz już za późno.

— Na co za późno?

— Ty sama dobrze wiesz. Chodź, nie siedźmy tutaj na oczach wszystkich ludzi.

Wstała posłusznie. Ruszył przodem, ona dwa kroki za nim. Szli skrajem olszniaku, który trzymał rzekę w niewoli od źródeł aż do ujścia. Bociany ciągle jeszcze myślały nad rezolucją albo po prostu zasnęły odurzone upałem.

— Weźmiemy ślub zaraz po maturze — odezwał się zmęczonym głosem.

— Jednak widzę, że oszalałeś. Moi rodzice nigdy się nie zgodzą.

— Dlatego, że jestem synem samobójcy? — spytał nie odwracając głowy.

Gdzieś za torami słyhać było zuchowatą pieśń żołnierską, śpiewaną przez apatyczne plutony. To maszerował w stronę miasta ten osiemdziesiąty piąty.

Nieśmiało dotknęła jego ręki.

— Dlatego byłam cię ciekawa.

— Tylko dlatego?

— Nie wiem.

Stanął, odwrócił się, ona zamarła w udanym chyba lęku. Całe światło słońca schwytała w swoje włosy spiętrzone jak snop. Patrzył na ściemniałe oczy podobne do rzeki przed burzą, patrzył na usta niczym drobne źdźbło wrzosu, patrzył na złocistą szyję z niespokojnym tętnem jak ptasie piórko.

— Nie przyglądaj mi się w ten sposób. To mnie krępuje.

— Teraz już za późno — powtórzył.

Doszli do tego miejsca, gdzie był raptowny zakręt rzeki, nad którym stała wysoka ściana wielkiego urwiska. Woda biegła tu żywiej, dudłąc w podmytych karczach, w wielkich, kanciastych głazach. Usiedli na małym darniowym balkoniku w połowie urwiska. I mogło się teraz wydawać, że lecą bezszelestnie nad rzeką w gondoli balonu.

— Co on robi u was?

— Kto?

— Ten Sylwek, ten niby kuzyn. Ale nie kłam, bo uduszę.

Położyła się na dzikiej grzędzie czemborku, który pachniał goryczą i słońcem.

— Co robi? Może kocha się we mnie?

Schylił się nad nią. Lecz w tym momencie odezwała się kukułka zupełnie blisko, pewnie z sąsiedniego drzewa.

— Kukułko — powiedziała sennie Alina — ile lat jeszcze będę żyła?

— Ile lat będziemy żyli oboje?

Ptak jednak milczał. Pomyśleli wtedy, że chyba oblicza. Rzeka zagadała raptownie, jakby podejmując przerwana modlitwę.

— Widzisz — szepnęła Alina. — Widzisz, nie będziemy już dłużej żyli.

Witek czuł obecność ptaka. Domyślał się jego niespokojnych ruchów na gałęzi, wyobrażał sobie nerwowe rozkładanie dropiatych skrzydeł. Czekał ze ściśniętym sercem wstrzymawszy oddech.

Wreszcie kukułka wydała pojedynczy głos, trochę zakatarzony i niepewny.

— Daruje nam jeden rok — szepcze Alina.

I w tym momencie ptak zaczyna kukać coraz spieszniej, jakby lękał się, że nie wykuka całej wróżebnej liczby.

— Pięć, sześć, siedem.

— Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście.

— Czterdzieści jeden, dwa, cztery.

— Wystarczy, nie chcę więcej.

— Sześćdziesiąt pięć, sześć, siedem.

Z góry, ze środka nieba, leci stromym zboczeni wielki, czarny pies. Hamuje raptownie na tym ich balkonie trawiastym pędząc przed sobą wysoką kupę zeszłorocznych liści.

— Znalazłeś nas, żeby szpiegować? — pyta Witek. Pies skomli, przypada na przednie łapy, chce skoczyć z radości w glinianą przepaść, ale się rozmyśla, liże łokciowym jęzorem ją i jego, kręci się jak bąk, roztrącając zadem krzaki.

— Wynoś się, paszoł won! Nie wolno podglądać — Witek unosi rękę z patykiem.

Pies spogląda łapczywie na tę szczapę, już jest gotów do skoku, lecz kiedy Witek rzuca ją w dół, w gąszcz olszyn, Rex jęczy, przebiera tylnymi nogami, lecz nie kwapi się do aportowania.

— Wiesz, ile razy kukąła? — odzywa się ona. — Siedemdziesiąt siedem.

— To chyba nie dla nas. Ktoś inny o coś zupełnie innego pytał ją w tej samej chwili.

— A może to po prostu wróżbiarski szyfr? Może w tej liczbie jest zawarte jakaś ważna przepowiednia?

— Niepotrzebne są nam wróżby. Ja cię wywalczyłem, wypragnałem, wypożądałem. Teraz za późno.

— Nie wiem, Witold, już nic nie wiem. Coś się stało niedobrego. Zasupłał się jakiś węzeł. Coraz mocniej uciska. Fatalnie.

— Nie bój się, ja jestem silny, zmiotę wszystkie przeszkody. Jeszcze nikt się tak nie kochał od początku świata, jak my się będziemy kochać.

— Pamiętam tylko, że chciałam umrzeć. Odejść na zawsze w świeżych kwiatach, w słońcu, w śpiewie ptaków.

— Kukułka mówi, że przed nami wiele lat życia. Ogromne mnóstwo zgryzoty i radości, upadków i zwycięstw, umierania i zmartwychwstań. Nie lękaj się, dlaczego odsuwasz głowę? Patrz, włosy przemieszały się z ziołami, boża krówka idzie po skroni, biegnie do oczu, niesie ci dobrą nowinę. Nawet drzewa mówią, że będzie dobrze, dziwią się nam i zarazem potakują. Spójrz, jakie są zadowolone.

— Mam się rzucić na łeb, na szyję?

— Tylko my to potrafimy. My dwoje, jedyni na świecie.

— Gdzie ty byłeś, kiedy ciebie nie znałam?

— A ty gdzie byłaś?

— W swoim własnym niebycie. Kręci mi się w głowie od tego ruchu drzew.

— Poczekaj, zasłonię cię przed drzewami i przed niebem.

— Nie, bo stracę głowę.

Schyła się, dotyka ustami jej warg. Ona słucha w napięciu. Palcami wczepiła się w zioła.

— Ja to wszystko kocham — szepcze Witek, całując spieszenie rozmrowionymi ustami. — Zmienne oczy i zdziwione brwi, ciekawski nos i uśmiechnięte usta, nieśmiałą szyję i gorące, lękliwe piersi.

Zamiera spojony z jej wargami. Coś dudni rytmicznie coraz szybciej w skroniach i ten huk jak uderzenia kafaru głuszy mowę rzeki, poszum lasu, całe życie dna doliny. To huczenie wybiega pewnie do przedmieścia, unosi się chyba nad całym miastem i wszyscy słyszą szaleństwo młodej krwi.

— Och, ja umieram.

— Nie. To budzi się dorosłość.

Chce wdrzeć się ręką w wycięcie sukni pod szyją. Ale roztrzęsione palce zaczepiają o guziki, o ramiączka stanika, o fałdy jedwabiu. Wreszcie całą dłonią nakrywa płochliwą pierś jak pisklę. To jej serce tak wali o cienkie żebra w gwałtownej arytmii. Ona wolno przymyka powieki. Ktoś w dole pod nimi płacze rozpaczliwie.

— Skąd to pamiętam? — szepcze w jej obrzmiałe, lepkie usta jak rozgryziona brzoskwinia. — Kiedy to już przeżyłem?

Ale ona milczy. Zastygła na tej poduszce z ziół pachnących słońcem i goryczą. Więc on czołga się dłonią po wklęśnięciu brzucha zroszonym cieniutką warstwą potu. Ośmiela go jej uśpienie. I kiedy dociera w dzikiej panice do skraju gorących mchów, ona odpycha raptem jego głowę, przewraca się na bok, zasłaniając twarz ramieniem.

— Nie, poczekaj, jeszcze nie trzeba, och, pęknie mi serce.

Guziczek jej sukienki toczy się wśród starych żołądzi, sosnowych szpilek, kielkujących traw. Ktoś ciągle płacze pod ich nogami. To Rex skomli żałośnie i warczy z pogroźką. Krąży koło nich bezradny, przerażony, nieszczęśliwy. Próbuje chwycić zębami but Witka, ale nagły szloch nie pozwala mu zrealizować zamiaru.

Ona wolno unosi drżące powieki.

— Gdzie byliśmy tak długo?

— Tam, gdzie budzą się sny.

— Nie, to zupełnie inne miejsce. Może nad brzegiem oceanu albo między ośnieżonymi szczytami gór?

— Dlaczego mnie odepchnęłaś?

— Chciałabym przyjść do ciebie w długiej, białej sukni, w przezroczystym welonie, który wzdyma wiatr. Niech będzie pięknie.

— Będzie pięknie. Odsłoń twarz. Dlaczego się mnie wstydzisz?

— To nie ze wstydu. Słuchałam siebie. Ktoś chyba okropnie płakał.

— Rex, twój pies. Przestraszył się naszej miłości.

Zdjęła ramię, położyła zmęczonym ruchem na sprężystych krzakach czemborku. Zobaczył leciutki, senny uśmiech na jej roztargnionych ustach.

— A ty nie boisz się naszej miłości?

— Nie. Bo ona jest jedyna. Nie ma takiej drugiej na świecie.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Całą długą noc byłem sam z wiatrem, z niebem, z gwiazdami. Teraz już wszystko wiem. Wystałem ciebie jak cierpliwy ptak.

— Który ptak?

— Na pewno jest taki najcierpliwszy.

Usiadła chwiejnie, poprawiła dłońmi włosy pełne ziół i nie rozwiniętych

ziarenek.

— To co będzie? — spytała z tym samym uśmiechem.

— Myślę, że teraz ty będziesz rządzić.

— Tylko ja?

— Nie. Czasem również ja. Będziemy zawsze wiedzieli, kiedy ty masz rządzić, a kiedy ja.

— Nie boisz się moich kaprysów?

— Wiem, że urodziłaś się o północy trzynastego dnia miesiąca, kiedy ziemia drżała od piorunów.

Schyliła się ku niemu, pocałowała go przeciągle w usta.

— Uciekniemy po maturze?

— Do któregoś z miast uniwersyteckich. Ja będę pracował i studiował, a ty będziesz studiować i opiekować się domem.

— Zostaniesz najświetniejszym lekarzem?

— Będziesz żoną wielkiego profesora. Znowu go pocałowała i szepnęła w usta:

— Może i ja już kocham?

— Na pewno. Jak można mnie nie kochać?

— Dwoje najchytrzejszych ludzi w okolicy załgało się na śmierć.

— To też pięknie.

Pies rwał darń pazurami, żeby zagłuszyć w sobie rozpacz albo nudę. Grudy leśnego czarnoziemiu leciały w dół ku rzece jak czarny śnieg.

— Szuka kreta — powiedziała ona.

— Nie, udaje przed nami. Cierpi dręczony przez zazdrość. A Sylwek?

— Co Sylwek?

— Nie odpowiedziałaś na pytanie.

— Sylwek jest na zesłaniu. Też przeszkrobał w podobnej materii. Patrz, coś świeci w rzece. Wnętrze muszli po małży albo moneta. Chyba na nasze szczęście.

Rzeczywiście coś błyszczało w wodzie między zwitkami małych wirów, przesłaniane ruchliwymi brodami wodorostów. Za urwiskiem w kanionie przedmieścia ciągle jeszcze śpiewali maszerujący żołnierze.

— To mój pieniądz, co mi kiedyś dałaś. Pięćdziesiąt groszy, od których wszystko się zaczęło.

— Dlaczego wrzuciłaś do rzeki?

Witold zsuwał się już po gliniastym zboczu, gdzie koczowały samotne krzaki na strzępach darni zniesionej przez ulewy.

— Zgubiłem tęskniąc tu za tobą.

Ona zostawała na krawędzi urwiska coraz dalsza i mniejsza. W samotnym dworze po drugiej stronie odezwały się znajome cymbały.

Wszedł do wody, zaczął przebierać palcami w śliskich włosach wodorostów.

— Trochę w lewo! — krzyknęła.

— Tu?

— Bliżej nóg. Tak, w tym miejscu.

Potem wracał czepiając się zeschniętej, glinianej ściany porytej przez jaskółcze gniazda.

— Masz? Znalazłeś?

— Tam nic nie ma. Zwyczajny żwir i ohydne zielsko.

— Jak to nie ma? Popatrz.

Objęli się wpół, schyleni nad przepaścią. Coś jednak świeciło, puszczając „zajaczki” w ich stronę. Później przygasało pod ciemną wodą,



żeby wkrótce na nowo rozbłysnąć.

— Niech świeci — rzekł Witold. — Niech na nas czeka. Co teraz rozkażesz?

— Trzeba wracać, bo ojciec nas zabije. Spotkamy się tu w dniu ogłoszenia wyników matury. O trzeciej po obiedzie. Zarządzę wtedy naradę wojenną, dobrze?

— Nie wytrzymam tyle dni bez ciebie.

— Musimy być ostrożni. Jesteśmy najprzebieglejszymi maturzystami na świecie.

— A potem przed siebie. W daleką dal.

— W daleką dal albo w nieskończoność.

— Lepiej w daleką dal.

— Do widzenia, mój mężu.

— Do widzenia, żono.

Zaczęła uciekać pod leśną górę wyprzedzana przez psa, któremu wracało życie.

— Nie ścigaj mnie! — krzyknęła spod szczytu przywalonego gruzowiskiem obłoków. — Muszę wrócić sama!

— Do szybkiego ucałowania, żono!

— Do szybkiego, mój mężu!

Kiedy wbiegł na grzbiet pagóra rozłupanego przez erozję, ona przeskakiwała już tory w falującym od upału powietrzu.

— Musi się odwrócić. Na dobrą wróżbę — szepnął sam do siebie.

Ale się nie obejrzała. Pies leciał przed nią i szczekał zuchwale między ogrodami zaśnieżonymi białym kwieciem.

Wtedy z płytkiego wąwozu wytoczył się rozzwoniony w starym

żelastwie pociąg. Na siwych poduchach pary pędził ku północnym brzegom horyzontu. Puste okna rozmazywały widok tych ośnieżonych ogrodów. I nagle w jednej szybie wagonu zobaczył Witold tę samą, nieruchomą i dostojną, sylwetkę arcybiskupa. W emanującym dziwnym światłem rękach trzymał złożony brewiarz, ale patrzył w bok na uciekający monotonnie pejzaż i na Witka zastygłego wśród ogromnych kolumn dzikiego szczawiu. Pociąg przeleciał, zasłaniając się rytmicznym łoskotem.

— Pewnie mi się przywidziało. A może jednak załatwił coś bardzo ważnego i wraca do swego pałacu w dożywotnią niewolę. Może jednak widziałem arcybiskupa i sam nie wiem, po co go widziałem.

Wtedy z gęstwiny starych akacji wyszedł policjant z naszywkami przodownika. Włókł przewieszony na ręku karabin z zabłoconą kolbą. Miał przekrwione oczy i brudny zarost na spoconej twarzy. Stał koło Witka, wydobyl z kieszeni spodni metalowe pudełeczko o startych krawędziach jak ze srebra.

— Zapali pan? — spytał Witolda.

— Dziękuję. Nie palę.

— Znowu pan czeka na dziewczynę? Ciągle na tę samą?

— Już się doczekałem.

— Wszystko w porządku?

— Nawet lepiej.

Policjant zapalał papierosa obserwując w milczeniu Witolda. Zaciągnął się chciwie dymem, wypuszczał go ustami i nosem i wypuszczał bez końca. Mrugał jednocześnie czerwonymi powiekami.

— Dziwna wiosna — powiedział. — Dopiero w lesie, w polu, pod

gołym niebem widać, jaka to dziwna wiosna.

— Co roku ludzie dziwią się wiosnie, latu, zimie. Widocznie tak już musi być.

— Właściwie to mnie wszystko jedno.

— Niech pan się nie martwi. Wszystko jeszcze będzie dobrze.

— Co będzie dobrze?

— Bo ja wiem? Całe nasze życie.

Policjant strzyknął żółtą śliną na ogromny krzak martwego ostu. Pokiwał głową do swoich myśli.

— Całe nasze życie — mruknął. — Ale hemoroidy pieką jak diabli. No to nie przeszkadzam.

I poszedł kaczym chodem w stronę Puzkarni.

— A ja mam stary mózg. Przedwcześnie postarzałe szare komórki — szepnął nie wiadomo dlaczego Witold. — Może i w naszym bytowaniu są jakieś arytmie jak w pogodzie? Trzeba być młodym. Choćby nawet sztucznie młodym.

Ruszył przez tory do domu. Druty telefoniczne jęczały na niepogodę. Ulicą Dolną telepał się ku miastu dywizjon lekkiej artylerii. Żołnierze plotkowali na jaszczach z amunicją. Wysokie koła armat meły ciężko piasek z końskim nawozem. Przed domem Puciatówien, w sadzie, siedziało na kapach ściągniętych z łóżek znudzone towarzystwo. Patefon stał nieczynny w cieniu porzeczkowych krzaków. Płyta była pęknięta przez całą szerokość. Witold oparł się na płocie inkrustowanym suchymi mchami.

— Ludzie! Co tak smutno? Więcej życia, energii, radości!

Spojrzeli ze zdumieniem. Spocony Lowa obejmował wpół Cecylię, pan

Henryk nie dokończył przegryzania kiszzonego ogórka, Engel zakrztusił się mętym, podejrzanym płynem, który ciągnął ze szczerbatego kubka.

— No i widzicie, wrócił — rzekła Olimpia.

— Marnujecie czas, przysięgam Bogu.

— A co mamy robić?

— Nie wiem. Podskoczyć do nieba, uderzyć piersią w błękit, żeby roztrzaskał się jak głupie lustro. Krzyknąć, żeby gwiazdy posypały się jak szyszki z drzewa. Ludzie, przecież jesteście młodzi!

Lową puścił Cecylię, otarł rękawem koszuli pot z czoła.

— Widzicie, gorączkuje. Nasienie zalało mózg.

— A idźże ty, nie wyrażaj się przy ludziach — Cecylia pacnęła go pieścizotliwie w kark. — Pan Henryk wstąpił do wojska na ochotnika.

Technik drogowy zmarszczył boleśnie czoło.

— Nikt mnie nie chce. Dostałem kosza od panny Olimpji. Pójdę na front walczyć za ojczyznę.

Olimpia miała trochę błędne oczy. Łyknęła tej „krzakówki” przywiezionej przez pana Henryka. Duży, biały biust wyzierał ciekawie na świat z dekoltu kwiecistego szlafroka.

— Jaki kosz, o czym on plecie? Trzeba najpierw coś włożyć do kosza.

— Milcz, głupia — syknęła siostra. — Matka leży z atakiem serca.

— Tobie dobrze, złapałaś gimnazistę, bezwstydna.

— No i co, no i co? Jesteśmy prawie w jednym wieku, prawda, Lowuszka? Spociałeś się, biedaku, rozepnij koszulę, o tak, nie wstydz się, patrz, siostrzyczko, zarośnięty jak niedźwiedź.

Wtedy w głębi domu zajęczała kocim głosem ich matka. Ale nikt na to nie zwrócił uwagi.

— Taka pani przy ludziach odważna — rzekł technik drogowy. — Ech, kokietka, kokietka.

— Niech pan tu usiądzie koło mnie. Będziemy maciejkę wachać.

— Osiem miesięcy przyjeżdżam. Zaniedbałem się w pracy.

— A proszę też rozpiąć koszulę.

— Dlaczego mam rozpinąć koszulę?

— Widzę, że pan spocony, koziołeczku. Ja chcę, żeby pan też się rozpiął.

Chwyliła go raptem za koszulę. On bronił się niezdarnie.

— Ech, jaka piękna skóra. Spójrz, siostrzyczko, zupełnie jak u panienki.

— Boże ty mój, Boże — zakwiliła stara Puciatowa, ukazując w oknie głowę z wielkim płóciennym kompresem.

— Niech mama leży i nie straszy ludzi.

— Przeklinam was, rozpustne klacze.

— No już dobrze, dobrze. Po co te wielkie słowa?

Technik wystawił przez płot swoją przystojną twarz czcigodnego osła.

— Wicio, jak pan myśli, jestem normalny czy nienormalny?

— Bóg raczy wiedzieć. Musi pan sprawdzić.

— A jeśli próba da wynik negatywny? Może lepiej już niech będzie po staremu.

— Nigdy pana nie kusiło, żeby zaeksperymentować?

— Właściwie to specjalnych pokus nie odczuwałem. Ale lata swoje mam i wypada przecież ożenić się jak wszyscy.

— Dlaczego pan uważa, że jest nienormalny?

— Chodź, kochany, za dom, to ci pokażę. Ty jesteś medyk?

— Będę niedługo medykiem.

— No to chodź, muszę to komuś w końcu pokazać.

Witold pchnął furtkę, a pan Henryk chwycił go za rękaw.

— O tam, w cieniu będzie najlepiej. Ty mi prawdę powiesz. Albo nie. Niech już tak zostanie. Pójdę na front, trafi mnie zabłąkana kula. Po co teraz nerwy szarpać. Zaśpiewajmy razem, kochani. Za rok, za dzień, za chwilę może nie będzie nas — podjął nienaturalnie cienkim głosem starą pieśń.

Na drodze pogryzły się raptem konie w zaprzęgu artyleryjskim. Jakaś armata w brezentowym pokrowcu leciała krzywo środkiem rowu. Ścigali ją zdenerwowani żołnierze gubiąc czapki.

— Lew Tygrysowicz, odkopałeś skarb? — spytał Witold.

— Jeszcze nie. Ale za miesiąc-dwa odkopię. Dlaczego pytasz?

— Bo i mnie taki skarb będzie teraz potrzebny.

— Zaczynasz nowe życie?

— Pierwszy raz zaczynam nowe życie.

— Dlaczego mówisz „pierwszy”?

— Bo chyba przez całe życie będziemy zaczynać nowe życie.

— Och, jebi waszu, żeby już szybciej był wieczór, bo skonam. Co ona tam ma między nogami, och, Wićka, Wićka.

— Ja też będę teraz czekał na wieczory.

— A już spróbowałeś?

— Jeszcze nie, ale wiem na pewno, że spróbuję. Czujesz, jak pachnie wiosna?

— Ja tylko ją czuję, swoją sukę.

— Lowka, gdzie ty się podziałeś? Kręci mi się w głowie — Cecylia położyła się na wznak, przykrywając dłonią oczy.

— Tu jestem, ptaszynko. Już biegnę do ciebie.

— O Jezu, Jezu, przebacz nierządnym jawnoгрzesznicom — jęczała za parapetem okna stara Puciatowa.

Wtedy z sadu wyszła raptem Greta. Była trupio blada i mokra od łez.

— Tak mi niedobrze, że chyba zaraz umrę. Słyszysz, Witold?

— Idź jeszcze raz w krzaki i zwymiotuj to świństwo.

— Nie, lepiej umrę. Tu mi niedobrze, a tam będzie jeszcze gorzej.

— W twojej Bawarii?

— W Bawarii albo w Szwabii. Co wyście ze mnie zrobili?

— Patrz i zapamiętaj tę dolinę. Widzisz stare dęby po drugiej stronie rzeki, widzisz miasto jak tama zagradzające dolinę, słyszysz dzwony kościelne i cerkiewne, słyszysz leniwy ruch obłoków, które chciałyby tu zostać na zawsze?

— Pojedź ze mną, Witold. To wystarczy.

— Ja cię kiedyś odwiedzę.

— Kiedy?

— Kiedy już o mnie zapomnisz.

— Otruliście mnie.

— Idź zwymiotować za porzeczeki.

— Och, tego nie zwymiotuję. Otruliście moją głowę, nie, poczekaj, otruliście chyba moje biedne, niemieckie serce. A co mi tam.

Schyliła głowę obsypując spleśniały płot lnianymi włosami. Wysoko w górze przelewały się kłęby muszek. Na drodze ciągle jeszcze przeklinali żołnierze formując na nowo kolumnę dywizjonu.

— Heniutku, niech pan powie jakiś wierszyk — odezwała się kapryśnie Olimpia.

— Piszę teraz białe wiersze.

— Niech będzie biały. Proszę cię, zuczku, zadeklamuj dla mnie.

— Jak ja was nienawidzę.

— Ale powiedz wiersz o miłości. Choćby najmniejszy. O taki, tyci, tyciutki.

Pan Henryk spojrział na wyszczerbiony kubek pod światło, jakby to był kryształowy puchar.

— Miłość, miłość, miłość,

Miłość, miłość, miłość,

Miłość, miłość, dupa.

I popatrzył błędnie w krzywą linię horyzontu.

— To wszystko? — spytała Olimpia.

Puścił z uwięzi głowę. Opadła mu na piersi.

— Absolutnie.

— Fe, jak brzydko, dzidziusiu. Na kogo się obrażasz? Na nas czy na Pana Boga?

— Na matkę naturę. Powystrzelałbym was dzisiaj przy pięknej pogodzie, ale zdałem już pistolet. Nie warto się męczyć. Gdzie tu sens, gdzie tu rym, gdzie kadencyja? — i machinalnie pomacał spodnie.

— Znowu zaczyna — westchnęła Olimpia. — Jak mi łeb pęka. Nie zasnę przez całą noc. Gdzie moje proszki? Ledwie kupię, już giną. Chyba wróble wydziobują.

Na drodze ciągle jeszcze skrzypiały zaprzęga wojskowe. Czasem nieznanemu żołnierz zaintonował dziką, rozpaczliwą pieśń, ale nikt jej nie podchwytował, więc milkł i słuchał poświstywania piasku w szprychach kół.



— Patrzcie, jak krwawo zachodzi słońce — rzekła cicho Greta.

— Jutro wszędzie nowe. Czyste, jasne, wesołe — powiedział Witold. —  
Mamy dopiero dziewiętnaście lat.

Potem wszedł na palcach do domu, cicho ułożył się w łóżku. Stygnące ściany strzykały niegłośnie, gdzieś odzywał się i zacichał dokuczliwy komar. Pachniało walerianą, pachniało bezsennością.

— Wróciłeś, synku? — spytała matka otulona w ciemność. — To dobrze. Wiem, że wszystko w porządku. Modliłam się cały dzień. Tu jest szklanka z ziółkami. Wypij przed nocą.

— Mama myśli, że to pomoże?

Zgrzytnęło wściekle łóżko w bokówce.

— Gadają i gadają, a ja nic nie wiem, nikt mnie nie informuje.

Matka pochyliła się nad Witkiem.

— Dziadek ma się lepiej. Zjadł przed wieczorem talerz rosółu. Kazał sobie okno otworzyć i słuchał słowika, tego, co mieszka w czarnym bzie.

— Przecież nie można wejść do łóżka i przymuszać się do agonii.

— To z delikatności. Nie chce nam robić subiekcji.

— Mamo, ale chyba życie ma w końcu jakiś sens?

Poszukała drżącą ręką jego głowy.

— Chwała Bogu, kiedy tak mówisz. Będziesz zdrowy.

— Chciałbym, żeby to już był wieczór za tydzień.

— Spij. Będzie na pewno wieczór za tydzień.

— Tylko gdzie ja wtedy będę? — szepnął sam do siebie.

W tamtych czasach ludzi terroryzował grzech. Wisiał nad każdym człowiekiem jak drapieżny ptak, czaił się za człowiekiem niczym złowrogi

cień, siedział w środku człowieka na podobieństwo gruźliczej kawerny. Grzech był wszechobecny.

Zgrzeszyć można było myślą, słowem i uczynkiem. Grzechy dzieliły się na powszednie i śmiertelne, na główne i poboczne. Grzechów spotykało się tak wiele, że trudno je było spamiętać. Grzechy unosiły się w powietrzu, tarzały na ziemi, grzechy przenikały każdą komórkę wielkiej planety. Grzechy ohydne jak ludzie i grzechy piękne jak ludzie. Grzechy podobne truciznom i grzechy słodkie niczym odurzające ambrozje. Grzechy potwory i grzechy rajskie ptaki. Istnienie człowieka przesycone było grzechem jak gąbka.

Ludzie zatopieni po szyję w jeziorze grzechów bali się panicznie grzechu. Na krótki moment wyrywali się z tej topieli, by zaraz znowu iść na dno pod ołowianym ciężarem grzechu. To chwilowe uwolnienie, sekundowy błysk bezgrzeszności dawała spowiedź, misterium przrzucenia na barki bliźniego własnych występków, braterskie rozgrzeszenie innego grzesznika. Ale już za progiem kościoła czekało skłębione węzowisko nowych grzechów.

Grzech spędzał sen z powiek, grzech odbierał apetyt, grzech kruszył nawet ludzkie sumienia, choć wydaje się to nieprawdopodobne. Widywano wtedy zbrodniarzy, którzy załamali się pod brzemieniem grzechu i wędrując aż do śmierci po świecie zebrali u ludzi i Boga o wybaczenie. Słyszało się wtedy o rabusiach, co w lęku przed grzechem zwracali ukradzione bogactwa. Spotykano wtedy nawet cudzołózców ofiarujących niebu swoje genitalia z zabobonnego strachu przed grzechem.

Człowiek w owych czasach grzesząc spadał na dno piekieł, stając się kumem i totumfackim diabła, albo wzbijał się świętokradczo do nieba i

zrównywał z Bogiem. Grzech miał skrzydła, grzech miał boską duszę, grzech miał siłę galaktycznego orgazmu.

A potem ludzie raptem z dnia na dzień zapomnieli o grzechu. Grzech przestał być modny. Ukrywał się jeszcze pewien czas w kruchtach kościelnych, na wsi, u prostych ludzi. Aż w końcu chyba wymarł w zapomnieniu i pogardzie.

Teraz ludzie myśleli o zbrodni, mówili o zbrodni, dokonywali zbrodni bez grzechu, zwykle i powszednio, tak jak się je, śpi, oddycha. I w ten sposób świat nasz stał się bezgrzeszny.

Witek zdjął z głowy „batorówkę”. Pachniała jeszcze żydowskim sklepem. Na daszku leżało kilka drobnych kropelek deszczu. Pogładził popielaty aksamit. Zostały srebrzyste smugi, ślady palców. Rzucił ją płasko, jak obręcz „sersa”. Leciała nisko, nad powierzchnią wody. Rozciągnęła się od pędu, padła do rzeki niczym stary rękaw. Rozgorączkowana rzeka chwyciła ją w kręty nurt i powlokła spiesznie w stronę miasta omijając liczne głazy, tkwiące w białych kołnierzach piany.

Koło zakrętu przechodziła w bród rzekę jakaś miejska para. Przyjechali w celach erotycznych i potrzebne im było teraz dogodne miejsce do spełnienia miłości. Ona podniosła wysoko spódnicę, on zawinął nogawki spodni. Walczyli z szybkim nurtem, trzymając się za ręce obciążone dodatkowo trzewikami. Woda zdradziecko wspinała się po nogach, moczyła ubranie. A oni piszczeli, chichotali sztucznie, stremowani oczekiwaniem.

Cieniutki deszcz zaszepotał w liściach olszniaku. Skryty w zaroślach ptak zdychał mozolnie z rozpaczliwym kwileniem. Witold ścisnął powieki i

zaraz je otworzył. Ale oczy były suche. Nie chciały płakać.

— To niemożliwe — szepnął. — Zaraz się obudzę, wszystko będzie dobrze.

Jał wstępować pod tę stromą górę obrosłą przekwitłymi zawilcami. Serce waliło o żebra z zawziętym łoskotem.

— A jeśli już nigdy się nie obudzę?

Niewidoczny deszcz syknął w drzewach. Ogromna kropla wilgoci pacnęła ciężko na stare liście. Zatrzymał się, uniósł głowę.

Lecz na tej platformie nad urwiskiem nikogo nie było. Wysokie źdźbła traw podrygiwały monotonna wstrząsane deszczem.

— Alina — odezwał się półgłosem. — Alina, jesteś?

Wtedy z krzaku kruszyny wyłoniła się głowa dziwnego zwierza. Spojrzały na Witolda wielkie, okrągłe i czarne oczy, wyciągnął się ku niemu długi ryj zakończony rzeszotem. Patrzyli na siebie długą chwilę. Potem dziwny łeb zsunął się w dół i ukazała się nad nim uśmiechnięta twarz dziewczyny.

— Spóźniłeś się pół godziny. Zupełnie przemokłam — rzekła Alina. — Patrz, jaką maskę przywiózł mi ojciec. Prawdziwa wojskowa.

Usiadł ciężko na mokrej trawie. Ona stała nad nim z tą maską przeciwgazową w rękach, maską niczym wielki łeb owada.

— Witek, co się stało?

Patrzył martwo przed siebie. Po drugiej stronie rzeki szło szosą kilku żołnierzy. Jeden z nich niósł na plecach metalowy kołowrotek, z którego rozwijał się czarny drut. Inny, okryty kapuzą z worka, drewnianym, widlastym kijem podtrzymywał rozhuśtany przewód.

— Dlaczego nic nie mówisz?

A on słuchał sam siebie. Krople deszczu ciekły z czoła na rzęsy i zwisały ogromnym ciężarem nad czarną krawędzią horyzontu.

— Nie. To niemożliwe. Ściąłeś się? — zapytała z popłochem.

Witold milczał. Pewnie strzępy różnych myśli jak pióra trafionego kula ptaka leciały mu przez huczącą tętnem głowę. Uśmiechał się niemądrze i nie mógł stłumić tego niemądrego uśmiechu.

— Boże, odezwij się wreszcie. Oblałeś maturę?

Uklękła obok niego, zaczęła bezmyślnie pakować do blaszanej puszki swoją maskę przeciwgazową. Gdzieś za ich plecami charczał ciężko pociąg towarowy.

— Co teraz będzie? — szepnęła powstrzymując drżenie ust.

Przeniósł wzrok na nią. Mokra, biała bluzka oblepiała jej ramiona i piersi. Włosy skędzierzawiły się od deszczu i przypominały opuszczone jaskółcze gniazdo.

— Nie wiem, co będzie — rzekł ochrypłym głosem.

— Może kancelaria szkolna pomyliła? Przecież ty jesteś w czepku urodzony.

— Los albo przypadek. Po raz pierwszy w życiu mnie kopnął. Ja sam w to nie wierzę, ale tak jest.

Żołnierze zatrzymali się na szosie. Ten z workiem na głowie przymocowywał drut telefoniczny do pnia uschniętej akacji. Ich karabiny na plecach wycelowane były ku ziemi, żeby uchronić lufy przed wilgocią.

— Uciekniemy? — spytała nieśmiało.

— Ty wiesz, ile kosztowała moja nauka? Przecież oni harowali od świtu do nocy, żebym mógł ukończyć gimnazjum. Jak mam to powiedzieć matce?

— Skłamałeś?

— Tak, okłamałem wszystkich. Wyszedłem z domu w czapce uniwersyteckiej. A potem wyrzuciłem ją do rzeki. Koniec. I nie ma już żadnego odwołania.

— Mógłbyś zdawać w przyszłym roku jako ekstern.

— Nigdy nie będę zdawać, bo nie dożyję przyszłego roku.

— Czy to moja wina?

— Ani twoja, ani moja. To wina konieczności.

— Jakiej konieczności?

— Żebym ja wiedział. To konieczność, którą mogłem odepchnąć, ale nie odepchnąłem.

— Czy ty mnie kochasz?

— Spójrz, ten deszcz jest czerwony. Krople mieniają się różowo.

— Wiciu, na pewno masz gorączkę. Chorujesz od dawna i nie wiesz o tym wcale.

— Czytałem kiedyś, że czasem spada czerwony deszcz. Ludzie wróżą z tego nieszczęścia i kataklizmy.

— Czy ty mnie kochasz?

— Och, Alina, to teraz więcej niż kochanie. To straszny węzeł zaciśnięty na twojej i mojej szyi.

— Dlaczego zaczepiłeś mnie wtedy? Przecież nie spostrzegłeś mnie przez tyle miesięcy. Mogliśmy się rozejść na całe życie.

— Żałujesz teraz?

— Niczego nie żałuję. Myślę o tobie. Ja jestem gotowa na wszystko.

Ta miejska para biegła trzymając się za ręce ze zbocza dąbrowy po drugiej stronie doliny. Szukali ciągle jeszcze miejsca dla swojej miłości i

nie mogli znaleźć w tym zadeszczonym dniu.

— Co to znaczy? — spytał cicho.

— No właśnie. To znaczy wszystko.

— Zagasła moja gwiazda. Nie mam po co żyć.

— Oboje nie mamy po co żyć.

— Zagasła moja gwiazda. Gwiazda najlepszego lekarza na świecie.

Miałem odkupić niezawinioną winę ojca.

— Daj mi rękę. Posłuchaj. Idzie wojna. Wszystko odmieni. Zetrze z ziemi dotychczasowe życie, posieje nowe. Może warto czekać.

— Nic mnie w tej chwili nie obchodzi wojna. Wytlumacz mi, jak to się mogło stać? Dlaczego Bóg, los, przypadek mnie uderzył w łeb obuchem. Dlaczego tak podle, znienacka, bez uprzedzenia?

— A może warto dalej żyć, przetrwać złe chwile i później z pobłażliwym zdumieniem przypominać sobie te drobne okruchy klęsk i dziwić się, że tyle mogły znaczyć kiedyś i tak niewiele brakowało do ostatecznego kroku.

— Masz rację, mnie toczy ambicja. Jestem śmiertelnie chory na ambicję. Dręczyłbym się bez sensu całe życie.

— Przecież nigdy ci nie mówiłam o ambicji.

— Masz rację. Jestem chory. Jestem chory na maksymalizm. Wszystko albo nic.

— A jeśli to tylko histeria?

— Histeria też jest piękną chorobą. Przynosi tak samo kojącą, cichą, słodką śmierć.

— Co się z tobą stało?

— A co się z tobą dzieje? Dlaczego zatrulaś nas, którzy mieliśmy być

pierwszymi prawdziwymi kochankami od stworzenia świata?

— Zatruliśmy się nawzajem.

— Przyjąłem gratulacje od wszystkich. Matka czeka ze świąteczną kolacją. Rozwiązała chusteczkę, swój drogocenny sejf, i liczy pieniądze, odłożone na uniwersyteckie chesne. Jak to się mogło stać, dlaczego mnie właśnie musiała się przydarzyć taka koszmarna kraksa? Nie, nie dam się zepchnąć do rynsztoka.

Dotknęła chłodną, kruchą dłonią jego mokrych włosów.

— Pójdę razem z tobą na dno.

Szarpnął głową do tyłu.

— Z litości?

— Masz rację. Deszcz jest czerwony. Słońce wyszło zza chmur na zachodzie. Słyszysz, znowu grają te cymbały.

Na drugiej stronie rzeki siał się po brzegach wzgórz cienki, siny dym wysnuwający się z komina starego dworu. Żołnierze już odeszli szosą w pociemniałą zielen Puskarni.

— Ktoś nas podgląda — szepnął.

— Gdzie?

— W tych krzakach leszczyny.

— To Rex. Chodź, cielaczku, pociesz nas. Ale pies leżał nieruchomo w mokrym gąszczu liści i przypatrywał się z natężeniem Witkowi.

— Może tęsknimy do samozniszczenia?

— Nie wiem. Obzarliśmy się literaturą. Jesteśmy pokoleniem zatrutym przez fikcję.

— W ten sposób organizm społeczny przygotował się do wojny.

— Nic mnie nie obchodzi wojna. Boli mnie tylko mój własny ból.



Pod nimi, na dnie urwiska, wzdychała Wilenka. Niosła teraz mętną, burą wodę i szczątki mchów, traw oraz strzaskanych gałęzi. Deszcz szeptał bezmyślnie.

Objęli się szukając ciepła. Spod białej bluzki przeświecała lękliwie skóra jej szczupłych ramion. Spojrzał w oczy jak księżycowe kratery. Poczul gorący oddech na skroni.

— Otrujmy się do końca.

— Co mówisz? — pyta chcąc zebrać myśli.

— Zabijmy siebie nawzajem. Ty mnie, a ja ciebie.

— Nie boisz się całej wieczności przed nami?

— Nie boję się z tobą.

Gwizd lokomotywy kona bez końca pod kamienną ścianą miasta. Psie oczy świecą czerwono z krzaku leszczyny. Jakiś ptak leci ukosem pod nimi, jakby szukał czegoś w wezbranej rzece.

Alina porusza ledwo dostrzegalnie ustami, lecz on domyśla się tych niewypowiedzianych słów.

— Zdobędziesz dla mnie truciznę?

— Mam od dawna przygotowaną dla siebie. Niczym szpieg obcego kosmosu.

— A ja ci podam bezbolesną jak lubczyk. Lepiej jest umrzeć z miłości.

— Tak, lepiej zginąć z kochania. Choćby nawet zmyślonego.

— Wszystko jest zmyślone. Ja ciebie zmyśliłam, a ty mnie zmyśliłeś.

— Roztrzaskamy nasze zmyślenia na brzegu nicości.

— Przyjdę jutro o tej samej porze w białej sukience.

— Dlaczego w białej?

— Weźmiemy przedtem ślub. Tak przecież wymarzyłam.

— Pobierzemy się na zawsze z miłości. Ale ja ciebie prawie nie znam.

— I już nigdy nie poznasz.

— Może poznam, jeżeli Bóg przebaczy.

— Jeżeli jest Bóg, to przebaczy.

Kłęczą naprzeciwko siebie zlane deszczem. Z dołu podnosi się już wolno chłodny wieczór. W starym dworze, w którym nie wiadomo kto mieszka, błyska różowością pierwsze okno. Cymbały dzwonią cichutko jak druty telefoniczne.

— Do jutra, kochany.

— Do ostatniego naszego popołudnia, kochana.

— Do ostatniej naszej chwili.

— Do początku nieskończoności.

Witold biegnie przez łąkę umaczaną w deszczu. Mokre, wysokie trawy chlaszczą go po nogach. Jest mu dobrze i ciepło.

— Nigdy już nie rozpocznę pracy ani jej nie stracę. Nigdy nie zachoruję raptem w mroźną zimę i nie będę mozolnie zdrowiał aż do wiosny. Nigdy już nie pochowam własnej matki ani nie ukołyszę w ramionach nowo narodzonego dziecka. Nigdy nie będę cierpiał i nigdy nie uraduję się brakiem cierpienia. Nigdy nie dowiem się prawdy ani nigdy nie odczuję przejmującej tęsknoty za prawdą.

Wielki pies zwany Rexem biegnie za nim przez łąkę niczym przez mulisty staw i szczeka z rozpaczą.

Wierność do grobowej deski. Donoszą nam ze Lwowa o niespotykanym wypadku przywiązania zwierzęcia do człowieka. Emerytowany urzędnik Izby Skarbowej Bronisław Gniadosz oswoił kruka. Ptak ten codziennie

przylatywał na balkon emeryta i tam spędzał długie godziny na przyjacielskich zabawach z sędziwym gospodarzem. Sąsiedzi informują, że kruk próbował nawet uczyć się mowy ludzkiej. Przed tygodniem emeryt zmarł na zapalenie płuc i został pochowany na miejscowym cmentarzu. Pomimo to wierny ptak codziennie odwiedza balkon okazując rozpacz prawdziwie ludzką.

Chciał przejść nie zauważony przez tory, ale spostrzegli go od razu.

— Witold, nawet się nie pożegnasz? — krzyknął Engel.

Stali całą grupą na rozpalonym blacie peronu. Tylko patefonu brakowało. Zawrócił niechętnie, podchodził do nich bez entuzjazmu.

— Szukamy ciebie od godziny — rzekł Lowa. — Twoja matka powiedziała, że odpicowałeś się z samego rana i przepadłeś. Co ty, do ślubu zasuwasz?

— Daj mu spokój — odezwała się Cecylia. — To już dorosły mężczyzna. Ma swoje sprawy.

Słońce piekło siarczyście, jak zwykle po długotrwałym deszczu. Stary Baum wycierał twarz i łysinę wielką chustką z monogramem wyszytym szwabachą. Środkiem torów szło od miasta dwóch policjantów w zielonych, drelichowych mundurach. Ale czapki mieli takie jak przedtem, okrągłe i granatowe. Przyglądali się leniwie szynom, nad którymi filowało gęste powietrze. Policja przejęła dozór nad koleją.

— Witold, Witold — powiedziała cicho Greta. — Was machts du da?

Stała pomiędzy ogromnymi walizami w płóciennych pokrowcach. Białe włosy zaplotła w warkocz, który niby gruby łańcuch ścisnął jej zmaląłą teraz głowę.

— Wer reitet so spat durch Nacht und Wind... — zamruczał w odpowiedzi.

— Przecież ona wyjeżdża — odezwał się Engel. — Wyjeżdża i nie wiadomo, kiedy wróci.

— Greta odjeżdża?

— Zapomniałeś? Co się z tobą dzieje?

— Spójrzcie, jakie dziwne słońce. Pierwszy raz widzę wyraźny kontur.

Tylko Greta uniosła głowę, żeby popatrzeć w niebo. Ale natychmiast załzawiły się jej oczy od przeszywającego blasku.

— Codziennie to słońce będzie przychodzić do mnie z nowiną od was.

— Księżyc tak samo — uzupełnił pan Henryk. — Księżyc też wędruje ze wschodu na zachód.

— Ma pan rację — szepnęła Greta. — Ale chmury tu przychodzą zawsze z zachodu.

— Cśś — syknął Witold. — Posłuchaj jeszcze naszego skowronka. Ja także posłucham.

Umilkli raptem, a w przeraźliwym błękicie coś brzęczało cicho jak daleki dzwonek ministranta.

— Chłodną rękę mi daj, spójrz mi w oczy i powiedz — zanucił fałszywym głosem technik drogowy.

— Już nic nie powiem — rzekła z determinacją Greta. — Zobaczycie, rozpiję się tam „kornem” albo monachijskim piwem, zeskanalizuję się i w końcu przymkną mnie w solidnym, niemieckim domu wariatów.

— Was sagst du, mein Schwanchen? — zatroszczył się stary Baum.

Pod Nową Wilejką budził się stłumiony łoskot pociągu. Ramię semaforu podniosło się z jękliwym zgrzytem. Witold spostrzegł, że Greta już od

dłuższego czasu patrzy na niego ściemniałymi oczami. Chciał się uśmiechnąć i ona wtedy raptem wyciągnęła do niego długą, wąską dłoń z błękitnym hieroglifem prześwitujących żył.

— Greta, chcesz? Przyjdę do ciebie.

— Kiedy? — teraz ona uśmiechnęła się z niedowierzaniem. — Kiedy przyjdiesz?

— To od ciebie zależy. Mogę przyjść jutro albo za miesiąc czy za rok. Tylko się nie przestrasz, bo nadejdę nocą. Chcesz?

— Przemęczony egzaminami — zauważył na boku pan Henryk.

Ale ona uśmiechała się powstrzymując gwałtowne drżenie kącików ust.

— Oczywiście. Będę każdej nocy czekała. Przybijmy interes.

Ujął jej rękę, a potem podniósł do warg.

— Nie tak. Co ja z tobą mam.

Objęła go nagle, pocałowała niezręcznie, jakby zanadto obmyślonym gestem.

— Rozwinęła się tej wiosny — skomentował znowu technik chwytając równowagę. — Szkoda, że wyjeżdża.

Z oszalałej, spuchniętej od soków zieleni wyczołgał się pociąg dalekobieżny. Nabierał teraz krótkiej szybkości, bo jechał do stacyjki z niewidocznej góry. Przyglądał się oczekującym jak ślepe zwierzę latarniami zamalowanymi na niebiesko.

— Ona też spakowana — rzekł niegłośno Lova.

— Kto?

— Ta druga. Ordynans wnosił przez cały ranek walizy do samochodu.

Nadjeżdżał pociąg pchając przed sobą usypisko obłoków przetkanych dymem. Oderwane kęsy pary spływały na łąkę ze szpalerem choinek i tam

błądziły lękliwie wśród rozżarzonych krzaków jałowca.

— Kiedy odjeżdża? — spytał Witek.

— Dzisiaj na noc. Uciekają do Krakowa albo może raczej do Lwowa.

— A wasz cesarski skarb?

— Nie warto teraz odkopywać. Odkopujemy po wojnie.

Pociąg już stał zwalniając zgrzytliwie hamulce.

— Mein Gott — Stary Baum biegał wzdłuż wagonu z oknami pomalowanymi na niebiesko. — Du bist verruckt, Schwanchen.

— A co mi tam! A co mi tam — powtarzała Greta rozmazując łzy oślepiająco białą dłonią.

— Szybciej walizki, bo zostaniecie! — krzyknęła Olimpia.

— Rany boskie, jakie ciężkie — stękał pan Henryk. — Co oni wywożą?

— Złe przeczucia i pięć pudów lęku. Pamiętaj o Olimpi, która zawsze ci była życzliwa. Przyślij widokówkę kolorową, bo bardzo lubię otrzymywać listy.

— A co mi tam — szepnęła Greta już z drzwi wagonu o zaciemnionych oknach.

— Tak niedawno był maj, byliśmy tak szczęśliwi, uśmiechnięci i tkliwi. Któż te dni znów ożywi? Żeby cię wilcy, poderwałem się od tych cholernych waliz. Gudbaj, doswidanja.

— Wracaj szybko, dziecko. Będziemy tu na ciebie czekać.

— Znajdziemy ci prawdziwego kawalera po wojnie.

— Idź, nie kracz — siąknęła nosem Cecylia. — Komu potrzebna wojna. Nie będzie żadnej wojny. Postraszą, postraszą i rozejdzie się po kościach. Wracaj, biały kurczaczku.

— A co mi tam — rozbeczała się Greta.

Pociąg drgnął do tyłu. Wtedy Witold skoczył raptem w ciernik parę przed lokomotywę.

— Zwariował! Trzymajcie go!

Mokry dym szczytnął w oczy. Czerwone bufory zagroziły drogę. Ominął je w ostatniej chwili i był już po drugiej stronie. Wielkie koła buksowały za plecami z dzikim rżeniem.

— Udało się — szepnął. — Na dobrą wróżbę. Ale po co mi dobra wróżba? Niech będzie dla nich. Dla tych, co zostaną.

Zbiegł do szpaleru równo przyciętych sosenek, które ochraniały kolej przed śniegami. Pociąg wspinał się już na kolejne niewidoczne wzgórze. Biała piana pary leciała ze skarpy rumianej od koniczyny.

— Czy nie żal tego wszystkiego? Lęków, niepokojów, drobnych radości, chwil głupich i wesołych, bólu, zmęczenia, codziennego hazardu i codziennej niespełnionej nadziei? Na pohybel. Na pohybel słabości.

Pociąg z niebieskimi szybami, które przypominały okulary niewidomych, pociąg z Gretą zanurzał się już w przeraźliwie zielony wąwóz pełen łoskotu jak przyspieszone bicie serca.

Później biegł przez łąkę kolorową niczym paleta, aż zatrzymał się u stóp tego urwiska glinianego ze szczątkami podmytych krzaków i zwiędłych traw, które boleśnie schylone patrzyły w porywisty nurt Wilenki pędzącej na łeb, na szyję ku miastu.

A ona czekała na owej darnistej platformie przypominającej bocianie gniazdo. Stała w białej, długiej sukience, z kwiatami rumianku we włosach. Leciutki wiatr poruszał nieśmiało lśniąca materią sukni. Dookoła tremolowały chóry wszystkich ptaków zamieszkałych w tej dolinie.

— Dzień dobry — powiedział wspinając się do góry. Ona wyciągnęła

rękę, żeby mu pomóc.

— Witaj, kochany. Nie złożysz mi życzeń? Dziś dzień moich urodzin.

— A co mogę ci życzyć?

— Żeby spełniło się moje ostatnie życzenie.

— Niech się ziści twoje ostatnie życzenie.

— Siądź tu, obok mnie.

— Zabrudzisz sukienkę.

— Nie będzie mi już nigdy więcej potrzebna.

Usiedli zwrócenii twarzami ku rzece, łąkom, skotłowanym pagórom zieleni, czerwonym dachom francuskiego młyna i zbiełatym ruinom Puzkarni. Na łące pasły się dostojne bociany, z boku przy krzakach kicał ciekawy zając, który stawał co chwila słupka i słuchał czegoś chciwie. Nad wartką powierzchnię wody wyskakiwały żerujące ryby. W powietrzu migotał radosny upał pierwszego dnia lata.

— Jesteś gotowa?

— Tak. A ty?

— Też jestem gotowy.

— Może jednak żałujesz?

— Nie. Niczego nie żałuję.

Stadka kolorowych motyli bawiły się nad urwiskiem ścigając gorące sztychy słońca, którym udało się przebić przez gąszcz nowiutkich liści drzew szumiących śpiewnie, po białorusku.

— Jak pięknie dziś wyglądasz.

— Już nigdy bym piękniej nie wyglądała. Obejmij mnie.

Otoczył ją ramieniem, wyczuł pod jedwabiem sukni delikatną miękkość nagiego ciała.



— Pocałuj mnie.

Pocałował ją w usta, a ona rozwarła raptem wargi i zapadł się w gorąco pachnące miętą, rumiankiem, rannym przebudzeniem.

— Kochaj mnie — zabełkotała opadając na szorstki, srebrny mech.

I uczył się po raz pierwszy w życiu kochania. Znalazł ją nagą w chłodnym śniegu sukni. Ogarnął dłońmi złociste piersi, wypełnione wibracją krwi. Poczłł smak skamieniałych w oczekiwaniu sutek, smak piołunu wygrzanego na słońcu. Zobaczył zakłęśnięcie brzucha pełne gorących cieniów. I odkrył tę tajemnicę wydaną bezwstydnie światłu pierwszego dnia lata.

Wtedy zahuczała wszystka krew jak wielki wiatr. Zaczłł się wdzierać ponaglany instynktem w tę ogromniejącą słodycz, zaczął się wbijać w ten bolesny opór, zaczął rozsadzać tę olbrzymią w niemożności rozkosz.

A ona szeptała ochryple jak przez źdźbła trawy:

— To nic.

— To nic.

— To nic.

I pomogła instynktownie, wchłoneła go raptem krzyknłwszy mu boleśnie w usta. I zaczęli lecieć stromym lotem przez łoskot wiatru, przez elektryczność chmur, przez ogień eksplodującego słońca.

— O Boże straszliwy, o niebo przekłte, niech już tak będzie na zawsze, niech już tak będzie na wieczność — rzeziła obcym, dzikim szeptem.

A potem ocknął się i patrzył ze zdziwieniem na jej mokrą twarz. Popielate pasemko włosów czochrało się o skroń. Usta drżały ledwo dostrzegalnie pod brzemieniem kropelki niebieskawej śliny. Szło od niej gorąco zmęczonego ciała.

I nie zatroszczył się o jej przeżycie, bo to było jego pierwsze przeżycie. Leżał zdumiony, słuchając siebie, gadania roztargnionej rzeki, brzęku cymbałów, które obudziły się podczas ich miłości.

Drzewa w świeżych liściach pochyliły się nad nimi, ciepły powiew przyniósł całą naręcz woni kwiatów i ziół, co rosły wtedy w każdej dolinie, obłoki zatrzymały się ciekawie na brzegu urwiska.

Leżała obnażona, patrzyła bez ruchu w sine niebo. Zakrył ją nieśmiało skrajem sukni.

— Nie warto się już wstydzic — rzekła cicho.

— Nie warto się już wstydzic — powtórzył. — Dlaczego Sylwek jest na zesłaniu?

Przyłożyła policzek do jego ramienia. Ciepła, wysychająca łza połączyła na moment ich ciała.

— Dawał korepetycje dziewczynie z liceum. Uczył polskiego, historii, biologii i zakochał się w końcu. A to była Żydówka.

— Kiedy ludzi nic już nie będzie dzielić?

— Zawsze coś będzie dzielić. Może zniechęcenie, nuda albo brak wzajemnej ciekawości.

Gdzieś w głębi miasta zajęczał wysokim gwizdem pociąg. Pewnie ten sam, który zabrał Gretę i starego Bauma.

— Jesteś gotowa?

— Tak — powiedziała smutno.

— Możemy się jeszcze rozmyślić.

— Odejdźmy teraz, póki jesteśmy piękni. Bo niedługo i tak by się zaczęło długotrwałe umieranie.

— Ale przecież czuję, że coś jest nie tak.

— To nie dlatego.

— A dlaczego?

— Zejdźmy nad rzekę. Będzie potrzebna woda.

Pomógł jej wstać. Suknia spłynęła ku ziemi zakrywając kolana. Na plecach zeszpeciły ją gęste, poprzeczne fałdy i wczepione w jedwab siwe nitki mchu. Zaczęli schodzić w dół, zaczęli chwytając się młodych, wilgotnych od soku gałęzi krzaków. Wtedy zobaczył ze ściśniętym sercem na jej sukni niewielkie czerwone plamki jak po rozgniecionych borówkach. Złowił w powietrzu jej rękę pachnącą igliwem i pocałował gorące wnętrze. Spojrzała ze zdziwionym uśmiechem. Wtedy po drugiej stronie rzeki zarżał koń. Pędził znarowionym galopem przez łąkę, przez kopce wiklin, wpadł na szosę i dzwoniąc kopytami o kamienie bruku pognał w stronę miasta.

Zeszli na brzeg pełen wysokich kolorowych kwiatów woniejących miodem i letnią nocą. Tysiące muszek uwijało się nad kielichami. Łątki, niczym dwupłatowe hydroplany, ślizgały się po rzece. Wileńka podniosła głos, brzmiała uroczyście jak fisharmonia.

Ona uniosła suknię i weszła do płytkiej wody. Witold zrzucił odświętne półbuty czyniąc to samo. Stali na śliskich kamieniach, a szybki nurt łaskotał ich po nogach.

— Mam to w opłatku — powiedziała otwierając dłoń.

Zobaczył okrągły pojemniczek jak biały kamień warcabowy.

— Ja ci przyniosłem w poziomkach.

Pokazał kubeczek, którym zawsze pił ranną kawę, kubeczek pełen teraz zlepionych niby cukrem jagód. Ciągle jeszcze dręczyło go przeczucie, że coś się stało nie tak, jak trzeba. Dopiero w tej chwili, pośrodku rzeki,

spozstrzegł jej bladość. Wydłużyły się jej rysy, pociemniały dziwnie oczy i nie były już podobne do kraterów po słonecznej stronie księżyca.

— Pożegnamy się najpierw?

— Będziemy mieli dużo czasu na pożegnanie.

Miał pewnie ogromną ochotę, żeby spytać, czy to zaboli i jak mocno zaboli, lecz po długim milczeniu szepnął tylko:

— Kto pierwszy?

— Mogę być ja.

— Nie. Błagam, ja. Przecież jestem mężczyzną. Jeszcze jestem mężczyzną.

Uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie. Długie, popołudniowe cienie przegradzały już rzekę, która odzywała się bulgotliwie w podmytych karczach, w wypłukanych skałkach, w topniejących nawisach rudej gliny.

— Dobrze. Ale chciałabym sama ci podać.

— Może lepiej, żebym ja. Jeśli to grzech, wezmę na swoje sumienie.

— Niech to będzie z moich rąk, mężu.

Podszedł bliżej w piwnej wodzie z rozwianymi włosami wodorostów. Otworzył usta i czekał jak na komunię. Ten sam popielaty lok szamotał się bezradnie po mokrej skroni. Spojrzała mu w oczy i drżącymi palcami położyła na języku biały krążek smakujący wigilijnym opłatkiem. Mimo woli zamknął powieki.

Wtedy ona schyliła się, nabrała wody w złożone dłonie. Pił wodę, pachnącą leśnym chłodem. Wypełnione złotym blaskiem krople leciały z jej palców do ciemnej rzeki.

— Nie znaleźliśmy monety, od której się wszystko zaczęło — powiedział ścierając z twarzy i z szyi strużki wody.

— Teraz już nam także niepotrzebna. Daj mi swój kubeczek.

Uniosła go do warg, zaczęła sypać omszone bielą poziomki w otwarte usta. Wtedy on nabrał wody do dłoni, żeby mogła popić.

— Pierwsze poziomki — uśmiechnęła się przełykając garstkę jagód. — Skąd wiedziałeś, że kocham poziomki?

— Myślałem, że tak będzie lepiej, kiedy sam nazbieram.

— Chodź, wyjdźmy na brzeg. Niech rzeka zostanie bezgrzeszna.

Położyli się na kwiatach kłujących drobnymi, niewidocznymi kolcami. Obłoki o wyzłoconych przez słońce rufach odbiły od horyzontu i popłynęły na północny-wschód ku Arktyce.

— Obejmij mnie — szepnęła.

Wsunął ramię pod jej bezbronną głowę w promieniach aksamitnych włosów.

— Pocałuj mnie.

Dotknął mokrymi od rzecznej wody ustami jej zimne wargi. I poczuł nagle głupie, ślepe, bezmyślne pożądanie. Zobaczył wyczynającą z dekoltu pierś, pierś już wyzutą ze wstydu, pierś o zmalanej ostatnim łękiem sutce.

— Chyba nie będziemy cierpieć — powiedziała mu cicho do ucha. — Zaśniemy i nigdy się już nie obudzimy.

Boża krówka szła z namysłem przez białą suknię, która była dla niej pewnie wielką śnieżną pustynią.

— Gdzie jest prawda, a gdzie nieprawda w tym, co przeżyliśmy?

— To już nie ma znaczenia, mój mężu.

Biedronka wspinała się teraz na pierś ściętą przedwiecznym chłodem. Załomotało serce Witoldowi i chciał wciągnąć dziewczynę pod siebie, rozdrzeć ją na pół jak przedtem.

— Co się stało?

— Odczuwam chucie, moja żono. Zadałaś mi lubczyku?

Uśmiechnęła się wolno i nie do końca. Patrzyła niewidzącymi oczami w niebo, które zdawało się dzwonić szklanym głosem. Ale to tylko kościół przypominał, że czas na wieczorny Anioł Pański.

— Już za późno. Żegnaj. Ja chyba odchodzę.

Poszukała jego ręki. Zacisnęli palce na swoich dłoniach.

— Żegnaj, kochana. Dziękuję ci za wszystko. Dziękuję ci za śmierć.

— I ja ci dziękuję. Żebyś mógł wiedzieć, jak cię kocham: Jak cię kochałam.

— Mimo wszystko?

— Za wszystko.

Nad ich głowami śpiewały żałośnie komary. Czasem przeleciała ważka z ogromnym, mechanicznym furkotem skrzydeł. Szepnęła raptem gorliwie wierzba smutnymi liśćmi. A przez krzaki i wysokie trawy płynął mocny zapach rumianku, czemborku, dzikich porzeczek.

— Słyszysz mnie jeszcze? — szepnął.

— Słyszę z bardzo daleka. Już za chwilę wszystko będziemy wiedzieli.

— Jeśli jest co wiedzieć.

— Teraz to i tak wszystko jedno.

— Spij, kochana moja.

— I ty śpij szczęśliwie, mój kochanku.

Witold budzi się powoli, na raty, kolejno przyswaja nudny półmrok jesiennego dnia, znajome sprzęty jak domowe zwierzęta i ćmienie bólu w głębi bebeczków. Ten ból nigdy nie zasypia, stale czujny, natrętnie obecny,

skłonny do agresji.

— Gdzie to ja byłem? — pyta sam siebie patrząc na czarne włosy pajęczyn huśtające się w tym miejscu, gdzie ściana spotyka się z sufitem. — Znowu byłem tam, gdzie mi dobrze, gdzie zawsze skradam się we śnie, w pamięci, w raptownej tęsknocie. Dobrze jest uciekać przed codziennym trwaniem w jakąś wymyśloną przyszłość, w nie spełnione nigdy warianty losu, w odurzenie rozwydrzonej wyobraźni, ale najlepiej jednak pójść znajomą drogą wstecz, wrócić do starego gniazda, wmieszać się między ludzi, którzy nie znają jeszcze swego przeznaczenia, przebrać się w skórę młodości, przeinaczyć wypadki i zdarzenia, zanurzyć się w tajemniczym, niepokojącym tunelu praprzyszłości nie szukając sensu, logiki, usprawiedliwień, pragnąc jedynie szybko mijającej godziny ukojenia.

Witold zapala lampę, która skwapliwie przemienia szyby w mętne lustra poznaczone ospą kropeł jesiennego deszczu. Naciska klawisz czarnej skrzyneczki tranzystorowego aparatu. Słyszczyć fortepianowy sygnał radiostacji.

Bez zdziwienia przygląda się swemu odbiciu w lustrze. Ta twarz to natrętny towarzysz codzienności. Obcuje z nią już od rannego golenia. A jeszcze przedtem mignęła w nocy na czyimś obcym tułowiu, w czyjejś złej intencji. Potem w ciągu całego dnia ta twarz czyha przy każdej okazji. To wyskoczy z lustra w sklepie i patrzy na Witolda z tępą dobroduszością i z jakimś idiotycznym przeproszaniem. To zerknie chytrze z uskoków wielkich wystaw ulicznych. To chwyci za gardło jakimś przypomnieniem, gdy pokaże się nałożona na rysy przypadkowo spotkanego przechodnia.

Co przypomina ta natrętna twarz, od której się nie można uwolnić? Przypomina ona jakiś ogród bujny, który czas i złe losy przemieniły w

ugór.

Trzeba żyć z cudzym, obrzydliwym ciałem. Z ciałem, które budzi wstręt jak cielesność obcego człowieka. Jakieś brązowe plamki wypełzły na skórę przedramienia, oblepiły wierzchy dłoni. Nogi zarosły żylakami niczym łodygami dzikiego powoju. Galaretowy tłuszcz owinął brzuch, w karbowanych fałdach przetacza się w kierunku piersi, pleców, pośladków. Ohydne są wszystkie stare ciała, ale własne jest najohydniejsze.

Ten ból ożywił się natychmiast, ucieszony powrotem do świadomości. Zaczyna swoją pracę jak kornik. Z początku na drugim biegu. Ale potem wrzuci trzeci, czwarty, w końcu włączy ów nadbieg niemożliwy do zniesienia, nadbieg bezlitosny, brutalnie domagający się morfiny. Ale morfiny już nie ma. Żaden lekarz w mieście nie chce wypisać recepty. Znają już te płaczliwe telefony Witolda o północy albo nad ranem. Trzeba cierpieć, mówią, należy oczekiwać poprawy. To przecież tylko owrzodzenie żołądka. Prawda, że wycięto trzy czwarte jelit. Ale bóle są zapewne refleksowe lub coś z nerwic. Trzeba czekać.

Lecz Witold, choć wie, nikomu tego nie mówi, że tam w środku, pomiędzy resztką kiszek, żyje drapieżnik okrutniejszy niż pirania. Kapryśny, wściekły, zachłanny, zaatakuje w sobie tylko wiadomym momencie i umęczy na śmierć.

Za oknem dogorywa przedwcześnie dzień. Puste gałęzie gmerają sennie w niskich brzuchach chmur, którym nigdzie się nie spieszy. Deszcz od czasu do czasu zacina gorliwiej w szyby. Wielki gmach, niczym gigantyczna bazylika, schował iglicę w mokrej mgle i drzemie okryty szarym puchem pluchy.

— Nie będzie już atrakcyjnej życiowej pointy. Nie doczekam się jej



nigdy — mówi Witold podnosząc się z tapczanu, wiecznego barłogu, i wchodząc między sprzęty, których jest za dużo na dzisiejszy byt. Dogorywają pokornie razem z nim. — Całe życie przeleciało bez point, a nawet nie zbliżało się do kulminacji. Takie pół-życie. Połowiczne klęski i połowiczne zwycięstwa. Nie za dużo, nie za mało. Niezbyt smutno, niezbyt wesoło. Bez dna i bez sklepienia. Tylko na koniec coś mocniejszego, bardziej wyrazistego i dramatycznego. Ten ruchliwy, energiczny, samolubny gość rozwieleniony we wnętrznościach. Nie wytrzymam już następnej nocy.

Na starym fotelu leży wielki kot zwinięty w pręgowany kłęb, żeby nie uronić ciepła. Otworzył jedno oko i patrzy obojętnie na swego pana. On jest milczącym, bezmyślnym świadkiem resztki życia Witolda. Bez zainteresowania słucha jęków nocnych swego właściciela, z nudą w pysku przyjmuje monologi krótkich momentów nieuzasadnionego optymizmu. Ten kot drzemie już piąty rok, bezgranicznie ufny w swoje życie pozagrobowe. Ten kot wyraźnie chce przeczekać chwilę bezsensu, którą mu ofiarowała nie wiadomo po co natura.

— Kogo by tu dziś odwiedzić, Emanuelu? — powiada Witold do swego fałszywego przyjaciela, który z wyniosłą niechęcią zamyka to obojętne oko. — Nie warto nikogo odwiedzać. Nikt mi nic nie powie, czego bym sam nie wiedział. Nikt mi już teraz nie pomoże. Zostałem sam na sam. Ale z czym zostałem sam na sam? Jak by to nazwać, Emanuelu? Może z ostatecznością? Ostateczność to pojemne słowo. Czego w nim nie ma? Prawdziwe rizotto. A może wybierzemy się do mojej doliny? W tym wariacie na jawie, wiesz, którym, drogi, tępy, samodurze?

Witold podnosi słuchawkę telefoniczną. Odzywa się sygnał. Więc aparat

działa. Nakręca dwie cyfry i po namyśle odkłada słuchawkę. Gdzieś za trzecią ścianą płacze dziecko, wrzeszczy dynamicznie, z przejmującą pazernością, właściwie zwycięsko.

— Nie pogardzaj mną, drogi Emanuelu. Nie jestem rozhisteryzowanym, przedwczesnym starcem, który swoimi hemoroidami mierzy świat. Nie zatruwam otoczenia swoim kisłym smutkiem. Od nikogo nie wymagam, żeby jęczał razem ze mną. Wręcz przeciwnie, Emanuelu. Z biegiem czasu wyrobiłem w sobie poczucie humoru, wyciosałem takie krzepkie hołoble, które niczym bufory oddzielają mnie, a zatem tworzą dystans. Ja pełnę w dystansie. Więc wszystko w porządku. Ale lepiej byłoby jednak po cichu, nie robiąc subiekcji, skonać raptem.

Witold nakręca numer zegarynki. Spozstrzega przy okazji, że paznokcie nie wiadomo dlaczego pękają podłużnie, a przy końcach kruszą się jak wafle.

— Piętnasta dwadzieścia siedem, piętnasta dwadzieścia siedem — powtarza żeński głos ze szkolną artykulacją.

— Emanuelu, przecież widzę, że mną gardzisz. Błagam, ja też sobą gardzę. W tej chwili, co prawda, trochę mniej, bo coś mnie już ugryzło w wątrobę albo w jelito grube i czuję, że zaraz się zacznie. Mój los jest jednostkowy, jest po prostu przypadkiem statystycznym i dlatego, Emanuelu, nie mam śmiałości uogólniać. Pragnę nawet swoją pozycję wykreślić z ogólnych rubryk, żeby nie psuć wymowy statystyk. Emanuelu, jesteś leniwy i nie zechce ci się towarzyszyć mojej osobie w dziwnej wędrówce na początku nocy. Ale może ruszysz ze mną duchowo, to znaczy jaźń twoja podąży ze mną w pogoni za skromną przygodą. Chryste, jak mnie bierze. Połknąłbym mielone szkło, żeby tylko przestało. Ale się

już nie narzucam, Emanuelu.

Kot wyciągnął przednie i tylne łapy, rozczapierzył krótkie palce z kabłąkowatymi pazurami. Otworzył pysk w beznadziejnym ziewaniu, a fizjonomia jego na błysk chwili przybrała wyraz niewiarogodnej, bezwstydney przebiegłości.

Witold nakłada krótki brązowy płaszcz ortalionowy, odnajduje czarną czapkę skórzaną. Na koniec z przyzwyczajenia bierze tranzystor.

— Wyłączymy jak zwykle na wszelki wypadek elektryczność, zamkniemy wodę. Jak te graty zestarzały się. Giną od nieużywania. Aha, jeszcze ty, Emanuelu. Powinieneś mieć zapas, żelazną porcję na wszelki wypadek.

Otwiera dwie konserwy z pasztetem dla dzieci i wygarnia mazistą zawartość na talerz z jakimiś zaschniętymi resztkami. Kot pojawia się pod ręką, zgięty przymilnie w kabłąk, nagle rozmruczany miłośnie. Obwąchał dyskretnie i już to zakopuje krzywą łapą z wyraźnym rozczarowaniem.

— Więc żegnaj, Emanuelu — powiada od drzwi Witold. Stoi chwilę, jakby czekał na dzwonek telefonu. Ale telefon umarł już dawno, nawet nie wiadomo kiedy. — Może się zobaczymy, a może się nie zobaczymy.

Witold schodzi na dół wąską i ciasną klatką. W którymś mieszkaniu smętni się Beethoven nadawany przez radio. Wiatr, co wyczekał się pod drzwiami, wpada na schody z histerycznym hałasem pchając przed sobą kupę suchych i mokrych zarazem liści.

Na ulicy przed tablicami upamiętniającymi zamordowanych podczas wojny szamoczą się ogienki plastikowych zniczów. Ten sam wszechobecny wiatr zrywa z patyczków biało-czerwone chorągiewki. Harcerze w przemoczonych mundurkach trzymają wartę obok tablic

wykutych w kształcie wojskowych krzyży.

— Już więcej śmierci jest za mną niż przede mną — mówi Witold otulając się śliskim, zimnym jak pleśń ortalionem. — Właściwie wszystka śmierć już poza mną. Iluż bliskich, przyjaciół, znajomych zostawiłem w ciemności za sobą. Mądra jest śmierć odkrywcy, dobra jest śmierć męża stanu, piękna jest śmierć żołnierza. A moja śmierć jest tylko dla mnie potrzebna.

W oknie wystawowym sklepu migocze rozpaczliwie aparat telewizyjny. Posępny obraz jakichś zmokłych grobów i rozhuśtanych drzew walczy beznadziejnie z zakłóceniami, które w końcu zwyciężają.

— Pójdziemy, Emanuelu, jeśli tylko zechcesz, nad rzekę, w ten wielki wąwóz wypełniony szeptaniem deszczu i skargą martwych liści miotanych przez złe moce jak ludzie.

Gdzieś w chmurach albo ponad nimi huczy odrzutowiec, który pewnie nie może wylądować w taką pogodę i krąży trwożnie niczym ptak zagubiony we mgle. Przed knajpą moknie kilku alkoholików bez gotówki.

— Warto się z kimś pożegnać. Nieładnie odchodzić bez słowa.

Właśnie zbliża się przekupka z naręczem białych chryzantem i koszem stearynowych lampionów.

— Do widzenia pani — Witold uchyla grzecznie skórzanej czapki.

Przekupka spogląda chytrze, coś kombinuje, a później odkłania się na wszelki wypadek. Pod wiatr sunie tramwajarz otulony barankowym kołnierzem.

— Do widzenia panu.

— Idźże ty szwancu dorszowy.

Tramwajarz ogląda się jeszcze ze złością. A Witold już czuje, że to

ścierwo zaczyna wdrapywać się po wnętrznościach do góry aż pod serce. Przed nim schody zbiegające ku rzece. Harcerzyki śpieszą się na wartę. Łomoczą butami o betonowe stopnie.

— Do widzenia, dzieci.

— Dobranoc, pchły na noc.

I już uciekają w mokrą czerń parku chichocząc radośnie. Witold naciska guzik tranzystora. Kilka stacji walczy o pierwszeństwo. Odzywa się raptem wśród nich kukułka. Nie, to nie jest kukułka. To krzyk jakiegoś egzotycznego instrumentu.

Na dole przyjmuje go nocna cisza. Słysząc tylko bełkotanie niedalekiej rzeki, taki sam monotony szum jak wszystkich rzek świata.

— Już tyle lat pędzi niezłęczona przed siebie — szepcze Witold. — Tam w górze jest ten drewniany kościół z umarłą kobietą na katafalku. A po lewej, w tej nieprzeniknionej wodnistej czerni brzęczą cymbały jak obudzony późną jesienią komar. Chwileczkę, Emanuela, tutaj powinien być nasyp kolejowy. Wejźmy na tory, którymi wszyscy odjeżdżali w świat.

Wspina się po stromym zboczu obsypanym szutrem. Czepia się wątłych, chorych traw zjedzonych przez nędzę. Już jest na szczycie, sam z niebem jak lodowiec i z kąśliwym wiatrem, który nie przynosi żadnych woni.

Drżą nogi, trzęsą się ręce od tego bólu, który rośnie w środku niczym ogromne wilcze wycie. Zdejmuje czapkę i klęka pomiędzy metalowymi szpałami. Wiatr chwyta zimną garścią resztkę włosów. Podniośle grają organy. Jan Sebastian Bach wdziera się do nieba w przerażających spazmach.

— To się dopiero zaczyna czy już się kończy? — pyta Witold wkładając

skostniałe palce do ust jak kiedyś, jak nie wiadomo kiedy.

Wtedy szyny odzywają się rytmicznym stukotem i jest w tym niefrasobliwość taneczna. W czerni, która może być opuszczoną doliną albo gęstwą skrytego w deszczu miasta, odzywa się natarczywe beczenie lokomotywy elektrycznej.

Witold dotyka poufale zapadniętego, tchórzliwego brzucha.

— Zabijemy cię z premedytacją, łajdaku. Ja cię unicestwię, zanim pożresz mnie do końca. Tego nie przewidziałeś? Słyszysz, oto zbliża się twoja śmierć. Gna na spotkanie z tobą w wesołym pokrzykiwaniu osi, w lekkomyślnym pędzie, w radosnym wyścigu z wiatrem. Tego nie mogłeś przypuścić? Położymy cię na srebrzystej szynie, przyciśniemy serdecznie sobą, żebyś nie uciekł w ostatniej chwili. Żegnaj, parszywcze, żegnaj nieubłagana, samolubna wszo, żegnaj ostatni i jedyny mój fatalny przyjacielu.

Zobaczył przed sobą oczy jak nieznana, wymarła planeta. Ale to były oczy kota Maharadży, który usiłował, polizać włosy na skroniach.

— Co się stało? — zapytał.

Ktoś siadł ciężko w nogach łóżka. Poznał Lowę w zielonym mundurze Przysposobienia Wojskowego.

— Wsio normalno. Żyjesz.

— A ona?

— Ona też żyje.

— Gdzie?

— Leży w Wilnie w szpitalu garnizonowym. Witold zamknął oczy.

— Chwała Bogu — powiedział cicho. — To znaczy, że Bóg istnieje.

Lowka pochylił swoją wielką kościstą twarz pełną czarnych piegów. Z gęstych, kędzierzawych włosów sączył się zaduch owczej wełny.

— Może Bóg istnieje. Ale ty jej pożałowałeś, ona ciebie pożałowała. I znalazł was Wołodko nad rzeką śpiących jak zabłąkane dzieci w bajce.

— Nieprawda! Dlaczego kłamiesz! — krzyknęła matka. — Oni najedli się durnopianu przez omyłkę i zasnęli. To przypadek, zwykła dziecinna głupota.

Stała pośrodku pokoju w czarnej sukni ze starym wiśniowym różańcem w splecionych dłoniach. Spod ciemnej chustki wymykały się strąki zlepionych, posiwiałych włosów.

— Durnopian jeszcze niedojrzały — mruknął Lowa. — Ale proszę bardzo.

Dopiero teraz Witold spostrzegł na stoliku obok łóżka lichtarzyk z gromnicą dziadka. Knot był czarny, kilka długich woskowych łez zwisało ze świecy. Ktoś ją zapalał ostatniej nocy.

Matka podeszła do łóżka. Przymknęła oczy, żeby pobożnie odmówić różaniec do końca. Ale raptem chwycił ją jakiś spazm. Schyliła głowę tłumiąc w sobie rosnący dygot.

— Niech mama nie płacze — rzekł słabym głosem Witold. — Wsio normalno. Mówisz, że Wołodko nas znalazł?

— Was znalazł, a siebie zgubił. Już siedzi w więzieniu i czeka na sąd.

— Wiciuńka kochany, powiedz, że to nieprawda.

— Co, mamó?

— Wy bawiliście się niewinnie jak dzieci. Licho was skusiło, żeby popróbować diabelskiego nasienia. Tam nad rzeką pełno tego rośnie. Takie dorodne kolczaste owoce, niczym kasztany. Nikt wam nie powiedział,

dzieci, że to straszna trucizna. Wielu ludzi postradało rozum od tych czarnych ziaren. A wy tylko przez ciekawość, prawda, Wiciuńka?

Zaczęły cieniutko śpiewać obluzowane szyby w dubeltowych oknach. Nadjeżdżał od miasta pośpieszny, rechocąc na całą dolinę. Parowóz pozdrowił stacyjkę długim chrapliwym gwizdem jak transatlantyk.

— Ona bardzo się męczyła?

— Lepiej już o nią nie pytaj — powiedział ktoś za nim. Witold z trudem odwrócił głowę. Na progu pokoju stał zmaląły dziwnie Engelbarth. — Już jej nigdy nie zobaczysz.

— Gadają i gadają, a ja nic nie słyszę, mnie nikt o niczym nie informuje — poskarżył się z bokówki dziadek obolałym głosem.

Matka ucałowała wytarty krzyżyk różańca.

— Trzeba grzech odpokutować. Musisz zęby zacisnąć i uczyć się, uczyć bez końca, aż wszystkich ludzi prześcigniesz i wszyscy będą tobie pierwsi się kłaniać.

Witold popatrzył na okno pełne lśniącej czerwieni. Znowu zachodziło słońce. Jeszcze raz zachodziło słońce.

— Mamo, ja nie zdałem matury.

Matka zatrzymała w połowie znak krzyża świętego. Położyła złożone nabożnie palce na wyschniętej piersi. Próbowwała zaśmiać się, ale tylko z jakimś jękiem rozejrzała się bezradnie po zebranych.

— Wicieńka, dlaczego mnie straszysz? Po co takie głupstwa mówisz? Na co drażnić Pana Boga?

— Naprawdę nie zdałem matury. A poza tym wsio normalno.

— Niech pani jego nie słucha. Teraz wszystko będzie mówić na złość — rzekł cicho Engel, który stał ciągle w drzwiach zaczerwieniony niczym



upiór tą luną odchodzącego słońca.

Witold zaparł się dłońmi o krawędź łóżka. Jął unosić powoli straszliwie ciężką głowę i nieruchawy tułów jak kłoda drzewa.

— Leż. Zwariowałeś — warknął Lowka. — Czego znowu chcesz?

— Chcę wyjść przed dom.

— Jeszcze wyjdiesz. Całe życie będziesz wychodził z domu.

Ale on już zwał się na kolana przed łóżkiem. Chwytał się powietrza, wstawał mozolnie z podłogi, która strzelała niegłośnie, stygnąc po upalnym dniu. Potem ruszył do wyjścia w długiej koszuli obszytej niebieską tasiemką i w gaciach dziadka, gaciach spranych, cieniutkich jak sito, pamiętających jeszcze carskie czasy.

Objął się rozpostartymi rękami o sprzęty pełne ciepła nazbieranego przez cały dzień. I znowu odezwał się dzwon tego drewnianego kościółka na górnym przedmieściu.

— Witold — szepnął dziadek, kiedy mijał bokówkę.

— Będzie dobrze. A jak się dziadek czuje?

Starzec uniósł rękę podobną do kurzej łapy i opuścił ją bez siły.

— Już nic o sobie więcej nie powiem. Widzisz, że żyję.

— I ja żyję. Będę żył na nowo. Nie ma innego wyjścia.

— Tak — westchnął stary. — Trzeba żyć, bo nie ma innego wyjścia.

Na ganku objął go nieśmiało lepki upał. Dołem słał się już chłodny zapach maciejki. Dzwon zabrzmiał jeszcze pojedynczym, opóźnionym uderzeniem i zamilkł aż do rana.

— No i co ty chciałeś zobaczyć, frajerze? — Lowka dyszał za jego plecami.

— Wsio normalno — szepnął Witold. — To samo niebo. Te same

drzewa. Ta sama dolina. Nie, to przecież nie dolina. To odwieczne łożysko rzeki, które nazywamy smutną nazwą dolina, żeby było piękniej.

— Witold, wiesz, teraz już na zawsze będę się ciebie bać — rzekł zmienionym głosem Engel. — Gdzie ty byłeś, kiedy ciebie tu nie było?

— Gdzie byłem? W nieprzytomności. Ale tam też źle było. Jakoś wtedy wszystko rozumiałem, lecz teraz nic nie rozumiem i nie potrafię już przypomnieć.

— No to patrz do woli na niebo, na łąki, na sady.

— A ona?

— Leży w szpitalu.

— A ona?

— Wyjedzie stąd na zawsze.

— A ona?

— Może spotkasz ją w życiu. Może dogonisz jak własny cień.

Wtedy o tej wieczornej porze cały świat zaczął krzyczeć jakimś chorym wyciem. Krzyczały parowozy na bocznicach i na szlakach, krzyczały fabryki miastowe i podmiejskie, krzyczały autobusy zwane arbonami i pojedyncze domy. Wielki płacz uderzył w popielate martwe niebo.

— Co się dzieje? — spytał Witold zdjęty grozą.

— Próbny alarm przeciwlotniczy. Już trzeci od wczorajszej nocy.

I tak się to skończyło.